

**Robert A. Heinlein**

# **Władcy Marionetek**

**( Przełożyła Anita Zuchora )**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Do dzisiaj ciekawi mnie, czy istotnie byli inteligentni? Chyba już nigdy nie zdołamy tego sprawdzić.

Uważam, że Sowieci mają lepsze sposoby na takie sytuacje. Nie bawią się, jak to nazywają w „zgnióliberalny sentymentalizm”. Jedno jest pewne - nie były to zwierzęta.

Nie chciałem dożyć ponownej inwazji. Gdyby taka nastąpiła, z pewnością ponieśliśmy klęskę. Ty, ja, cała tak zwana ludzkość.

Dla mnie to wszystko zaczęło się bardzo wcześnie, dwunastego lipca przeraźliwym dźwiękiem alarmowym nadajnika o niezmiernie wysokiej częstotliwości. Poderwałem się przerażony, bezładnie machając rękami. Po chwili uświadamiałem sobie co się dzieje.

- W porządku! - wrzasnąłem. - Słyszę ciebie. Wyłącz ten alarm, bo oszaleję.

- Stan zagrożenia. - Ktoś krzyczał mi prosto do ucha. Chciałem mu wyjaśnić, co może zrobić z tym swoim stanem zagrożenia.

- Mam wolne siedemdziesiąt dwie godziny.

- Natychmiast zgłosić się do Starca. - Głos był natarczywy. Zrozumiałem, że sytuacja jest poważna.

- Zaraz będę - potwierdziłem.

Zerwałem się z łóżka tak gwałtownie, że prawie straciłem równowagę. Czulem potworny ból głowy.

Dopiero po chwili dostrzegłem obok siebie piękną blondynę. Obserwowała mnie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Do kogo mówisz? - zapytała. Odwróciłem się i nerwowo próbowałem sobie przypomnieć, czy już ją kiedyś widziałem.

- Ja? Mówiłem? - odrzekłem niezbyt przekonująco. Musiałem szybko wymyśleć jakieś kłamstwo.

Uświadomiłem sobie, że przecież nie słyszała głosu, który mówią do mnie, więc nie potrzebowałem się specjalnie wysilać. Sekcja używała niekonwencjonalnych nadajników. Każdemu agentowi wszczepiano go chirurgicznie pod skórę za lewym uchem.

- Przepraszam kochanie - zacząłem jej wyjaśniać - miałem jakiś koszmarny sen.

Na pewno dobrze się czujesz? - spytała troskliwie.

Tak, wszystko w porządku. - Chwiejnym krokiem ruszyłem w kierunku łazienki.

Możesz spokojnie spać dalej.

To dobrze - stwierdziła z ulgą i prawie natychmiast zasnęła.

Wszedłem do wanny. Po kąpeli wstrzyknąłem sobie porcję łagodnego narkotyku na wzmocnienie. Powoli zaczynał działać. Mogłem normalnie myśleć. Wychodząc wziąłem kurtkę i badawczo spojrzałem na śpiącą blondynkę.

Chyba nie byłem jej nic winien, a w mieszkaniu nie pozostawiłem nic, co mogłoby zdradzić kim jestem.

Do biur Sekcji dostałem się przez umywalnię stacji McArthur. Telefonu do biura nie można znaleźć w żadnej książce telefonicznej. W rzeczywistości ono po prostu nie istnieje. Możliwe, że ja nie istnieję także i wszystko jest iluzją.

Nawet głowy państw nie zdają sobie sprawy z tego, jak skuteczny i sprawny mają wywiad. ONZ również nic o nas nie wie, jestem pewien, że Centralny Wywiad też nie posiada żadnych danych. Kiedyś słyszałem, że jesteśmy opłacani przez Ministerstwo Skarbu.

Moja rola ogranicza się do wykonywania zadań, które powierza mi Starzec. Mam bardzo interesującą pracę. Jedną z tych, gdzie warunkiem przyjęcia jest to, że nie obchodzi ciebie gdzie sypiasz, co jesz i jak długo będziesz żył. Trzy lata spędziłem za żelazną kurtyną. Potrafię bez mrugnięcia okiem pić wódkę i bełkotać po rosyjsku tak dobrze, jak po kontońsku, kurdyjsku czy w innych diabelskich językach. W całej tej zabawie naprawdę obchodzi mnie tylko to, że mam forszę.

Lubiłem pracować ze Starcem. Był twardy i konkretny. Każdy skoczyłby dla niego w ogień. Wiem też, że potrafili by wysłać każdego z nas na pewną śmierć. Ale tylko wtedy, gdyby miał w tym jakiś cel.

Kiedy pojawiłem się podszedł do mnie kulejąc. Po raz nie wiem który zastanawiałem się, dlaczego dotychczas nic z tym nie zrobił. Domyślałem się, że był dumny z sytuacji, w której został ranny. Ale to tylko moje przypuszczenia, gdyż nie znałem prawdy. Osoba z taką pozycją jak Starzec musi umieć skrywać swoje osiągnięcia a jego zasługi powinny stanowić tajemnicę.

Twarz rozciągnęła mu się w figlarnym uśmiechu. Ze swoją łysą czaszką i rzymskim nosem wyglądał demonicznie.

- Witaj Sam - powiedział - przepraszam, że wyciągnąłem cię z łóżka.

Miałem wolne - odpowiedziałem krótko. - Przecież nie często zdarza mi się być na urlopie.

- Jedziemy na wakacje - oznajmił głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Więc mam na imię Sam - powiedziałem. - Jak brzmi moje nazwisko?

- Cavanaugh. Jestem twoim wujem. Charlie Cavanaugh, emeryt. Poznaj swoją siostrę Mary.

Teraz dopiero zauważyłem, że oprócz nas w pokoju jest jeszcze jedna osoba. Przedtem całą uwagę poświęciłem szefowi, teraz skoncentrowałem się na „siostrze”. Była nieprzeciętną kobietą.

Od razu zrozumiałem w jakiej sytuacji postawił mnie Starzec. Jeśli mamy razem pracować, musimy podawać się za rodzeństwo. Zapewniało to idealny model bezkonfliktowych stosunków między nami. Agent, ciągle sprawdzany i obserwowany, nie może wyłamać się z granej roli. Miałem ją traktować jak siostrę. Czulem, że to najbardziej wredny numer jaki mi zrobiono.

Miała smukłe, bardzo kobiece ciało i piękne nogi. Na ramiona spływały faliste, płomienne czerwone włosy. Twarz może niezbyt piękna ale było w niej coś szczególnego. Byłem pewien, że w jej żyłach płynie indiańska krew. Patrzyła na mnie jakbym był kawałkiem mięsa.

Mój zachwyty „siostrą” okazał się zbyt czytelny.

- No, no Sam. W rodzinie Cavanaughów nie będzie kazirodztwa. Oboje będziecie uważnie obserwowani przez moją ulubioną szwagierkę. Uwielbiacie się, ale w czystości. Jesteś marudnie rycerskim, amerykańskim chłopcem - ostrzegł mnie Starzec.

- Aż tak źle - zapytałem, patrząc wymownie na „siostrę”.

- Zastosuj się do moich poleceń.

- W porządku, jak się masz siostrzyczko. Miło mi cię poznać.

Wyciągnęła do mnie rękę. Wydało mi się, że jest przynajmniej tak silna jak ja.

- Cześć braciszku! - jej głos zabrzmiał głębokim kontraltem.

- Nie wiem czy wiesz - odezwał się Starzec łagodnie - ale jesteś tak przywiązany do siostry, że gotów jesteś umrzeć. Nie lubię mówić takich rzeczy, ale ona w tym momencie jest ważniejsza niż ty.

- Zrozumiałem - potwierdziłem. - Dzięki za uprzejmość.

- Teraz Sammy...

- O.K.! Ona jest moją ukochaną siostrą. Będę ją chronił przed wściekłymi

psami i mężczyznami. Nie trzeba mi powtarzać dwa razy. Kiedy zaczynamy?

- Nie tak szybko! Musimy wstąpić do Sekcji Kosmetycznej, żeby stać się rodziną.

- Wolałbym jednak nie być jej rodziną. Jesteś urocza siostrzyczko.

W Sekcji Kosmetycznej dopasowali mi lepiej nadajnik, ufarbowali włosy, a także zmienili odcień skóry, kości policzkowe i podbródek. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem równie autentycznego czerwonoskórego jak moja siostra. Patrzyłem na moje włosy i próbowałem sobie przypomnieć, jaki był ich naturalny kolor.

Zastanawiałem się, jak wcześniej wyglądała moja nowa siostra. Jest taka...

Powinienem jak najprędzej zapanować nad żądzami.

Wziąłem ekwipunek - ktoś już spakował mi torbę podróżną. Starzec też poddał się operacji plastycznej. Jego czaszkę zdobiły loki o nieokreślonym kolorze. Coś między białym a różowym. Zupełnie nie wiem co zrobili z jego twarzą, ale wszyscy troje wyglądaliśmy jak blisko spokrewnieni przedstawiciele niezwyklej rasy czerwonoskórych.

- Chodź Sammy - powiedział Starzec. Wszystko ci wyjaśnię w wozie.

Przeszliśmy wyjściem, którego nie znałem. Na lądowisku czekał na nas pojazd. Ja prowadziłem, a Starzec objaśniał nowe zadanie. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem kontroli miejskiej, kazał mi przejść na automatyczne sterowanie. Okazało się, że lecimy do Des Moines w stanie Iowa. Ustawiłem program i przyłączyłem się do moich nowych krewnych. Wuj Charlie opowiedział nam historię rodziny Cavanaughów.

- A teraz - zakończył - wybieramy się na rodzinne, wesołe party. I jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego będziemy zachowywać się tak głośno i absurdalnie, jak tylko potrafia turyści.

- Może jednak wyjaśnisz nam o co chodzi - zapytałem - nie bawimy się chyba w to bez powodu....

- Może..

- Dobrze. Tylko jeśli ryzykuję życiem, to lubię wiedzieć dlaczego. Co ty na to, Mary?

Mary nie odpowiedziała. Była jedną z tych niezwyklej i godnych podziwu kobiet, które wiedzą kiedy zabrać głos. Starzec przyglądał mi się uważnie. Widocznie zastanawiał się czy nadszedł czas, by powierzyć mi szczegółowe informacje.

- Sam, czy słyszałeś o latających talerzach?

- Chyba nie masz na myśli odwiecznej manii ludzkości o pojawieniu się przybyszów z kosmosu? Zawsze wydawało mi się, że zajmujesz się sprawami bardziej realnymi. To były tylko zbiorowe halucynacje.

- Czyżby?

- A czyż nie? Nic zajmowałem się zbyt szczegółowo zjawiskami parapsychologicznymi, ale to dość oczywiste, że dowodzić istnienia latających talerzy mogą tylko psychopaci.

- Jesteś pewien, że dzisiaj to twierdzenie jest rozsądne?

- Chyba nie jestem na tyle kompetentny. - Zastanowiłem się, szukając jakiegoś racjonalnego argumentu. - Pamiętam, że ktoś się tym zajmował. Tak, to były doświadczenia Digby'ego. Metodą obliczeniową dowiódł, iż dziewięćdziesiąt siedem procent twierdzi, że latające talerze to halucynacja. Zapamiętałem to, gdyż po raz pierwszy w historii nauki, wszelkie informacje na temat UFO były tak skrupulatnie i systematycznie zbierane. Zresztą nie wiadomo po co.

Starzec spojrzał na mnie łagodnie.

- No, to trzymaj się Sammy. Jedziemy właśnie obejrzeć latający talerz. Może będziemy mogli wziąć sobie kawałek na pamiątkę. Jak prawdziwi turyści.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Oglądaliście ostatnie wiadomości? - zapytał Starzec. Spojrzałem zdziwiony. Głupie pytanie, przecież mam urlop.

- Jednak powinieneś - zasugerował - podają wiele interesujących informacji. Na przykład, siedemnaście godzin i dwadzieścia trzy minuty temu - zatarł ręce - wylądował niedaleko Grinnell, stan Iowa, niezidentyfikowany obiekt latający. Typ zupełnie nie znany. W przybliżeniu w kształcie dysku, sto piętnaście stóp średnicy.

- Nic więcej o nim nie wiadomo? - przerwałem.

- Nie - odpowiedział i mówił dalej, cedząc słowa - to fotografia statku zrobiona po lądowaniu ze stacji kosmicznej Beta.

Obejrzałem ją i podałem Mary. Zdjęcie prawdopodobnie zostało zrobione teleobiektywem z odległości pięciu tysięcy mil. Cienie chmur zasłaniały najważniejszą część obrazu, a zielona plama w kształcie koła mogła być tak samo dyskiem statku kosmicznego, jak cysterną oleju czy zbiornikiem wody. Przypomniałem sobie, ile razy bombardowaliśmy hydroponiczne plantacje na Syberii myśląc, że to instalacje fabryk militarnych.

Mary oddała zdjęcie bez słowa komentarza.

- Według mnie wygląda to jak namiot na biwaku - powiedziałem. - Co jeszcze wiemy?

- Nic.

- Nic? Po siedemnastu godzinach? Czyżbyśmy nie mieli agentów?

- Owszem mieliśmy sześciu, ale wszyscy zginęli. Żaden z nich nawet nie zdążył przekazać raportu. Wiesz, że nie lubię tracić agentów Sammy. Szczególnie, jeśli nie przynosi to żadnych rezultatów.

Pomyślałem o tym, co powiedział i zastanawiałem się, czy to zadanie jest istotnie aż tak poważne, skoro ryzykujemy swoim życiem. W końcu był mózgiem organizacji. Nikt kto go znał, nie wątpiłby w słuszność jego decyzji, miał też dużo sprytu i wyczucia zagrożenia. Znał swoją wartość i nie ryzykowałby, gdyby nie był pewien, że wykona zadanie i wyjdzie z tego zwycięsko. A jednak wyczułem podświadomie niebezpieczeństwo.

Nagle oblał mnie zimny pot. Zazwyczaj agent ma obowiązek, a za wszelką cenę ratować swoje życie, by móc złożyć raport. W tej sytuacji Starzec jest tym, który musi wrócić do centrali. Po nim Mary. Ja byłem na trzecim miejscu. Sytuacja była

jasna i wcale mi się nie podobała.

- Jeden z agentów próbował przesłać trochę informacji - odezwał się Starzec. - Dostał się tam jako przypadkowy obserwator. Przekazał przez nadajnik, iż wygląda to na pojazd kosmiczny, choć nie potrafił stwierdzić o jakim napędzie. Potem poinformował, że pojazd się otwiera i usiłował przedostać się bliżej, przed kordon policji. Powiedział nam o jakichś małych stworzeniach. W tym momencie połączenie zostało przerwane.

- Mali ludzie?

- Użył słowa: stworzenia.

- A co mówią lokalne raporty?

- Niewiele. Stacja Des Moines przekazała informację o lądowaniu i wysłała swoich ludzi, żeby to sprawdzili. Zdjęcia, które przesłali są nienajgorsze, ale zrobione z dużej odległości i pokazywały tylko obiekt w kształcie dysku. Mniej więcej po dwóch godzinach wszystko się zmieniło. Żadnych zdjęć, żadnych informacji. Potem nastąpiła przerwa i nadali kolejny raport, który wydaje się być mocno naciągany. - Starzec umilkł.

- No? - zapytałem niecierpliwie.

- Okazało się, że cała sprawa to żart. Ten „statek kosmiczny” miał pokrywę z metalu i plastiku. Figiel, rozumiesz? Zbudowali go dwaj chłopcy z pobliskiej farmy, w lasku opodal domu. Cały ten fałszywy alarm wszczął reporter, który znalazł dzieci i statek. Postanowił zrobić z tego sensacyjny reportaż. W ten sposób ostatnia „inwazja z kosmosu” okazała się niewinnym żartem - wyjaśnił Starzec.

- I w związku z tym straciliśmy sześciu ludzi? Chyba będziemy próbowali odszukać naszych agentów?

- Nie, bo jestem pewien, że ich nie znajdziemy. Musimy najpierw dowiedzieć się dlaczego pomiary triangulacyjne na zdjęciach - ujął fotografie zrobione przez stację kosmiczną - niezgadają się z tymi najnowszymi, pokazywanymi w wiadomościach.

- Chciałabym porozmawiać z tymi chłopcami z farmy - po raz pierwszy odezwała się Mary. Ja również byłem zainteresowany tą historią.

Wylądowałem pięć mil od Grinnell i zaczęliśmy szukać farmy McLainów.

Najświeższe wiadomości podały już nazwiska nieszczęsnych budowniczych. Byli nimi Yincen i George McLain. Nie mieliśmy więc trudności ze znalezieniem osławionego miejsca lądowania. Na skrzyżowaniu dróg stała wielka, świetnie



zrobiona reklama, informująca, że jest to droga do „statku kosmicznego”. Po chwili ujrzelśmy niedbale zaparkowane samochody. Kilka naprędce skleconych sklepików oferowało zimne napoje i pamiątki z pobytu na ziemi McLaina. Policjant próbował kierować ruchem.

- Zatrzymaj się - rozkazał Starzec.

- W porządku wuju Charlie - zgodziłem się.

- Starzec lekko wyskoczył z wozu. Po utykaniu pozostało tylko wspomnienie.

Idąc, zaczepnie wymachiwał laską. Wyciągnąłem rękę do Mary, żeby pomóc jej wysiąść. Oparła się o moje ramię i spojrzała mi w oczy. Jej bezczelne spojrzenie zaniepokoiło mnie.

- Nie do wiary braciszku, jaki ty jesteś silny - powiedziała drwiąco.

Chciałem dać jej klapsa, ale zamiast tego uśmiechnąłem się zażenowany.

Znow dała o sobie znać szkoła Starca. Nie mogłem sobie pozwolić na żadne zbędne gesty.

Wuj Charlie zachowywał się, jak na turystę przystało. Naprzykrzał się wszystkim. Zawracał głowę policji, zatrzymywał ludzi, żeby wygłaszać jakieś opinie nie pytany o zdanie. W jednym sklepiku kupił cygaro, a przede wszystkim robił wrażenie zamożnego, zgrzybiałego głupca, który bezmyślnie spędza wakacje.

- Inspektor twierdzi, że cała ta sprawa była żartem, kochani - figiel wymyślony przez chłopców. Idziemy? - mówiąc to, wymownie spojrzał na sierżanta stojącego obok nas.

- Nie ma statku kosmicznego? - Mary wyglądała na rozczarowaną.

- Jest tutaj pojazd, który na upartego można nazwać kosmicznym. Znajdziecie go, jeśli pójdziecie za tymi frajerami. Poza tym jestem sierżantem, a nie inspektorem.

Wuj Charlie rzucił mu pod nogi cygaro i ruszyliśmy przez pastwisko do pobliskiego lasku. Wejście tam kosztowało dolara i w związku z tym wielu potencjalnych frajerów wracało nie obejrzywszy latającego talerza. Droga wśród drzew była piaszczysta. Marzyłem, aby zamiast nadajnika mieć z tyłu głowy jeszcze jedną parę oczu. Posuwałem się ostrożnie. Według naszych informacji, właśnie tą drogą szło naszych sześciu agentów. I żaden z nich nie wrócił. Wliczając Starca i Mary, idących przede mną, miałem być dziewiąty. Niespecjalnie mi się to podobało. Tymczasem Mary szczebiotała jak idiotka. Wszelkimi siłami starała się zrobić wrażenie niższej i młodszej. W końcu dotarliśmy do polany, na której znajdował się słynny obiekt.

Był naturalnych rozmiarów, miał więcej niż sto stóp średnicy. Jednak tandetna obudowa z metalu i plastiku sprawiła, że wyglądał jak zabawka.

- Ach, jakie to ekscytujące! - zapiszczała Mary.

- Z włazu umieszczonego na szczycie tej okropnej konstrukcji, wychylił się może dziewiętnastoletni, bardzo pryszczaty młodzieniec.

- Chcecie wejść do środka? - zawołał. Dodał jeszcze, że będzie to kosztowało o pięćdziesiąt centów drożej od osoby. Wuj Charlie łaskawie się zgodził.

Mary podeszła bliżej, jednak po chwili cofnęła się, gdyż obok młodego człowieka pojawił się drugi niemal identyczny. Byli chyba bliźniakami. Chcieli pomóc Mary wejść do środka pojazdu. Siostra cofnęła się jeszcze bardziej, więc szybko podszedłem gotowy do działania. Doskonale potrafiłem wyczuwać niebezpieczeństwo.

- Tam jest tak ciemno - głos jej zadrzał.

- To absolutnie bezpieczne - zapewnił drugi, równie pryszczaty młodzieniec. - Turyści wchodzą tu przez cały dzień. Ja jestem właścicielem, nazywam się Vinc McLain. Nie ma się pani czego obawiać.

Wuj Charlie zajrzał przez właz. Nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko.

- Tam mogą być węże - powiedział zdecydowanie. - Nie powinnaś tam wchodzić.

- Czego się obawiacie - odezwał się, już dość napastliwie pierwszy McLain - tam jest całkiem bezpiecznie.

- Zatrzymaj pieniądze młody człowieku - rzekł Wuj i zrobił minę jakby sobie o czymś przypominał. - Jesteśmy już spóźnieni. Ruszajmy moi drodzy.

W drodze powrotnej szedłem za nimi i cały czas myślałem o tym, co zobaczyliśmy. Wsiedliśmy do samochodu. Starzec odezwał się dopiero, gdy wyjechaliśmy na drogę.

- No i jak? Zauważyliście coś?

- Nie ma żadnych nowych informacji? - zapytałem. - Nikt się nie uratował?

- Nikt.

- Chyba nie udało im się zmylić naszych agentów. To nie był ten pojazd, o którym wszyscy mówili.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Starzec. - Coś jeszcze?

- Ile według ciebie kosztowałyby zrobienie takiej atropy? - zapytałem. Metal wyglądał jak nowy, świeża farba, a także udało mi się dostrzec przez właz, jakieś sto

stóp przestrzeni wewnątrz. Z pewnością wszystko było bardzo kosztowne.

- Masz rację.

- A dom McLainów wygląda na nieodnawiany od lat, stodoła też. Jak więc mogli sfinalizować swój szalony pomysł owi chłopcy?

- Słusznie. A ty Mary?

- Wuju Charlie, czy zauważyłeś jak oni mnie traktowali?

- Kto? - zapytałem zdziwiony. - Sierżant i ci wieśniacy. Użyłam całego swojego sex-appealu i nic. Żadnej reakcji.

- Wszyscy byli tobą naprawdę zachwyceni - zapewniłem uprzejmie, traktując ją w gruncie rzeczy jak idiotkę.

- Nic nie rozumiesz - zirytowała się. - Zawsze doskonale wyczuwam jak mnie odbierają. Oni zachowywali się, jakby byli martwi. Jak strażnicy haremu, jeśli wiesz co mam na myśli.

- Hipnoza? - zapytał wuj Charlie.

- Może, albo narkotyki. - Mary zmarszczyła brwi, wyglądała na zaintrygowaną.

Starzec zastanawiał się chwilę nad jej słowami.

- Przy następnym skrzyżowaniu skręć w lewo, Sammy. Musimy sprawdzić pewne miejsce dwie mile stąd - powiedział w końcu.

- Według pomiarów triangulacyjnych punkt widoczny na zdjęciach? - zapytałem, nie oczekując odpowiedzi.

Nie udało nam się tam dostać. Okazało się, że nie ma mostu, a było za mało miejsca, żeby rozpedzić wóz i przeskoczyć spory rów. Zawróciliśmy zrezygnowani na południe. Na drodze zatrzymał nas gliniarz. Poinformował nas o pożarze. Nie pozwolił przejechać, wskazując objazd. Wpadł także na pomysł, żeby wysłać mnie do akcji ratowniczej. Wtedy Mary pokazała nam, jak działają na normalnych mężczyzn jej wdzięki. Przy pomocy kilku gestów i drobnego kłamstwa uwolniła mnie od tego przykrego zadania. Zadowoleni ruszyliśmy dalej.

- Co myślisz o tym facecie?

- O co ci chodzi? - zdziwiła się Mary. Też, jak to nazwałeś, strażnik haremu?

- Ależ skąd! Bardzo atrakcyjny mężczyzna.

Jej odpowiedź rozzłościła mnie.

Starzec zdecydował, że nie będziemy próbowali zaparkować w pobliżu

prawdziwego miejsca lądowania pojazdu kosmicznego. Uznał to za zbyteczne. Udaliśmy się do Des Moines. Zamiast zostawić samochód przed rogatkami, zapłaciliśmy za wjazd do miasta. Pojechaliśmy prosto do głównego studia telewizyjnego.

Wuj Charlie hałaśliwie wkroczył do biura generalnego dyrektora, ciągnąc nas za sobą. Na początek wygłosił stek kłamstw. Chociaż? Może Charles M. Cavanaugh jest naprawdę znaczącą figurą w Federalnym Wydziale Środków Masowego Przekazu? Skąd mógłbym to wiedzieć?

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie szefa, wuj kontynuował swoją życiową rolę.

- A teraz sir, chciałbym się dowiedzieć, o co chodzi w tym absurdalnym numerze ze statkiem kosmicznym? Otwarcie ostrzegam, że od tego może zależeć ważność pańskiej licencji.

Szef studia okazał się małym niepozornym człowieczkiem o zgarbionych plecach, ale nie wyglądał na przestraszonego. Wręcz przeciwnie, był bardzo pewny siebie.

- Wydaje mi się, że przekazaliśmy wystarczająco obszerne wyjaśnienia w naszych programach - odrzekł prawie oburzony. Zostaliśmy oszukani przez jednego z naszych ludzi. Ten człowiek został już zwolniony.

- Bardzo słusznie, panie Barnes - powiedział Starzec - ale ostrzegam sir, że mną nie ma żartów. Sam prowadzę dochodzenia. Nie jestem przekonany, aby ci dwaj prostacy i nic nie znaczący reporter mogli do tego stopnia zorganizować i rozdmuchać taką sprawę. W tym czuje się pieniądze? Wysoko... A teraz powie mi pan, co pan robił...

Mary przysunęła się bliżej biurka Barnes'a. Niepostrzeżenie zsunęła z ramion kostium. Miała piękne ciało. Jej poza przywiodła mi na myśl „Nagą kobietę” Goyi. W tym momencie opuściła kciuk w dół i przekazała coś Starcowi.

Barnes nie powinien był tego zauważyć. Wydawało się, że cała jego uwaga skoncentrowana jest na Starcu. A jednak zauważył. Spojrzał na Mary. Wtedy wyraźnie zobaczyłem jego obojętną i bezwzględną twarz. Nigdy dotąd nie widziałem kogoś, o takim wyrazie twarzy. Sięgnął do szuflady biurka.

- Sam, uważaj! - krzyknął wuj Charlie.

Kiedy strzeliłem, ciało Barnes'a osunęło się na podłogę. To nie był dobry strzał. Celowałem w nogi, a trafiłem w brzuch. Podbiegłem do niego i kopnąłem jego

pistolet, którego wciąż próbował dosięgnąć. Człowiek zraniony w ten sposób jest już właściwie martwy, z tym, że ma jeszcze kilka minut na umieranie. Chciałem zrobić mu przysługę i go dobić.

- Zostaw i nie dotykaj go! Mary! Odsuń się! - powstrzymał mnie szef.

Zobaczyłem, jak ostrożnie przesuwają się do tego faceta. W tym momencie Barnes wydał z siebie bełkotliwy odgłos i zamilkł na zawsze. Dziwna śmierć. A poza tym, rana postrzałowa nie krwawiła prawie wcale. Starzec przyjrzał mu się i trącił ciało laską.

- Szefie - powiedziałem - chyba czas na nas.

- Jesteśmy tutaj tak samo bezpieczni, jak w każdym innym miejscu - odpowiedział. - Prawdopodobnie ten budynek roi się od nich.

- Roi od czego? - nie zrozumiałem.

- Skąd miałbyś wiedzieć kim są? Prawdopodobnie jest ich sporo. - Wskazał na ciało Barnes'a. - Właśnie miałem potwierdzić ich istnienie.

Mary tymczasem szlochała cicho. Pierwszy raz zareagowała jak zwyczajna kobieta.

- Spójrzcie, on ciągle oddycha! - powiedziała zduszonym głosem. Leżał twarzą do podłogi i rzeczywiście unosił się jakby ciągle jeszcze żył i oddychał. Starzec jeszcze raz szturchnął go.

- Sam, chodź tutaj! - zawołał. - Zdejmij z niego ubranie. Tylko użyj rękawiczek i bądź ostrożny!

- Myślisz, że to pułapka? - zaśmiałem się.

- Zamknij się i uważaj!

Nie wiedziałem co chce znaleźć, ale na pewno miał przecucie, że to pomoże nam rozwiązać całą sprawę. Starzec miał zainstalowany w mózgu niezłej klasy integrator, który pozwalał mu z minimalnej ilości faktów skonstruować logiczną całość. Dlatego zawsze mu ufałem. Założyłem rękawiczki i obróciłem ciało, żeby zdjąć z niego ubranie. Pierś Barnes'a ciągle się unosiła. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy mam do czynienia z tak nienaturalnymi sytuacjami. Dotknąłem jego pleców. Ludzkie plecy są zazwyczaj kościste i umięśnione, te były miękkie i prawie falowały pod wpływem dotknięcia. Cofnąłem rękę z obrzydzeniem. Mary podała mi nożyczki z biurka. Przeciąłem marynarkę i rozsunąłem ją. Pod prawie przezroczystą podkoszulką, od szyi do połowy pleców znajdowało się coś, co na pewno nie miało nic wspólnego z ludzkim ciałem. Było grube na parę cali i dzięki temu Barnes

wydawał się lekko zgarbiony, a także dziwnie pulsował. Wyciągnąłem rękę, żeby ściągnąć koszulkę i przyjrzeć się dokładnie, ale Starzec uderzył mnie laską.

- Zdecyduj się czego chcesz - powiedziałem, rozcierając stłuczone kości.

Nie odpowiedział. Końcem laski podniósł koszulkę i wtedy zobaczyliśmy go dokładnie.

Ciało tego stworzenia było szarawe, bladoprzeźroczyste i poprzecinane ciemniejszymi żyłkami. Przypominało gigantyczny żabi skrzek. Najwyraźniej żywe, bo wciąż pulsowało i rytmicznie unosiło się. Nagle osunęło się z Barnesesa i upadło na podłogę, nie mogąc się poruszyć.

- Biedaczysko! - powiedział Starzec dziwnie łagodnie.

- Co? To? - zapytałem zdziwiony.

- Nie, Barnes. Pewnie dostanie jakieś odznaczenie, kiedy to wszystko się skończy. - Jeżeli się skończy. Starzec wyprostował się i chodził zamyślony po pokoju, jakby zapomniał o szarym obrzydlistwie, które leżało obok Barnesesa.

Cofnąłem się trochę i obserwowałem tę dziwną plazmę. Wolałem nie poruszać się zbyt gwałtownie. Nie wiedziałem przecież, czy to dziwactwo na przykład nie potrafi latać. Wolałem się też nie przekonywać o tym, na własnej skórze. Moja broń wciąż była gotowa do strzału. Mary oparła się o mnie ramieniem, jakby szukała pomocy. Objąłem ją.

Za biurkiem leżała sterta pudełek do przechowywania taśm. Starzec wziął jedno z nich i podszedł do tego stworzenia. Położył pudło blisko, ale plazma nie chciała się przesunąć zupełnie jakby przymocowano ją do podłogi. Odepchnąłem ciało Barnesesa i zacząłem strzelać, żeby zmusić to, co było obok, do przesunięcia się. Po chwili udało się wciągnąć obce ciało do środka. Starzec szybko zatrzasnął pudło.

- W drogę moi kochani.

Wychodząc, zatrzymał się na chwilę w drzwiach i głośno pożegnał się z Barnesem.

- Jutro odwiedzę znowu pana Barnesesa, ale proszę nie wyznaczać konkretnej godziny. Wcześniej zadzwonię - powiedział do sekretarki.

Wychodziliśmy spokojnie i powoli. Starzec ściskając pod pachą pudło, poszedł jeszcze kupić cygaro, Mary zaś zgrywała głupiego podlotka, wygłaszając jakieś bezsensowne uwagi. Kiedy znaleźliśmy się w wozie, szef powiedział mi dokąd mam jechać i przede wszystkim zabronił mi się spieszyć. Zgodnie z jego instrukcjami znaleźliśmy się w garażu.

- Pan Malone potrzebuje tego wozu natychmiast - zawołał Starzec do właściciela stacji samochodowej.

Wiedziałem, że nasz wóz w ciągu dwudziestu minut przestanie istnieć. Będzie spoczywał w skrzyniach z częściami zapasowymi.

- Tędy proszę - powiedział usłużnie. Wysłał dwóch pracowników do innego pomieszczenia, a my zniknęliśmy za wskazanymi drzwiami. Tam odzyskałem własną twarz i kolor włosów, a Starzec znowu miał łysą czaszkę. Włosy Mary stały się czarne, ale wyglądała z nimi równie dobrze jak przedtem. Rodzina Cavanaughów przestała istnieć. Mary miała na sobie elegancki kostium pielęgniarki, ja mundur szofera, a Starzec stał się znowu naszym podstarzałym, kulejącym pracodawcą.

Samochód już czekał. Zasłoniliśmy okna, chociaż chyba to nie było konieczne, bo nawet jeśli znajdą trupa Barnesa i tak nikt nie zechce wyjaśniać całej tej sprawy.

Udaliśmy się prosto do Biura Sekcji. Oczywiście tak szybko, jak to było możliwe. Starzec posłał natychmiast po doktora Gravesa, szefa laboratorium biologicznego. Miał przynieść ze sobą podręczny sprzęt. Po otwarciu pudła smród rozkładającej się organicznej materii, jak odór opanowanej gangreną rany, wypełnił pokój i zmusił nas do włączenia wentylatorów. Graves zatkał nos.

- Co to jest, na Boga? - zapytał. - Przypomina trochę martwe dziecko.

Starzec zaklął cicho.

- Powinieneś chyba udzielić nam bliższych informacji - powiedział. - Chcę żebyś to zbadał. Tylko pracuj w ubraniu ochronnym i nie myśl, że to jest martwe.

- Jeżeli to jest żywe, to ja jestem księżniczka Anna.

- Może jesteś, a w każdym razie masz szansę. Weź się do pracy. Wiemy, że to pasożyt, zdolny przyssać się do żywiciela, na przykład człowieka i kontrolować go. Z całą pewnością jest istotą pozaziemską.

Szef laboratorium pociągnął nosem. - Pozaziemski pasożyt na ludzkim żywicielu? Absurdalne.

Niemożliwe, żeby ich organizmy mogły żyć w symbiozie chociażby ze względów chemicznych.

Starzec wyraźnie się zdenerwował.

- Do cholery z twoimi teoriami! Widzieliśmy jak żerował na człowieku. Jeżeli to organizm ziemski, to ciekaw jestem jakie znajdziesz dla niego miejsce wśród stworzeń zamieszkujących Ziemię. Chyba nie sądzisz też, że jest jedynym

przedstawicielem gatunku? A poza tym skończmy z tymi przypuszczeniami, chcę faktów.

- Dostaniesz je - wrzasnął biolog.

- Zaczynj badania i postaraj się, bym dostał z powrotem większą część pasożyta. Potrzebuję tego jako dowodu. Pamiętaj, że to jest żywe, więc jednocześnie niewyobrażalnie niebezpieczne. Jeśli zaatakuje jednego z twoich ludzi, to będę musiał go zabić.

Szef laboratorium nie odpowiedział nic, ale to co usłyszał zrobiło na nim spore wrażenie.

Starzec usiadł w fotelu i zamknął oczy. Wyglądał jakby spał. Oboje z Mary staraliśmy zachowywać się jak najciszej. Po pięciu minutach otworzył oczy.

- Jak myślisz Sam, ile takich stworzeń mogło przybyć na Ziemię? Załóżmy, że ich statek był takiej wielkości jak atrapa, którą widzieliśmy - odezwał się po chwili.

- Dowody są dość mgliste.

- Mgliste, ale niezaprzeczalne. Musiał wylądować statek kosmiczny i czuję, że jeszcze tu jest.

- Powinniśmy sprawdzić tamto miejsce.

- Zrobimy to, jak będziemy już coś wiedzieli. Nasi agenci nie byli głupcami.

Co myślisz o owym pojeździe?

- Wielkość statku nie mówi nic o jego zawartości. Nie wiemy jaki ma napęd, przyspieszenie, jakie zawiera wyposażenie, czego potrzebowali do podróży pasażerowie. W tej sytuacji nie mamy szans na jednoznaczną ocenę.

- Tak. Dajmy na to, że stworów jest kilkaset. Więc mamy dziś wieczorem kilkaset zombi w stanie Iowa. I co możemy zrobić? Biegać po ulicach i zabijać wszystkich, którzy mają zgarbione plecy? To dopiero byłby temat do plotek - uśmiechnął się nieznacznie.

- Jest jeszcze jedno ważne pytanie, na które nie znajdziemy odpowiedzi: jeżeli jeden statek kosmiczny wylądował dzisiaj w Iowa, to ile ich może wylądować jutro w Północnej Dakocie, albo Brazylii.

- Masz rację - powiedział, wyglądał na bardzo zatroskanego. - Ale bez względu na to, ile jeszcze jest takich pytań, nie mamy czasu do stracenia. Musimy zacząć działać nawet jeśli niespecjalnie wiadomo od czego zacząć.

Wszyscy udaliśmy się do Sekcji Kosmetycznej, aby powrócić do pierwotnego wyglądu. Po zabiegu poszedłem do klubu w budynku biura. Chciałem się czegoś



napić, ale przede wszystkim szukałem Mary. Nie wiedziałem tylko czy szukam brunetki, blondynki, czy też rudej. Byłem jednak pewien, że rozpoznam jej boskie ciało. Rozejrzałem się po sali. Więc jednak naprawdę była ruda. Siedziała w kabinie i piła drinka. Wyglądała dokładnie tak, jak wtedy, gdy przedstawił mi ją Starzec.

- Witaj siostrzyczko! - powiedziałem.

- Cześć braciszku! - odpowiedziała, uśmiechając się i wskazując mi miejsce obok siebie.

Zamówiłem dla siebie burbona z wodą w celach leczniczych.

- Czy tak naprawdę wyglądasz? - zapytałem nieśmiało.

- Nie całkiem. Naprawdę jestem w paski jak zebra i mam dwie głowy. A ty? - popatrzyła na mnie z rozbawieniem.

- Nigdy się tego nie dowiedziałem. Moja matka udusiła mnie poduszką, zaraz po tym jak ujrzała mnie pierwszy raz. Tym razem spojrzała na mnie pobłaźliwie.

- Jestem w stanie to zrozumieć. Ale już chyba się przyzwyczaiłam do ciebie.

- Dziękuję - powiedziałem. - Może podarujemy sobie tę siostrę i brata. Mam przez to zahamowania.

- Myślę, że ci się przydadzą.

- Ależ skąd. Jestem łagodny. Nie ma we mnie żadnej agresji.

Byłem pewien, że gdybym położył rękę na jej dłoni, nie byłoby to mile widziane, niewiele zostałyby również z mojej ręki.

- Może spróbujemy dziś wieczór zapomnieć o tym wszystkim. Wypij i zamówimy jeszcze - szybko wychyliła swój kieliszek. Siedzieliśmy niewiele mówiąc, czułem się wspaniale. Było mi bardzo dobrze. Wszystkie zmartwienia odpłynęły gdzieś daleko. Nieczęsto zdarzają się takie chwile, szczególnie w tym zawodzie. Może dlatego tak silnie odczuwałem ich urok.

Jedną z pozytywnych cech Mary było to, że nie prowokowała mężczyzn. Chyba, że w celach zawodowych. Wiedziała jak wielką siłą oddziaływania dysponuje. Miała jednak ujmujący sposób bycia. Zachowywała się akurat na tyle kobieco, abyśmy oboje czuli się miło i nieskrępowanie.

Patrzyłem na nią i myślałem, jak dobrze byłoby mieć ją obok siebie na co dzień, budzić się obok niej, siedzieć razem przy kominku. Ze względu na moją pracę nigdy nie myślałem o małżeństwie. Zresztą dziewczyna jest tylko dziewczyną i nie ma się czym ekscytować. Ale Mary... Mary jest nie tylko wspaniałą kobietą, lecz także agentem. Z nią mógłbym rozmawiać godzinami. W tym momencie

uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem dotychczas samotny.

- Mary?

- Tak?

- Czy jesteś mężatką?

- Jeśli pytasz poważnie, to nie. A o co chodzi? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie ma - odpowiedziałem. - Jestem teraz absolutnie poważny. Spójrz na mnie. Mam obydwie ręce, obydwie nogi, jestem jeszcze młody i nie wchodzę do domu w zabłoconych butach. Mogłaś trafić gorzej.

Roześmiała się radośnie.

- Tylko mi nie mów, że już niedługo dostaniesz lepsze stanowisko.

- Dlaczego nie?

- Nie robię ci wymówek. Stwierdzam tylko, że twoja technika jest do niczego.

Nie ma żadnego powodu, by tracić głowę i proponować kobiecie małżeństwo, tylko dlatego, że nie zamierza przespać się z tobą dzisiejszej nocy. Niektóre kobiety mogłyby zmusić cię do spełnienia tej obietnicy.

- Wziąłem to pod uwagę - powiedziałem zirytowany.

- W takim razie, jakie warunki finansowe proponujesz?

- Do cholery! Zgadzam się, nawet jeśli chcesz takiego typu kontraktu.

Zatrzymasz swoją pensję, a ja oddam ci połowę mojej. Oczywiście do czasu, kiedy będziesz ze mną.

- Tak naprawdę, to nie chcę czegoś takiego. Nie z mężczyzną, dla którego najważniejsze jest to, by być ze mną.

- Tak myślałem.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy traktujesz to wszystko poważnie.

Przypuszczam, że tak - powiedziała dziwnie miękko.

- Traktuję to bardzo poważnie.

- Agent nie powinien się wiązać. Wiesz o tym.

- Agent nie powinien się wiązać z nikim oprócz drugiego agenta. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zamilkła. Mój nadajnik mówił mi coś do ucha. To był głos Starca. Wiedziałem, że Mary słyszy to samo. Wzywał nas do siebie. Wstaliśmy oboje bez słowa. Przy drzwiach, Mary nagle zatrzymała się i popatrzyła mi prosto w oczy.

- To jest właśnie powód, dla którego nie należy rozmawiać o małżeństwie.

Mamy ważne zadanie do wykonania. I obiecaj mi, że przez ten cały czas będziesz

myślał tylko o tym.

- Nie - krzyknąłem na cały głos.

- Nie drażnij mnie! Wyobraź sobie, że już jesteś żonaty i pewnego ranka znajdujesz takiego potwora na ciele swojej żony.

Albo, ja znajduję coś takiego na twoim ciele.

- Zaryzykuję i na pewno nie pozwolę, żeby cokolwiek stało się tobie.

- Nie wierzę, że możesz mnie przed tym ochronić. Do biura Starca szliśmy w milczeniu.

- Wyjeżdżamy - oznajmił nam, kiedy pojawiliśmy się w jego gabinecie.

- Gdzie? - zapytałem. - A może nie powinienem pytać?

- Do Białego Domu. Musimy się zobaczyć z Prezydentem. I zamknij się już!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zanim zdarzy się katastrofa, wybuchnie pożar czy epidemia, pojawia się krótki czas, kiedy wszelkie podejmowane działania zawodzą. I to był właśnie taki moment. Nie trzeba znajomości wyższej matematyki, żeby to zrozumieć. Wszystko zależy od natychmiastowego rozpoznania sytuacji i podjęcia właściwej akcji, zanim wszystko wymknie się z rąk. Jakiego działania oczekiwał Starzec od Prezydenta można się domyślać. Chciał ogłoszenia stanu zagrożenia, odseparowania obszaru Des Moines, rozkazu zatrzymania każdego, kto chciałby się stamtąd wymknąć, bez względu na wiek, płeć, rasę. Należało sprawdzać każdego. Uruchomić radary, ostrzec stacje kosmiczne i raketowe, żeby były w każdej chwili gotowe zniszczyć następny, próbujący wylądować statek. Trzeba uprzedzić inne państwa, bez natrętnego powoływania się na prawa międzynarodowe. W tej sytuacji chodzi o bezpieczeństwo wszystkich, nawet nie, teraz chodzi o przetrwanie. W tym momencie nieważne jest skąd przychodzą agresorzy, z Marsa, Jowisza czy z Systemu Słonecznego. Trzeba odeprzeć inwazję.

Starzec przemyślał wszystko i wyciągnął z tego wnioski. Posiadał ten genialny dar znajdowania właściwych rozwiązań w sytuacjach nierozpoznanych do końca, pełnych znaków zapytania. Czasami aż trudno w to uwierzyć. Nie znam drugiego człowieka, którego umysł pracowałby tak, jak umysł Starca. Większość ludzi zazwyczaj zatrzymuje się w momencie, gdy fakty kłócą się z przyjętymi zasadami. Dla niego są to tylko bodźce, prowadzące go dalej. Dlatego Prezydent tak bardzo liczył się z jego zdaniem.

Ludzie z Tajnej Służby sprawdzili nas bardzo uprzejmie. Oddałem swój rozpylacz. Mary okazała się chodzącym arsenałem. Maszyna wydała z siebie aż cztery sygnały i zakrzuszyła się, choć przysięgam, że Mary była prawie naga i w zasadzie niczego niemogła ukryć.

Starzec oddał swoją łaskę bez słowa. Przypuszczam, że nie chciał żeby ją prześwietlano. Najwięcej kłopotu przysporzyły im nasze nadajniki. Wykryły je promienie rentgena i detektor metalu, ale personel nie był przygotowany na operacje chirurgiczne. Po porozumieniu się z sekretarzem Prezydenta, szef straży orzekł, że przedmioty wmontowane w ciało nie są traktowane jako broń. Wzięli jeszcze nasze odciski palców, sfotografowali siatkówki oczu i w końcu wprowadzono nas do poczekalni. Po chwili poproszono Starca, ale samego.

- Zastanawiam się, dlaczego wszedł tam bez nas - zapytał Mary. - Przecież wiemy tyle samo.

Nie odpowiadała, więc zacząłem myśleć o systemie bezpieczeństwa Prezydenta. Miał strasznie dużo słabych punktów. Za żelazną kurtyną wszystko, co związane z ochroną dostojników państwowych jest zorganizowane o wiele lepiej. Zamachowiec z odrobiną talentu bardzo łatwo wyprowadziłby w pole taką obstawę jak ta. Byłem tym oburzony.

Po chwili i nas wprowadzono do Prezydenta. Zdałem sobie wtedy sprawę, jak wielką mam treść. Ze zdenerwowania potykałem się o własne nogi. Kiedy weszliśmy, Starzec przedstawił nas. Ja wydałem z siebie jakiś nieartykułowany jęk, a Mary ukloniła się.

Prezydent powiedział, że jest mu bardzo miło nas poznać i wykonał ten rodzaj uśmiechu, który często można zobaczyć w telewizji. A jednak uwierzyłem w to, iż jest mu bardzo miło i przestałem czuć się zakłopotany. Nagle przestałem się też martwić o los ludzkości. Byłem pewien, że ktoś taki jak on z pomocą Starca szybko i sprawnie załatwi wszystkie problemy.

Starzec rozkazał mi opowiedzieć wszystko, co widziałem i słyszałem, a także co robiłem w związku z tą sprawą. Starałem się zrobić to krótko i zwięźle, nie pomijając jednocześnie niczego, co mogłoby być ważne. Spojrzałem na Prezydenta, żeby uchwycić jego spojrzenie, kiedy doszedłem do zabicia Barnes'a, ale nie patrzył na mnie. Dałem wyraźnie do zrozumienia, że uczyniłem to, by ochronić Mary, kiedy dostrzegłem, że tamten sięgnął po broń.

- Powiedz wszystko - upomniał mnie szef. Zeznałem więc, że to Starzec kazał mi strzelać. W tym momencie Prezydent spojrzał na niego. To była jego jedyna reakcja. Wtedy odezwała się Mary. Trochę niezdarnie próbowała mu wyjaśnić, jak wyczuła, że McLainowie i Barnes pozostawali obojętni na jej wdzięki. Prezydent przez cały czas uśmiechał się do niej uprzejmie i kiwał głową ze zrozumieniem.

- Prawie pani wierzę, młoda damo - powiedział uprzejmie. Mary zarumieniła się. Prezydent słuchał jednak uważnie, aż skończyła.

- Andrew, twoja sekcja jest nieoceniona. Wiele razy, gdyby nie ty i twoi ludzie... - zwrócił się do Starca.

- Nie wierzysz nam? - przerwał mu Starzec. - Przecież tego nie powiedziałem.

- Wydaje mi się, że byłeś tego bliski.

Prezydent wzruszył ramionami.

- Chciałem, żeby twoi ludzie wyszli, ale teraz nie ma to znaczenia. Andrew, jesteś geniuszem, ale i geniusze popełniają błędy. Przepracowują się i tracą zdolność obiektywnego widzenia sytuacji. Ja nauczyłem się odpoczywać i odreagować już wiele lat temu. Powiedz mi, ile czasu upłynęło od twoich ostatnich wakacji?

- Do cholery z wakacjami! Zrozum, przywiozłem świadków, bo przewidziałem twoją reakcję. Nie są pod wpływem narkotyków, nikt ich też nie nauczył, co mają mówić. Sprowadź swoich specjalistów i sprawdź prawdziwość ich opowieści.

Prezydent pokiwał głową.

- Nie przywiózłbyś świadków nie obeznanych z czymś takim. Myślę, że lepiej się na tym znasz niż ktokolwiek, kogo chciałbym wezwać. Weźmy tego młodzieńca - jest gotów mordować dla ciebie. Wzbudzasz zaufanie. A jeśli chodzi o tę młodą damę, nie mogę rozpętać wojny, opierając się prawie wyłącznie na kobiecej intuicji.

Mary zrobiła krok w jego kierunku.

- Panie Prezydencie - zwróciła się do niego poważnie - ja naprawdę to czuję, za każdym razem. To nie byli normalni mężczyźni.

- Nie chcę dyskutować o tym, co pani czuła. Ale nie bierze pani pod uwagę całkiem prostego wytłumaczenia. Może oni byli impotentami. Wybacz mi młoda damo, ale to się czasem zdarza. Prawdopodobnie mija ich pani ze czterech w ciągu dnia - odpowiedział po krótkim wahaniu.

Mary zupełnie straciła ochotę na dalszą dyskusję. Starzec nie poddawał się.

- Słuchaj Tom, skończ z tym pieprzeniem! - Zadrzałem, chyba nie mówi się tak do Prezydenta. - Znaliśmy się, kiedy jeszcze byłeś senatorem. Masz powody żeby mi ufać. Wiesz, że nie przyszedłbym do ciebie z tą bajeczką, gdybym znalazł jakieś inne wytłumaczenie dla tych wszystkich zdarzeń. Nie można ignorować faktów, szczególnie jeśli widziało się je na własne oczy. Musimy ich zniszczyć, a przynajmniej stawić im czoło. Co z tym statkiem kosmicznym? Dlaczego nie mogę się dostać do miejsca, gdzie wylądował - wyciągnął zdjęcie zrobione przez stację Beta i podsunął je Prezydentowi pod nos. Ten jednak nie wyglądał na zaniepokojonego.

- Fakty. Wiesz dobrze, że tak samo jak ty, doceniam wagę faktów. Ale ja mam kilka innych źródeł informacji oprócz twojej Sekcji. Weźmy na przykład to zdjęcie, mówiłeś o nim, kiedy dzwoniłeś. Sprawdziłem to. Wymiary farmy McLainów zarejestrowane w lokalnym sądzie dokładnie pasują do pomiarów triangulacyjnych na tym zdjęciu.

- Tom... - odezwał się Starzec.

- Tak, Andrew?

- Czy pojechałeś tam i sprawdziłeś to osobiście?

- Oczywiście, że nie.

- Dzięki Bogu - Starzec, mówiąc patrzył w sufit. - Inaczej nosiłbyś na plecach trzy funty pulsującego świństwa. Boże, uchroni Stany Zjednoczone. Możesz być pewien, że urzędnik sądowy i agent, którego wysłałeś, obydwoj są opętani przez pasożyty, podobnie jak szef policji, wydawcy gazet, gońcy, gliny oraz wszyscy ważniejsi ludzie w Des Moines. Tom, oni wiedzą kim jesteście, a my nie wiemy nawet z czym przyszło nam walczyć. Jeśli opanują wszystkie ważniejsze dziedziny naszego życia i społeczeństwo, to żadna prawdziwa wiadomość nie zostanie przekazana. Zmienią wszystkie dane, tak jak zrobili to z informacją o miejscu lądowania statku kosmicznego. Panie Prezydencie zwrócił się do niego poważnie - musi pan wprowadzić natychmiastową, drastyczną kwarantannę w obszarze Des Moines. Inaczej nie będziemy mieli żadnej szansy.

- Miałem nadzieję, że ci tego oszczędzę, ale... - włączył coś na pulpicie biurka.

- Połączcie mnie ze stacją telewizyjną w Des Moines, z biurem dyrektora.

Szybko rozświetlił się ekran zamontowany w ścianie. Patrzyliśmy na pokój, w którym byliśmy kilka godzin temu. Zaglądaliśmy do wewnątrz zza pleców człowieka stojącego do nas tyłem i zasłaniającego prawie cały ekran. To był Barnes, albo jego brat bliźniak. Byłem wstrząśnięty. Zazwyczaj, kiedy zabija się człowieka, oczekuje się od niego, żeby pozostał martwy. Wciąż jednak bardziej wierzyłem sobie i temu, co widziałem.

- Szukał mnie pan, panie Prezydencie? - powiedział człowiek z ekranu a jego głos brzmiał, jakby był oszołomiony wyróżnieniem.

- Tak. Panie Barnes, czy rozpoznaje pan kogokolwiek z tych ludzi?

Dyrektor zrobił zdziwioną minę.

- Obawiam się, że nie. A powinienem?

- Powiedz mu, żeby zawołał ludzi do gabinetu - odezwał się Starzec.

Prezydent spojrział na Starca, w jego oczach dostrzegłem kpinę, ale zrobił to. Barnes wyglądał na zakłopotanego, jednak nie miał wyjścia. Po chwili weszło kilka osób. W większości kobiety. Rozpoznałem sekretarkę, siedzącą zazwyczaj przy drzwiach szefa.

- Ach, to Prezydent! - szepnęła jedna z kobiet. Nikt z zebranych

oczywiście nas nie poznał. Nic dziwnego jeśli chodzi o mnie i Starca, ale przecież Mary wyglądała tak samo. Jej wygląd zapisuje się w pamięci każdej kobiety, która kiedykolwiek ją widziała. Może odpowiedzią na to był fakt, że wszyscy tam obecni mieli zaokrąglone plecy, tak samo jak Barnes.

Prezydent podszedł do Starca i położył mu rękę na ramieniu.

- Poważnie radzę ci, żebyś pojechał na wakacje. - Uśmiechnął się sztucznie. - Republika nie upadnie przez ten czas, zajmę się nią do twojego powrotu.

Dziesięć minut później staliśmy na Rock Creek. Starzec jakby się skurczył, po raz pierwszy wyglądał na zrezygnowanego.

- Co teraz szefie?

- Dla was dwojga nic. Jesteście wolni do odwołania.

- Zajrzałbym jeszcze do biura Barnes'a.

- Ani mi się waż! I trzymaj się z daleka od Iowa. To rozkaz. A co ty masz zamiar robić, jeśli wolno spytać?

- Słyszałeś, co powiedział Prezydent? Wybieram się na Florydę. Będę leżał w słońcu i czekał, aż świat diabli wezmą. Jeżeli masz trochę rozumu zrobisz to samo. Zostało cholernie mało czasu.

Spróbowałem wyprostować ramiona i odszedł. Odwróciłem się, by powiedzieć coś do Mary, ale i ona oddaliła się. Rada Starca wydała mi się bardzo słuszna a zrealizowanie jej z Mary, byłoby pełnią szczęścia. Rozejrzałem się jeszcze dookoła, lecz nigdzie jej nie było. Podbiegłem do Starca.

- Przepraszam szefie! Dokąd poszła Mary?

- Nie ma wątpliwości, chce pewnie wykorzystać, może ostatnią, okazję na urlop. I nie zawracaj mi głowy!

Rozważałem próbę odnalezienia jej przez Sekcję, ale przypomniałem sobie, że nie znam jej nawet prawdziwego imienia.

Mogłem jeszcze ją opisać, tylko skąd pewność, że naprawdę wygląda tak jak teraz. Podczas naszych dwu spotkań, dwa razy miała rude włosy, w tym raz na pewno z wyboru. Znam się na kobietach, a ona jest jedną z tych, o które mężczyźni walczą. Jak mogłem przekazać to przez telefon?

Zniechęcony znalazłem sobie pokój na noc. Zastanawiałem się, dlaczego właściwie nie wyjechałem ze stolicy i nie wróciłem do własnego mieszkania. Potem pomyślałem, że może jest tam jeszcze tamta blondynka. Próbowałem sobie przypomnieć, skąd ona się właściwie wzięła. Po chwili zasnąłem.





## ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudziłem się o zmierzchu. Pokój, który wynająłem miał olbrzymie okno. Wyjrzałem, żeby popatrzeć na nocne życie wielkiego miasta. Widać było stąd rzekę, która błyszczała od świateł neonów. Małe łódki, wożące nocą zakochanych wyglądały jak świetliki. Całe miasto, kolorowe i pełne świateł, sprawiało wrażenie krainy czarów. Znałem ten widok bardzo dobrze. W związku z moją pracą bywałem tu często, także o tej porze. Ale dzisiaj jego nastrój robił na mnie zupełnie inne wrażenie niż zwykle. Jego piękno nie pozwalało mi zapomnieć o tym, co się stało. Wręcz czułem ból, kiedy pomyślałem o wszystkich ludziach nieświadomych zbliżającej się tragedii. Współczułem tym, którzy zostali już opanowani przez pasożyty i jak marionetki wypełniają wolę swoich władców. Obiecałem sobie, że jeśli uda się tym potworom opanować świat, nie będę czekał, aż któryś z nich zajmie się mną osobiście. Dla agenta to nie jest trudne. Starzec jest mistrzem od wymyślania ekstremalnych sytuacji. Chociaż wiedziałem, że moim zadaniem jest chronić ludzi, a nie uciekać, kiedy będą w kłopotach.

Odwrociłem się od okna. Byłem przytłoczony własną bezradnością. Zdecydowałem, że jedynym lekarstwem na mój stan może być jakieś towarzystwo. Na stoliku leżały katalogi biur towarzyskich i agencji modelek, ale była tylko jedna dziewczyna, którą naprawdę chciałbym wziąć w ramiona tej nocy. Tylko zupełnie nie wiedziałem, gdzie ona może być.

Zawsze noszę przy sobie pigułki czasowe, większość agentów to robi. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się stać jedynym ratunkiem przed kompletnym załamaniem. Zresztą, wbrew propagandzie, nie uzależniają one nawet w takim stopniu, co oryginalny haszysz. Chociaż purytanie i tak powiedzieliby, że jestem narkomanem, bo przyzwyczałem się brać je od czasu do czasu. Przyznam też, że lubię tę subtelną euforię, która jest efektem ubocznym. Przede wszystkim jednak wydłużają one subiektywny czas przynajmniej dziesięć razy. W efekcie żyje się dłużej, niż według zegarka i kalendarza. Nie można z nimi przesadzać. Znam historię faceta, który umarł w ciągu miesiąca przez częste branie pigułek. Ale ja używam ich bardzo rzadko. Może to niezły pomysł? Żył długo i można być pewnym, iż był szczęśliwy. A jakie to ma znaczenie, że przez ten cały czas słońce weszło tylko trzydzieści razy? Kto powiedział, że to gorsze?

Siedziałem przy stole, gapiąc się na pudełko z pigułkami. Miałem ich

wystarczająco dużo, żeby cieszyć się chwilą obecną przez dwa lata. Mógłbym zamknąć się w tej dziurze i zapomnieć o wszystkim. Wyjąłem dwie pigułki i nalałem sobie szklankę wody. Wziąłem spluwę i wyszedłem z hotelu. Udałem się do Biblioteki Kongresowej.

Po drodze wstąpiłem do baru na jednego drinka i obejrzałem wiadomości. Żadnych informacji o Iowa. Ale czy przekazywane są stamtąd jakieś wiadomości?

W bibliotece poszedłem prosto do głównego katalogu. Założyłem okulary i zacząłem szukać. „Latające talerze”, „Latające dyski”, „Błyski na niebie”, „Ogniste kule”, „Teorie kosmicznego rozprzestrzeniania się źródeł życia” i dwa tuziny innych ślepych uliczek i szalonych pomysłów literackich. Potrzebowałbym miernika Geigera, żeby zorientować się, co z tego wszystkiego ma jakiś sens. Tym bardziej, że to czego potrzebowałem, według semantycznego klucza klasyfikacji, powinno się znajdować gdzieś między bajkami Ezopa, a mitem o zagubionym kontynencie. Pomimo to, po godzinie miałem ręce pełne rewersów. Podałem je dziewiczej westalce siedzącej za biurkiem. Długo czekałem, aż sprawdzi, czy będę mógł je otrzymać.

- Większość filmów o jakie panu chodzi jest właśnie w użyciu - powiedziała w końcu - ale część zostanie dostarczona do pokoju 9-A. Może pan pojechać tam windą.

Pokój 9-A był zajęty. Nie posiadałem się ze szczęścia, kiedy ujrzałem Mary.

- No proszę. To się nazywa wilcza natura. Jak zdołałeś mnie tu odnaleźć?

Mogłabym przysiąc, że postawiłam sprawę jasno.

- Witaj agencji - powiedziałem.

- Witaj - odrzekła - a teraz żegnaj. Myślę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, a teraz pracuję.

- Słuchaj, ty mała, próżna idiotko, może to dla ciebie dziwne, ale ja także czasami pracuję. Na pewno nie przyszedłem tu szukać, twojego niewątpliwie powabnego ciała. Mam nadzieję, że zniesiesz moją niepożądaną obecność, aż przyniosą mi filmy. Potem postaram się znaleźć inne miejsce pracy - wrzeszczałem, nie panując nad sobą.

Zamiast wybuchnąć. Mary nagle zmiękła. Zresztą dowiodła tym, iż jest lepiej wychowana ode mnie.

- Przepraszam Sam. Kobiety tak często spotykają się z wypadkami natręctwa. Usiądź proszę.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałem. - Poczekam tylko aż dostarczą moje materiały. Naprawdę mam zamiar popracować.

- Zostań tutaj - upierała się. - Przeczytaj sobie tę informację na ścianie. Jeżeli wyniesiesz filmy z pokoju, do którego zostały przyniesione, to postawisz na nogi cały personel i przyprawisz szefa biblioteki o załamanie nerwowe.

- Przyniosę je, jak tylko skończę. Mary podeszła do mnie i dotknęła mojego ramienia. Poczułem ciepło rozchodzące się po całym ciele.

- Proszę Sam. Jest mi przykro. Usiadłem i uśmiechnąłem się.

- Za nic stąd nie wyjdę. Nie oczekiwałem, że cię tu spotkam, ale jeśli tak się stało, to nie pozwolę ci stąd wyjść zanim nie podasz mi swojego adresu, numeru telefonu i prawdziwego koloru włosów.

- Nigdy się tego nie dowiesz - powiedziała łagodnie i zabawnie zmarszczyła nos.

Ostentacyjnie wróciła do pracy, udając że mnie ignoruje. Była jednak zadowolona z mojej obecności.

Tymczasem winda transportowa otworzyła się, a szpule z moimi filmami wysypały się do koszyka. Pozbierałem je i poukładałem na wolnym stole. Jedna ze szpul wypadła mi z rąk, potoczyła się w kierunku materiałów Mary. Moja współpracowniczka podniosła wzrok. Sięgnąłem po szpulę, którą zamówiłem i położyłem obok siebie.

- Hej - zawołała - to moje.

- Tak, na pewno - mruknąłem uprzejmie.

- Naprawdę. Zaraz będę je potrzebowała. Szybko zrozumiałem powód nieporozumienia. Mary przyszła tutaj w tym samym celu, co ja.

- To dlatego nie mogłem prawie nic dostać - powiedziałem - ale nie byłaś dokładna, znalazłem to, co ty przeoczyłaś.

Mary popatrzyła na moje zbiory i ułożyła wszystkie szpule na jedną stertę.

- Podzielimy się tym po połowie, czy obydwójce przejrzymy wszystko?

- Każde z nas wyrzuci ze swojej połowy niepotrzebne taśmy, a potem oboje przejrzymy to, co zostanie - zdecydowałem.

- Zabierzmy się więc do pracy.

Nawet po zobaczeniu pasożyta na plecach nieszczęsnego Barnes'a i po przekonywaniach Starca, że latający talerz jednak wylądował, nie byłem przygotowany na tak ogromną ilość dowodów zgromadzonych w bibliotece. Trzeba być absolutnym niedowiarkiem albo głupcem, żeby przy tak niezbitych dowodach stworzyć taką formułę jak Digby. Ziemia była bowiem nawiedzana przez pojazdy

kosmiczne od bardzo dawna i wiele razy. Niektóre raporty pochodziły z XVII wieku, zdarzały się i wcześniejsze. Ale tych nie warto chyba traktować jako dowodów. Pierwsze systematyczne dane pochodzą ze Stanów Zjednoczonych z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. W latach osiemdziesiątych, najwięcej przypadków zdarzyło się na Syberii.

W pewnym momencie coś mnie zaniepokoiło i gorączkowo zacząłem sprawdzać dane. Dziwne obiekty na niebie ukazywały się bowiem dość regularnie w trzydziestoletnich odstępach. Zanotowałem to, żeby przekazać informację facetom od analizy statystycznej. Chociaż bardziej prawdopodobne, że więcej będzie mógł powiedzieć na ten temat Starzec, kiedy zapozna się z tym materiałem.

„Latające talerze” połączono razem z „niewytłumaczonymi zniknięciami” nie dlatego, że traktowano je jak węże morskie, krwawe deszcze czy inne szalone pomysły, ale dlatego, że bardzo często pojawienie się niezidentyfikowanego obiektu wiązało się z pościgiem i niewyjaśnionymi zaginięciami pilotów. Oficjalnie stwierdzano, że samolot się rozbił, pilot prawdopodobnie zginął, choć wszędzie znajdowało się zastrzeżenie, że nigdy ich nie odnaleziono. Wydawało mi się to niezbyt przekonujące.

Nagle pomyślałem o czymś zupełnie szalonym. Próbowałem sprawdzić czy nie wyjaśnione zniknięcia również następują w trzydziestoletnich cyklach i czy zjawiska te nakładają się. Wydawało mi się, że tak jest, ale nie byłem pewien. Zbyt dużo danych i za mała fluktuacja. A poza tym, tak wielu ludzi znika każdego roku w niewyjaśnionych okolicznościach. Zanotowałem najważniejsze wydarzenia, żeby przekazać je specjalistom od analizy.

Fakt, że większość doniesień pochodziła właściwie z jednego obszaru geograficznego, nie dziwił mnie specjalnie.

Wydawało się oczywiste, że istoty najpierw próbowały zająć się tym obszarem, który wyglądał najbardziej interesująco. Było to tylko moje przypuszczenie.

Mary i ja, przez całą noc nie zamieniliśmy słowa. Co jakiś czas któreś z nas wstawało, żeby rozprostować kości. Potem musiałem pożyczyć Mary żetony na opłacenie wypożyczonych filmów.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytałem wyczerpany. - Nie wiem, ale czuję, że znalazłam się na niezbyt pewnym gruncie.

- Więc czujemy się podobnie.

- Musimy coś zrobić Sam. Trzeba przekonać Prezydenta. Tutaj jest tyle dowodów, świadectw. A jeżeli tym razem przybyli tu, aby zostać.

- To całkiem możliwe.

- Więc co zrobimy?

- Może przekonamy się na własnej skórze, że w tym kraju ślepców, jeden widzący może mieć ogromne kłopoty.

- Nie bądź cyniczny! Nie ma na to czasu.

- Więc zabierajmy się stąd.

Światło zgasło, kiedy wychodziliśmy. Biblioteka już opustoszała.

- Myślę, że możemy kupić coś do picia i wybrać się do jego pokoju w hotelu, żeby to wszystko spokojnie przedyskutować - zaproponowałem.

- Nie do hotelu - sprzeciwiła się Mary.

- Daj spokój - znecierpliwilem się - przecież to sprawy służbowe.

- Chodźmy do mojego mieszkania. Zrobimy sobie dłuższy spacer. Dotrzemy akurat na śniadanie.

- To najlepsza propozycja tej nocy. Ale poważnie mówiąc, dlaczego nie do hotelu? Tam także możemy dostać śniadanie. Zaoszczędzilibyśmy sobie półgodzinnej podróży.

- Nie chcesz odwiedzić mojego mieszkania?

- Marzę o tym. Zastanawiam się tylko, skąd ta zmiana?

- Może chcę ci pokazać pałapki na niedźwiedzie, które poustawiałam dookoła łóżka. Albo chcę ci udowodnić, że umiem gotować - uśmiechnęła się radośnie.

Zawołałem taksówkę i pojechaliśmy do niej. Kiedy dotarliśmy, zostawiła mnie przed drzwiami, a sama sprawdziła czy mieszkanie jest bezpieczne.

- Odwróć się, chcę sprawdzić twoje plecy - odezwała się.

- Dlaczego?

- Odwróć się!

Dłużej nie dyskutowałem. Sprawdziła mnie dokładnie.

- Teraz możesz mnie sprawdzić.

- Z przyjemnością! - również zrobiłem to dość dokładnie.

Pod jej ubraniem nie było nic. Wyczułem tylko kobiece kształty i śmiercionośne żelastwo.

Odwróciła się i odetchnęła z ulgą.

- To dlatego nie chciałam iść do hotelu. Tutaj jesteśmy naprawdę bezpieczni. Może pierwszy raz od długiego czasu. To mieszkanie jest czyste. Uszczelniłam nawet kanalizację, kiedy wyjeżdżałam.

- Na pewno nie ma żadnego sposobu, by mogły się tu dostać?

- Nie. Wymontowałam także klimatyzację. Zamiast tego jest butla z tlenem.

Nie martw się. Co chcesz zjeść?

Miałem ochotę na nią. Byłem również bardzo głodny.

- Czy jest jakaś szansa na dwufuntowy, wypieczony stek? - zapytałem z nadzieją.

Podzieliliśmy się pięcioletnim stekiem i mogę przysiąc, że zjadłem mniejszą część. Jedząc oglądaliśmy wiadomości. Wciąż żadnych wieści z Iowa.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

A jednak nie pokazała mi pułapek na niedźwiedzie. Zamknęła za sobą drzwi od sypialni. Wiem, bo sprawdzałem. Trzy godziny później obudziła mnie i zjedliśmy drugie śniadanie. Zapaliłem papierosa i włączyłem telewizor. Trwała właśnie transmisja z wyborów „Miss Ameryka”. Zazwyczaj lubię oglądać takie programy, ale kiedy spostrzegłem, że dziewięć kandydatek ma podejrzenie zaokrąglone plecy ogarnęło mnie obrzydzenie.

- Weźmy się do pracy - powiedziałem. Próbowałem zapomnieć o tym koszmarnym widoku.

- Powinniśmy uporządkować wszystkie zebrane fakty i dostać się z tym do Prezydenta. On musi rozpocząć zdecydowaną akcję. Tylko czy nas przyjmie?

- Jedyne Starzec może nam pomóc. Włączyłem nadajnik. Użyłem obu naszych kodów, aby Mary też mogła słyszeć. Połączyłem się z biurem.

- Szef Departamentu Oldfield. Starzec jest nieosiągalny, zastępuję go. - Otrzymałem krótką odpowiedź.

- Musi być osiągalny! - zirytowałem się. Nastąpiła pauza.

- Nie ma was na liście. To coś oficjalnego?

- Myślę, że tak.

- Rozmów nieoficjalnych nie łączę, a oficjalne sam przyjmuję.

Szybko się wyłączyłem, zanim zdążyłbym go obrazić. Postanowiłem spróbować jeszcze raz. Starzec miał specjalny kod, którym można było połączyć się z nim osobiście. Biada jednak temu, który użyje go, bez ważnego powodu. Ostatni raz korzystałem z niego pięć lat temu.

- Słucham. - Był wyraźnie poruszony.

- Szefie... - powiedziałem - ja w sprawie Iowa...

- Co? - przerwał mi.

- Mary i ja spędziliśmy całą noc, przekopując dane zebrane w kartotekach.

Musimy z tobą koniecznie porozmawiać.

Oburzył się. Kazał mi wszystko wysłać do analizy. Był wściekły, że zawracam mu głowę i zamiast posłuchać jego rady, dalej zajmuję się sprawą statku kosmicznego.

- Szefie! - krzyknąłem, bo chciał się już rozłączyć.- Co?

- Jeżeli nie masz zamiaru się tym zainteresować, to ja i Mary oficjalnie



rezygnujemy z pracy w Sekcji.

Mary uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Cisza panowała bardzo długo.

- Hotel Palmglade, Miami Beach. Może jeszcze zdążę poraz ostatni się opalić  
- usłyszałem jego zmęczony głos.

- Już ruszamy.

Zamówiłem kurs do Miami. Po krótkiej chwili udaliśmy się w drogę.

Starzec rzeczywiście próbował się opalić. Znaleźliśmy go leżącego na plaży. Opowiadaliśmy mu wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, a on patrzył przed siebie, przesypując piasek w dłoniach. Spojrzał na nas z powątpiewaniem, kiedy opowiedzieliśmy o trzydziestoletnich cyklach pojawiania się obcych przybyszów. Spoważniał, gdy usłyszał o nakładających się na to zniknięciach. Nie dał mi nawet skończyć, od razu połączył się z Sekcją.

- Daj mi Oddział Analiz. Hallo, Peter? Tu szef. Zrób mi analizę niewyjaśnionych zaginięć od tysiąc osiemsetnego roku. Pomiń wszystkie czynniki, chodzi tylko o ilość. Co? Ludzi oczywiście. Kiedy? Natychmiast. Na co jeszcze czekasz?

Wstał. Podałem mu laskę.

- Wracamy. Tu nie możemy rozpocząć akcji odwetowej.

- Do Białego Domu? - zapytała Mary.

- Bądź rozsądna! Próbowaliśmy dwa razy, nadal nie mamy nic, co mogłoby przekonać Prezydenta.

- Więc co zrobimy?

- Mary, proszę, żebyś odzywała się tylko wtedy, kiedy masz genialne pomysły! - zirytował się Starzec.

Samochód stał niedaleko. Po drodze wpadł mi do głowy pewien plan.

- Szefie, chyba wymyśliłem sposób na przekonanie Prezydenta.

- Mów, natychmiast.

- Wyślij dwóch agentów, mnie i jeszcze kogoś z kamerą. A Prezydent niech przez cały czas, na bieżąco kontroluje sytuację.

- A jeżeli nic się nie wydarzy?

- To niemożliwe. Najpierw wybiorę się na miejsce lądowania, spróbuję odnaleźć prawdziwy statek, a potem wrócę do biura Barnes'a. Postaram się obnażyć plecy, któregoś z pracowników. To nie będzie takie trudne.

- Masz niewiele szans, żeby stamtąd powrócić synu.

- Nie przesądzaj! Te stwory nie dysponują żadną nadludzką siłą. Ich działalność jest ograniczona tylko do możliwości człowieka. Nie mam zamiaru zostać męczennikiem, chcę tam pójść, bo wierzę, że zwyciężymy. Dostarczę również niepodważalnych materiałów na taśmie filmowej.

- Dobrze.

- To rzeczywiście może się udać - wtrąciła się Mary. Ja będę tą drugą osobą...

- Nie - Starzec i ja powiedzieliśmy to jednocześnie. Zawstydzilem się, nie mam przecież prawa decydować.

- Chciałam zaznaczyć, że jestem najlepszym kandydatem. Myślę o mojej umiejętności wyczuwania pasożytów - próbowała przekonać Starca.

- Zdecydowałem już - powiedział Starzec. - Tam, gdzie znajdzie się Sam, prawdopodobnie wszyscy będą opanowani przez te potwory. Mam dla ciebie inne zajęcie.

W tym momencie Mary powinna była zamilknąć, ale nie zrobiła tego.

- Chciałabym wiedzieć, co to będzie. To ważne.

- Będziesz specjalnym strażnikiem Prezydenta. Dopóki nie wyjaśnię mu jak poważna jest sytuacja - wyjaśnił. Mary zamyśliła się na chwilę.

- Szefie... - powiedziała.

- Tak?

- Nie jestem pewna, czy rozpoznałabym kobietę zawładniętą przez pasożyta. Chyba się do tego nie nadaję.

- W porządku postaram się usunąć z jego biura wszystkie kobiety.

Zobowiązuję cię także do sprawdzania samego Prezydenta.

- Rozumiem.

- Wiceprezydent już od jakiegoś czasu szykuje się na jego stanowisko. Myślę o próbie zdrady. Podejmij wszystkie konieczne działania. W końcu Prezydent jest mężczyzną. Teraz, wracając do misji - zwrócił się do mnie - wyślę Jarvisa ze sprzętem i Davidsona jako dodatkowego strażnika. Jarvis zajmie się filmowaniem, Davidson będzie miał na niego oko, a ty będziesz pilnował obydwu. Myślę, że to wystarczający system zabezpieczeń!

- Wierysz, że się uda? - zapytałem.

- Podejmiemy przynajmniej próbę ratowania ludzkości. Kiedy byliśmy już gotowi do wyruszenia, przyszła do mnie Mary.

- Wróc Sam. Będę czekała - powiedziała cicho i przytuliła się.

Poczułem dreszcz, przez chwilę znowu miałem piętnaście lat.

Davidson prowadził, a ja pilotowałem przy pomocy wieloskalowej mapy, na której naniesiono dokładnie miejsce lądowania.

Nadal nie było mostu, musieliśmy skorzystać z objazdu. Zaparkowaliśmy dokładnie, według wskazówek zaznaczonych na mapie. Na lądowisko przedostaliśmy się przez zarośla. Nikt nie próbował nas zatrzymać. Ziemia dookoła wyglądała na świeżo wypaloną. Jakby zupełnie niedawno omiótł ją ogromny pożar. Latającego talerza nie zauważyliśmy. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołałby udowodnić, że cokolwiek tu lądowało. Ogień zatarł wszelkie ślady.

Jarvis wszystko sfilmował, ale czułem, że ta runda jest przegrana.

Wracając spotkaliśmy starego farmera. Trzymaliśmy się w bezpiecznej odległości, chociaż wyglądał nieszkodliwie.

- Co za pożar! - zagadnąłem, podchodząc na bezpieczną odległość.

- Straszny - potwierdził smutno. - Zabił moje dwie najlepsze mleczne krowy.

Nieszczęsne zwierzęta. Jesteście reporterami?

- Tak - stwierdziłem. - Nie wiem, po co nas tu przysłali. - Chciałem, żeby tu była Mary. Ten facet miał zaokrąglone plecy. Po krótkim zastanowieniu zdecydowałem, że muszę to zrobić. Nie mogłem stracić szansy sfilmowania żywego pasożyta. Facet był sam. Potem już mogłem nie mieć takiej okazji.

Rzuciłem się na niego, kiedy odwrócił się, żeby odejść. Upadł na twarz, a ja usiadłem mu na plecach. Rozdarłem ubranie, a Jarvis podbiegł z kamerą. Okazało się, że jego plecy są czyste. Żadnego pasożyta. Zawstydzony pomogłem mu wstać.

- Bardzo przepraszam - powiedziałem - zachowałem się idiotycznie.

Trząśł się ze złości.

- Ty... ty... - nie mógł znaleźć odpowiedniego określenia.

- Zaskarżę was! Gdybym był dwadzieścia lat młodszy, załatwiłbym was wszystkich!

- Proszę mi wierzyć, to była pomyłka. - Było mi naprawdę głupio.

- Pomyłka! - głos mu się załamał, wydawało się, że zaraz zacznie płakać. - Wróciłem właśnie z Omaha. Moja farma spalona, połowa inwentarza zginęła, mój zięć zniknął, a tu jeszcze coś takiego. Do czego to doszło.

Pomyślałem sobie, że na to ostatnie pytanie mógłbym mu odpowiedzieć, ale nie próbowałem. Chciałem mu jeszcze zapłacić za szkody, ale rzucił pieniądze na ziemię. Szybko wróciliśmy do wozu i ruszyliśmy.

- Czy ty i Starzec jesteście pewni, że macie rację? - zapytał Davidson po chwili.

- Ja mogę popełnić błąd - krzyknąłem rozwścieczony ale słyszałeś, by kiedykolwiek zdarzyło się to Starcowi?

- Nie, na pewno nie. Dokąd teraz?

- Prosto do głównej stacji telewizyjnej w Des Moines. Przy wjeździe do Des Moines strażnik zatrzymał nas. Spojrzał w notes, potem na tablice rejestracyjne.

- Szeryf poszukuje tego wozu - oznajmił. - Proszę zjechać na bok.

- W porządku - zgodziłem się, cofnąłem i ruszyłem prosto na barierę.

Pojazdy Sekcji mają wzmocnioną karoserię, czasem się to przydaje. Po drugiej stronie bariery znacznie przyśpieszyłem.

- Mam nadzieję - powiedział spokojnie Davidson - że ciągle jeszcze wiesz co robisz.

- Przestań jęczeć! - rozzłościłem się. - Może jestem szalony, ale ciągle jeszcze jestem agentem Sekcji. I posłuchajcie obydwaj: nawet jeśli mielibyśmy nie wrócić, zdobędziemy te zdjęcia.

Pędziłem jakby nas gonili. Zatrzymałem się dopiero przed stacją telewizyjną. Wysiedliśmy i bez żadnych sztuczek „wuja Charliego” władowaliśmy się do pierwszej lepszej windy. Ruszyliśmy na ostatnie piętro.

Przy drzwiach gabinetu próbowała nas zatrzymać sekretarka. Odepchnąłem ją. Reszta pracownic biura patrzyła na nas z przerażeniem.

Rzuciłem się na drzwi Barnes'a, ale były zamknięte,

- Gdzie Barnes? - zapytałem.

- Czy mógłby się pan najpierw przedstawić? - zapytała zimno, ale uprzejmie.

Popatrzyłem na jej plecy. Były wybrzuszone. Przecież ona była tutaj, kiedy zabiłem Barnes'a. Złapałem ją za ręce i podniosłem jej sweter. Nie mogłem się mylić. Po raz drugi patrzyłem na to ohydne stworzenie. Miałem ochotę zwymiotować. Sekretarka zdołała się wyrwać i próbowała mnie uderzyć. Mocnym ciosem w plecy pozbawiłem ją przytomności. Na wszelki wypadek uderzyłem jeszcze w brzuch. Wtedy obróciłem ciało i ściągnąłem ubranie.

- Jarvis! - krzyknąłem - fotografuj!

Ten idiota zamiast podejść klęczał pochylony przy sprzęcie.

- Nic z tego - powiedział, kiedy wreszcie się wyprostował przewód pękł.

- Zrób coś, szybko.

W tym momencie dostrzegłem jak kobieta, która stała w rogu pokoju, celuje prosto w sprzęt. Strzeliłem do niej w tym samym momencie co Davidson. Trafiliśmy ją obaj. Wtedy jak na komendę, na Davidsona rzuciło się sześć innych pracowników. Te na szczęście nie miały broni, tylko przewagę liczebną. Odepchnąłem ciało sekretarki i strzelałem, gdzie popadło. Nagle poczułem, że ktoś stoi za mną i odwróciłem się. To był Barnes - „Barnes numer dwa”. Nie zastanawiając się, strzeliłem mu prosto w piersi. Chciałem zabić także pasożyta. Było oczywiste, że tam jest. Davidson radził sobie nieźle z napastnikami. Jedna z dziewczyn próbowała jeszcze z nim walczyć. Strzelił jej prosto w twarz. Padł następny strzał, tym razem kula przeleciała mi koło głowy. Obróciłem się i zrozumiałem dlaczego strzelał.

- Dzięki! - krzyknąłem - a teraz wynośmy się stąd. Jarvis, chodź! Wpadliśmy do wciąż otwartej windy. W biegu złapałem sekretarkę i wciągnąłem ją za sobą. Zamknąłem drzwi i ruszyliśmy. Davidson był roztrzęsiony, a Jarvis trupio blady.

- Przywołuję was do porządku - zirytowałem się. - Nie zabijaliście ludzi! To były te potwory. Takie jak ten... - uniosłem ciało dziewczyny, żeby im pokazać pasożyta i oniemiałem. Mój jedyny okaz zniknął. Musiał zwać podczas zamieszania, zostawiając jedynie martwe ciało dziewczyny.

- Jarvis - zapytałem - czy widziałeś to?

Jarvis potrząsnął głową i nic nie powiedział. Davidson też milczał. Plecy kobiety były pokryte czerwoną wysypką, jakby śladami po ukłuciu szpilkami. Opuściłem jej sweter i położyłem ciało na podłodze. Wciąż była nieprzytomna. Wychodząc zostawiliśmy ją w korytarzu. Prawdopodobnie jeszcze nikt nie wiedział, co się stało na górze, bo spokojnie wyszliśmy na ulicę.

Samochód stał na miejscu, tylko jakiś policjant wypisywał nam mandat.

- Tutaj nie można parkować - powiedział potępiająco.

- Przepraszam - odpowiedziałem i podpisałem kwit. Pośpiesznie wsiedliśmy do wozu i ruszyliśmy. Mandat wyrzuciłem przez okno. Zmieniłem tablice rejestracyjne i numer licencji, kiedy byliśmy w bezpiecznej odległości poza ich zasięgiem.

Starzec pomyślał o wszystkim. Chciałem zdać mu raport zaraz po powrocie, ale przerwał mi i kazał zameldować się w biurze. Była tam Mary. Pozwolił mi opowiedzieć co się stało.

- Ile z tego udało się wam zobaczyć?

- Łączność została przerwana, po rozbiciu bramy wjazdowej do Des Moines -

poinformował mnie spokojnie. - Prezydent raczej nie był poruszony tym, co zobaczył.

- Przypuszczam.

- Kazał mi cię zwolnić.

Zesztywniałem, mogłem złożyć wymówienie, ale nie byłem przygotowany na wyrzucenie.

- Dobrze - szepnąłem zrezygnowany.

- Co ty mówisz? - zdenerwował się Starzec. - Powiedziałem mu, że może wyrzucić mnie, ale nie zwalniać moich podwładnych. Jesteś nieudolnym głupcem, ale teraz nie zrezygnuję z ciebie. Jesteś mi potrzebny.

- Dzięki.

Mary nerwowo przechadzała się po pokoju. Próbowałem uchwycić jej spojrzenie, ale nie patrzyła w moim kierunku.

Nagle zatrzymała się obok Jarvisa i dała Starcowi ten sam sygnał. Zrozumiałem szybciej niż pozostali. Uderzyłem Jarvisa pistoletem w skroń, jego ciało osunęło się bezwładnie.

- Odsuń się Davidson! - krzyknął Starzec i wymierzył broń w pierś Davidsona.

- Mary, co z resztą?

- Są w porządku.

- Sam też?

- Tak.

Starzec zastanawiał się. Obserwował mnie i Davidsona. Nigdy nie czułem się tak bliski śmierci.

- Obydwaj ściągnijcie koszule! - rzucił surowo.

Zrobiliśmy to, by go przekonać, że Mary się nie myliła. - Teraz załóżcie rękawiczki!

Obróciliśmy Jarvisona na brzuch i bardzo ostrożnie rozciąliśmy na nim ubranie. Mieliśmy niezbity dowód.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Znowu zrobiło mi się niedobrze. Uświadomiłem sobie, że ten potwór podróżował z Iowa tuż obok mnie. Nie mogłem tego znieść. Nie jestem zbyt delikatny. W Moskwie przynajmniej raz na tydzień ukrywałem się w kanałach. Ale nic dotychczas nie zrobiło na mnie takiego wrażenia.

- Może jeszcze ciągle możemy go uratować - powiedziałem i odetchnąłem głęboko.

Jednak nie wydawało mi się to możliwe. Byłem przekonany, że każdy opanowany przez potwora musi umrzeć, gdyż jest zupełnie stracony. Chyba miałem zabobonne przeświadczenie, że one pożerają duszę.

- Zapomnij o Jandsie - rozkazał Starzec.

- Ale...

- Powiedziałem ci! Nawet jeśli mógłbyś go uratować, to nie miałoby to znaczenia. Dla nikogo... - Zamyślił się.

Zrozumiałem o czym mówił, dlatego więcej nie pytałem. Zasada, w myśl której jednostka jest najważniejsza, nie pozwalała nam użyć Jarvisa jako królika doświadczalnego. Nie wiem tylko, czy zrozumieliby to ludzie mieszkający w tym kraju. Pomyślałem sobie, że sam przed sobą się usprawiedliwiam. Ale naprawdę lubiłem Jarvisa.

Starzec przeszedł ostrożnie obok nieprzytomnego agenta i stanął obok Mary.

- Połącz mnie z Prezydentem, użyj tajnego kodu. Mary podeszła do biurka.

Słyszałem jak mówiła, ale całą moją uwagę wciąż skupiał pasożyt. Cały czas pulsował.

- Nie mogę się z nim połączyć. Jego asystent jest na ekranie.

- Który? - zapytał Starzec.

- McDonough.

Na naszych twarzach pojawił się grymas niesmaku. McDonough był inteligentnym i ogólnie lubianym człowiekiem, od kiedy przestał być włamywaczem. Prezydent traktuje go jak kozła ofiarnego.

Starzec gwałtownie wyłączył wizjer, gdy dowiedział się, że nie może uzyskać połączenia. Nie wyglądał najlepiej. Wziął kilka głębszych oddechów i jego twarz złagodniała.

- Dave! Przyrowadź mi tutaj doktora Gravesa. Reszta niech się trzyma z

daleka!

Szef laboratorium pojawił się szybko.

- Doktorze - powiedział Starzec - mamy jednego. Ten na pewno nie jest martwy!

Graves spojrzał na Jarvisa, potem na jego plecy.

- Interesujące - stwierdził - możliwe, że to jednak żyje. Pochylił się nad ciałem, żeby przyjrzeć się dokładnie.

- Uważaj! - krzyknął Starzec.

- Przecież muszę go zbadać...

- Do cholery, nie możesz pojąć, że zagraża ci niebezpieczeństwo. Chcę żebyś to zbadał, ale przede wszystkim zalecam ostrożność. Musisz utrzymać to przy życiu, nie możesz pozwolić temu uciec. A przede wszystkim uważaj na siebie. Moje ostrzeżenia nie są bezpodstawne.

Graves uśmiechnął się.

- Nie obawiam się tego. Ja...

- Masz się obawiać! To rozkaz!

- Chciałem tylko powiedzieć, że chcę umieścić pasożyta w inkubatorze. A żeby to zrobić, należy zdjąć go z tego człowieka. Ten martwy, którego dostarczyłeś właściwie w ogóle nie został zbadany. Był martwy, bo go udusiłeś. To stworzenie potrzebuje tlenu. Nie tak jak my, ale tlenu dostarczonego przez żywiciela. Może wystarczyłby mu duży pies.

- Nie - zdecydował Starzec. - Zostaw go tak.

- Co? - Graves popatrzył na niego zdziwiony. - Czy ten człowiek jest ochotnikiem?

Starzec nie odpowiedział od razu. To było trudne pytanie.

- Ludzie, biorący udział w doświadczeniach laboratoryjnych, są ochotnikami. Etyka zawodowa. Chyba to rozumiesz?

- Doktorze Graves, każdy z agentów w mojej Sekcji jest ochotnikiem, dlatego też godzi się na wszystko, co ja uznaję za konieczne. Każdy z nich jest do tego zobowiązany. Proszę się zastosować do moich rozkazów, przynieść nosze i zabrać go stąd. I jak wspominałem proszę być ostrożnym - Starzec powiedział zdecydowanie.

Odesłał nas, jak tylko wynieśli Jarvisa. Wszyscy wybraliśmy się na drinka. Zdecydowanie nikt z nas nie był w dobrej formie. Najgorzej jednak było z Davidsonem. Bardzo chciałem mu pomóc.



- Słuchaj Dave, czuję się tak samo źle z powodu tych dziewczyn, ale nie mogliśmy zrobić nic innego. Wbij to sobie do głowy. Nie było innego wyjścia

- Było aż tak źle? - zapytała Mary.

- Raczej tak. Nie wiem ile ich zabiliśmy, może sześć, może więcej...

Właściwie zlikwidowaliśmy tylko pasożyty. Odwróciłem się do Dave'a.

- Rozumiesz to? Wyglądał już trochę lepiej.

- Tak. Oni nie byli ludźmi - mówił powoli. - Powiniennem przecież umieć zabić nawet własnego brata, gdyby to było konieczne. A to nie byli ludzie. Celowałem, a one spokojnie podchodziły do mnie. Nie, to nie byli... - przerwał.

Było mi go żal. Po chwili wstał. Wiedziałem, że pójdzie po zastrzyk, który go uleczy. Mary i ja tymczasem próbowaliśmy jeszcze przeanalizować to wszystko. Nie doszliśmy do niczego. W końcu Mary stwierdziła, że jest śpiąca i poszła do żeńskiej sypialni. Starzec na wszelki wypadek kazał nam nocować w biurze. Poszedłem do skrzydła dla mężczyzn i wskoczyłem do śpiwora. Ale nie mogłem zasnąć. Cały czas słyszałem jakieś hałasy, nie mogłem się również opędzić od obrazu stacji telewizyjnej w DesMoines.

Obudził mnie alarm. Szybko się ubrałem.

- Stan pełnej gotowości! Pozamykać wszystkie okna i drzwi. Wszyscy mają być natychmiast w sali konferencyjnej - usłyszałem głos Starca w interkomie.

Właściwie nie dotyczyły mnie żadne rozkazy dla personelu, ale powlokłem się tunelem ze skrzydła mieszkalnego do biur.

Starzec już siedział w wielkiej sali. Wyglądał ponuro. Chciałem go zapytać, co się stało, ale wokół niego kręciło się z tuzin szaleńców, którzy chyba też chcieli się czegoś dowiedzieć. Starzec dostrzegł mnie wśród tłumu i kazał mi iść do strażnika przy głównych drzwiach po listę obecnych w budynku. Kiedy ją przeczytał okazało się, że na sali są wszyscy od starej panny Haines, prywatnej sekretarki Starca, do kelnera z klubu dla personelu. Oczywiście oprócz strażnika i Jarvisa. Wiadomo było, że lista jest dokładna. Każde wejście i wyjście w tym budynku było zapisywane dokładniej niż przychody i rozchody w banku.

Zostałem ponownie wysłany do strażnika. Tym razem, by go przekonać, że może zejść z posterunku i pójść ze mną. Kiedy wróciliśmy, na sali był także Jarvis. Zajmował się nim Graves i jeden z laborantów. Stał na własnych nogach, ubrany w szpitalną piżamę. Wydawało się, że jest przytomny. Jasne jednak było, że jest pod

wpływem narkotyków. Spojrzałem na niego i natychmiast zrozumiałem, o co chodzi. Zresztą po chwili Starzec pozbawił mnie wszelkich wątpliwości. Ze spokojem wyciągnął broń i wycelował w zebranych.

- Jeden ze stworów dokonujących inwazji został wypuszczony i jest teraz między nami - powiedział. - Niektórzy z was aż za dobrze rozumieją, co to oznacza. Reszcie postaram się wytłumaczyć. Bezpieczeństwo całej ludzkości zależy teraz od waszego posłuszeństwa, dyscypliny i całkowitego współdziałania - krótko, ale konkretnie starał się wytłumaczyć czym jest pasożyt i co nam grozi w tej sytuacji. - A więc to stworzenie przebywa teraz z nami, w tym pomieszczeniu. Jeden z nas wygląda jak człowiek, ale już nim nie jest. To automat wykonujący polecenia naszego wroga.

Na sali zapanowała grobowa cisza. Ludzie spoglądali na siebie ukradkiem, a niektórzy próbowali się nawet odsuwać od stojących najbliżej. Przed chwilą stanowiliśmy zgrany zespół, który łączyła praca w tym niezwykłym miejscu. Teraz był to tłum, w którym każdy jest podejrzany. Ja także czułem się zagrożony i starałem się odsunąć jak najdalej od człowieka, który stał obok mnie. To był Ronald, kelner z klubu. Zналиśmy się od lat.

Widziałem jak Graves podszedł do Starca.

- Szefie, chciałbym żebyś wiedział, że podjąłem wszystkie możliwe środki ostrożności...

- Przestań! Wyprowadź Jarvisa na środek sali. I zdejmijz niego tę szmatę.

Graves nie dyskutował więcej i podszedł do współpracownika. Prowadził go jak nieprzytomnego. Jarvis wyglądał strasznie. Przygnębiające wrażenie podkreślały sine pręgi na policzku i skroni.

- Obróć go! - rozkazał Starzec. Jarvis bez sprzeciwu pozwolił się odwrócić plecami do zgromadzonych. Widać było ślad po pasożycie - czerwone plamy.

- Wszyscy możecie to zobaczyć - powiedział Starzec. Tutaj znajdowało się to stworzenie.

Kiedy rozbierano Jandsa na sali słychać było szepty i stłumione chichoty. Teraz nagle zapadła cisza.

- Musimy znaleźć tego potwora. Należy schwytać go żywego. Ostrzegam wszystkich nadgorliwych, których swędzą ręce, kiedy dotykają spustu. Jeśli ktoś zabije pasożyta, ja zabiję jego. Jeśli musielibyście strzelać do ofiary, aby ją zatrzymać, strzelajcie w nogi.

- Chodź tutaj! - wskazał na mnie. Zacząłem przedzierać się do niego.

Zatrzymał mnie w połowie drogi.

- Graves, niech Jarvis usiądzie tu obok. Zabierz te jego łachy.

Jarvis został prawie przeniesiony z powrotem. Graves z pomocnikiem dołączyli do grupy.

- Wyjmij pistolet i rzuć go na podłogę! - zwrócił się do mnie Starzec.

Mówiąc to, celował w mój brzuch. Bardzo powoli wyjąłem broń i rzuciłem ją na podłogę.

- Teraz zdejmij ubranie. Wszystko.

Nie jestem wstydliwą panienką, ale to był dosyć dziwny rozkaz. Broń Starca szybko pokonała moje zahamowania. Na pewno nie pomogły mi chichoty młodszych dziewcząt, byłem nagi, ale nie miałem wyboru. Pomyślałem sobie, że jestem całkiem niezły. Pomimo to, zarumieniłem się.

Starzec najpierw mnie obejrzał, a potem kazał mi wziąć broń i stanąć obok siebie.

- Odwróć się i pilnuj drzwi! - rozkazał - Dotty teraz ty! Zdejmuj z siebie wszystko!

Dotty była pracowniczką biura. Z całą pewnością alarm zastał ją w łóżku. Miała na sobie tylko bieliznę i przezroczysty szlafrok. Stała na środku i zastygła ze zdumienia.

Starzec pomachał do niej pistoletem.

- Szybciej, ściągnij ubranie! To nie zabawa!

- Czy naprawdę mam to zrobić? - zapytała z niedowierzaniem i odrobiną kokieterii, która była zdecydowanie nie na miejscu.

- Ruszaj się! - wrzasnął Starzec. Przestraszona, zaczęła się rozbierać.

- No dobrze - powiedziała jeszcze - nie musi mnie pan straszyć w ten sposób. - Zagryzła wargi i powoli zdjęła stanik.

- Chyba powinien mi pan dodatkowo zapłacić. Tego niema wśród moich obowiązków - dodała prowokująco, po czym zrzuciła z siebie resztę.

Przybrała jakąś sztuczną pozę, aby należycie zaprezentować swoje wdzięki. Ze względu na sytuację, było to dość żenujące. Owszem miała się czym pochwalić, ale przynajmniej ja nie miałem nastroju, żeby to docenić.

- Stań pod ścianą - wrzasnął ze złością Starzec. - Dalej!

Nie wiem czy robił to specjalnie, ale wybieranie na przemian kobiety i

mężczyzny było doskonałym sposobem, żeby zmniejszyć opór do minimum. Mężczyźni byli raczej poważni, choć niektórzy wyglądali na speszonych. Kobiety reagowały inaczej, jedne chichotały, inne rumieniły się, ale żadna nie protestowała za bardzo. Zresztą można było dowiedzieć się dzięki tej sytuacji wielu ciekawych rzeczy o innych. Na przykład jedna dziewczyna, na którą mówiliśmy „Pulpet”, była po prostu chodzącym arsenałem. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej ilości pistoletów. Kiedy się rozebrała okazało się, że jest całkiem niewielka.

Poczułem dreszcz, kiedy przyszła kolej na Mary. Moja wspaniąła współpracowniczka pokazała, jak można było rozebrać się szybko i nieprovokująco. Starzec powinien wybrać ją jako pierwszą. Mary zachowywała się bardzo naturalnie nawet wtedy, gdy była naga. Dodawało jej to godności i elegancji. Uświadomiłem sobie wtedy, że nic nie mogłoby zmienić moich uczuć do niej. Mary także dołożyła się znacznie do kupy żelastwa. Ona chyba uwielbiała broń.

W końcu wszyscy byli już nadzy, oprócz Starca i panny Haines. Starzec trochę się jej obawiał. Była dużo starsza od niego i często stawiała na swoim. Nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że Starzec się myli. Pasożyt mógł na przykład ukryć się w zakamarkach sufitu i czekać na dogodny moment, żeby zsunąć się na czyjeś plecy.

Starzec wyglądał spokojnie. Podeszedł do sterty ubrań i sprawdził ją laską. Wiedział, iż tam nic nie ma. Może chciał zyskać na czasie. W końcu spojrzał na sekretarkę.

- Panno Haines, jeśli będzie pani tak łaskawa, teraz pani kolej.

Starsza pani nawet się nie poruszyła, jakby nie słyszała, co powiedział. Stała, patrząc na niego, statua poświęconego dziewictwa. Wiedziałem, że Starzec zastanawia się co zrobić.

- Szefie, może najpierw ty... Teraz ona albo ty. Nie ma innego rozwiązania. Wskakuj z ciuchów - szepnąłem do niego. Spojrzał na mnie przeciągle.

- Rozbierz ją. Ja jestem następny. - Zaczął jednak rozpinać zamek od spodni.

Zawołałem Mary i powiedziałem jej, żeby wzięła kilka kobiet i rozebrała pannę Haines. Kiedy się odwróciłem Starzec miał do połowy opuszczone spodnie. Właśnie ten moment wybrała sobie panna Haines, żeby uciec.

Starzec stał w połowie drogi między nią, a mną. Nie mogłem strzelać. To także nie był przypadek. Chciał być pewien, że nikt nie strzeli. Musiał go mieć żywego.

Tymczasem sekretarka dopadła drzwi i wybiegła na korytarz, zanim w ogóle

ktokolwiek zorientował się, co się dzieje. Mogłem pobiec i dogonić ją, ale powstrzymały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, zrobiło to na mnie takie wrażenie, że nie mogłem się ruszyć z miejsca. Wciąż była dla mnie starą panią Haines, która karciała mnie za błędy gramatyczne w moich raportach. Po drugie, jeśli była rzeczywiście ofiarą pasożyta, nie chciałem ryzykować zabicia go. Szczególnie po ostrzeżeniu Starca. Nigdy nie byłem mistrzem w strzelaniu. Jednak po krótkim zastanowieniu pobiegłem za nią. Przecież trzeba było coś zrobić. Na korytarzu zobaczyłem, że wbiegła do jednego z pokoi. Podeszedłem do drzwi i znowu odruchowo zatrzymałem się. Zaraz potem, gwałtownie otworzyłem drzwi i rozejrzałem się dookoła. Broń miałem w pogotowiu. Nagle coś uderzyło mnie w głowę z prawej strony. Zdawało mi się, że upadłem na podłogę.

Nie bardzo pamiętam, co działo się potem. Czulem ciepło, przynajmniej na początku. Słyszałem jakąś szamotaninę i krzyki.

- Cholera, uderzyła mnie. Uważaj na ręce - potem ktoś powiedział ciszej. - Zwiążcie jej nogi. Zostaw go, nie jest ciężko ranny.

Czulem się dziwnie obezwładniony. Kiedy wyszli poczułem, że wracają mi siły. Usiadłem, ogarnęło mnie niezrozumiałe pragnienie ucieczki. Wstałem i zataczając się trochę podeszedłem do drzwi. Wyjrzałem na korytarz, ale nikogo nie było. Ruszyłem korytarzem, w przeciwnym kierunku niż sala konferencyjna. Zatrzymałem się przy drzwiach wyjściowych. Z przerażeniem przypomniałem sobie, że jestem nagi. Pobiegłem do męskiego skrzydła i złapałem pierwsze z brzegu ubranie. Wziąłem też parę butów. Były bardzo ciasne, ale to nie miało znaczenia. Pobiegłem z powrotem do wyjścia. Drzwi były otwarte. Już miałem nadzieję, że udało mi się uciec niezauważonym, ale ktoś mnie wołał. Nie zareagowałem. Pobiegłem przed siebie. Znalazłem się w jednym z tych dziwnych korytarzy. Każdy, kto znał dobrze rozkład pomieszczeń biur Sekcji mógł się z nich wydostać niezauważony. Było tam pełno korytarzy pokręconych jak spaghetti. Po chwili znalazłem się na zapleczu kiosku z owocami. Kiwnąłem do właściciela, który nie wydawał się zdziwiony moim pojawieniem. Wałęsałem się po ulicach. Potem śledziłem faceta, który wyglądał na zamożnego. Poczekalem, aż zrobi swoje zakupy. W pierwszym ciemnym rogu rzuciłem się na niego. Teraz miałem pieniądze i byłem gotowy do działania. Nie wiedziałem jeszcze do czego są mi potrzebne. Miałem tylko mglistą świadomość, że są niezbędne.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie znajdowałem słów, by określić co czułem. To było zupełnie nowe doświadczenie. Oby niewielu go doznało. Wszystko dookoła odbierałem w jakiś osobliwy, podwójny sposób, jakbym przyglądał się odbiciom w wodzie. Jednocześnie nic mnie nie zdziwiło. Poruszałem się jak lunatyk. Moja świadomość działała na dwóch, odrębnych poziomach. Wiedziałem kim jestem, gdzie się znajduję, co robię, pamiętałem o mojej pracy w Sekcji, a jednocześnie nie zdawałem sobie sprawy z niczego. Coś jednak mówiło mi, że to wszystko ma jakiś cel. Działalem pod hipnozą. Przez cały ten czas nie czułem prawie żadnych emocji. Może poza drobnym zadowoleniem, kiedy wykonałem zadanie. Więc chyba byłem świadomy własnego działania. Czasem, kilka poziomów niżej, byłem straszliwie nieszczęśliwy, przerażony i przytłoczony poczuciem winy. To było jakieś zamknięte, utajone, a ja nie przejmowałem się tym.

Widziano mnie, gdy uciekałem. Usłyszałem wtedy wyraźnie, jak ktoś mnie wołał. Tylko dwie osoby znały moje imię. Starzec użyłby mojego prawdziwego imienia. Więc to była Mary. Ucieszyłem się przez chwilę ale czułem, że najważniejsze to wziąć się do roboty i nie dać się rozpoznać.

Byłem w dzielnicy wielkich magazynów. Posuwałem się ostrożnie po ulicach, starając się nie wyróżniać w tłumie. Szybko znalazłem budynek, o który mi chodziło. Wisiało tam ogłoszenie: „Strych do wynajęcia. Wiadomość na parterze.” Zapisałem sobie adres, zawróciłem do najbliższej poczty i przesłałem wiadomość: „Jestem gotowy do przyjęcia przesyłki. Joel Freeman.” I dodałem, gdzie się znajduję. Wysłałem to do Roscoe i Dillarda, Agencji Pośrednictwa i Producentów, Des Moines, Iowa. Gdy wyszedłem z poczty, widok restauracji przypomniał mi, jak bardzo byłem głodny. Ale natychmiast poczułem jakiś skurcz i nie myślałem już o tym. Wróciłem do budynku. Był późny wieczór, więc znalazłem sobie ciemny kąt, by poczekać na rano i móc wynająć strych. Musiałem zasnąć. Jak przez mgłę przypominam sobie klaustrofobiczne koszmary, które męczyły mnie po nocach. Od świtu byłem już na nogach. Poszedłem do biura ogłoszeń. To jedyne miejsce, gdzie człowiek nie zwraca na siebie uwagi. O dziewiątej spotkałem się z agentem, który wynajął mi strych. Zapłaciłem mu słono za to, że wynajmę posesję natychmiast. Poszedłem na strych i czekałem.

Około jedenastej moja przesyłka została dostarczona. Chciałem, by wyszli

tragarze. Potem otworzyłem paczkę. Wyjąłem jednego pasożyta, ogrzałem go w dłoniach. Był gotowy. Zszedłem na dół, odnalazłem właściciela.

- Panie Greenberg, czy mógłby pan pójść ze mną na górę. Pragnę porozmawiać z panem na temat pewnych przeróbek, które wydają mi się konieczne. Przede wszystkim chodzi o oświetlenie. Był niezadowolony, ale zgodził się. Kiedy weszliśmy na górę zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Podprowadziłem go do otwartej paczki.

- Tutaj - powiedziałem - jeśli pochyli się pan...Chwyciłem go mocno za szyję, chyba zbyt brutalnie. Zerwałem mu marynarkę, koszulę i przeniosłem pasożyta na jego obnażone plecy. Musiałem go jeszcze przytrzymać, żeby się nie szarpał. Potem pozwoliłem mu wstać, pomogłem się otrząpać.

- Jakie wieści z Iowa? - zapytałem kiedy złapał oddech.

- Co chcesz wiedzieć? - odparł. - Jak długo jesteś poza Des Moines?

Zacząłem wyjaśniać, niezbyt precyzyjnie.

- Zróbmy bezpośrednią konferencję, nie marnujmy czasu - przerwał mi.

Zdjąłem koszulę. Usiedliśmy na brzegach otwartego pudła, plecami do siebie, by nasi władcy byli w kontakcie. Zupełnie niewiem, ile czasu nam to zajęło. Mój umysł był wtedy całkiem pusty. Patrzyłem na muchę szamoczącą się w pajęczynie, nie myśląc o niczym więcej.

Następnym, którego zdobyliśmy to zarządca całego budynku, wielki Szwed. Obydwaj musieliśmy go trzymać, gdyż okazał się niezwykle silny. Następnie Greenberg zadzwonił do właściciela budynku i domagał się jego przyjazdu, z powodu jakiegoś potwornego wypadku. W tym czasie ja ze Szwedem przygotowywaliśmy następne pasożyty.

Właściciel budynku był wspaniałą partią. Wszyscy czuliśmy głęboką satysfakcję, on także. Nasza duma wzrosła, kiedy okazało się, że właściciel jest członkiem Klubu Konstytucyjnego. Posiadał listę członków liczących się w przemyśle, finansach i rządzie. Należeli do niego wszyscy najświetniejsi ludzie tego miasta. Okazało się, że możemy zwerbować wielu współpracowników podczas lunchów.

Posiłek zazwyczaj organizowano w południe. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Szwed poszedł do sklepu po eleganckie ubrania i dużą skórzaną torbę. Trzeba jeszcze było zwerbować szofera właściciela budynku. O dwunastej wyruszyliśmy wielkim wozem właściciela. W torbie miałem dwunastu władców. Wydawało mi się, że to

wystarczy. Przedstawiono nas pozostałym jako gości J. Hardwicka Pottera. Jeden ze służących podbiegł, by wziąć odemnie torbę, ale przekonałem go, że chcę się przebrać przed lunchem. Potter i ja ruszyliśmy więc do łazienki. Zaraz po wejściu zwerbowałem obsługującego gości w łazience. Następnie wysłałem go z wiadomością do szefa przyjęcia, iż jeden z gości źle się poczuł w toalecie. Za chwilę on także został jednym z nas. Przebrałem się w biały fartuch i stałem się jeszcze jednym łazienkowym. Zdecydowaliśmy bowiem, że to świetne miejsce, by łapać kolejnych członków klubu. Jeszcze przed końcem lunchu zużyliśmy wszystkie pasożyty. Zaskoczył nas jakiś facet, kiedy zakładaliśmy jednemu z gości ostatniego. Musiałem go zabić. Wepchnęliśmy ciało do schowka na szczotki.

Przez moment mieliśmy przerwę w pracy. Nie było już pasożytów, a nowe paczki, po które wysłałem szofera jeszcze nie przybyły. Poczułem dotkliwy głód. Był tak silny, że nie udało się go pokonać. Nie było wyjścia. Powiedziałem o tym szefowi przyjęcia, a on zaserwował mi taki lunch, jakiego w życiu nie jadłem. Zaraz potem dostarczono upragnione paczki.

Zawładnęliśmy Klubem Konstytucyjnym. Zdobyliśmy wszystkich członków i personel. Od tego momentu bez problemów zajmowaliśmy się gośćmi tuż przy drzwiach. Jeszcze tego samego dnia szef klubu zadzwonił do Des Moines po cztery następne paczki.

Jednak najcenniejsza zdobycz pojawiła się wieczorem. Przyszedł sam wiceminister skarbu. Byliśmy dumni z wykonanego zadania. Ministerstwo Skarbu odpowiadało za bezpieczeństwo Prezydenta.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Triumf z opanowania elity władzy w mieście potraktowałem jako coś przelotnego i natychmiast o tym zapomniałem. Potwierdzało się moje spostrzeżenie dotyczące emocji odczuwanych przez ofiarę pasożyta. Wszystko, co nie stanowiło teraźniejszości, nie miało znaczenia, po prostu nie istniało. Każdy z nas przypominał trochę dobrze wyszkolonego konia, który szybko reaguje na rozkaz i chwilę potem jest już gotów przyjąć następny sygnał od jeźdźcy. To niezwykle trafne porównanie. Jeździec korzysta z inteligencji zwierzęcia, pasożyty zaś korzystały nie tylko z naszej inteligencji, ale także z pamięci i doświadczenia. To my komunikowaliśmy ich ze sobą. Czasem wiedziałem, o czym rozmawiają, a czasem w mojej głowie pojawiała się pustka jakby wszystko zasnuwała tajemnicza mgła. Tak było podczas ostatniej konferencji na wysokim szczeblu, zaraz po zwerbowaniu wiceministra skarbu. Nie wiem o niej nic, chociaż byłem obecny.

Działalem, jak każdy żywiciel, na tej samej zasadzie co radio. Właściwie nie miałem nic wspólnego ze słowami, które sam wypowiadałem. Byłem tylko nadajnikiem. Chociaż niekiedy pamiętałem informacje, które przekazywałem. Na przykład, pamiętam wiadomość o tym, że wylądowały trzy nowe statki, niedaleko Nowego Orleanu. Zupełnie nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Po dniu spędzonym w klubie zostałem specjalnym asystentem Pottera. Całe dnie spędzałem w jego biurze, potem także noce. Po jakimś czasie stosunki między nami się zmieniły. To ja wydawałem ustne polecenia Potterowi. Wtedy chyba bardziej zacząłem rozumieć system panujący w społeczeństwie pasożytów. Jest on bardziej elastyczny, może nawet anarchistyczny. Są bardziej subtelni i wyczuleni na najdrobniejsze sytuacje, niż myślałem na początku.

Ja i mój władca wiedzieliśmy, że lepiej dla mnie będzie pozostać w ukryciu. Pasożyt wiedział wszystko o organizacji, dla której pracuję. Jasne było też, że Starzec wie, iż zostałem opanowany przez pasożyta, więc będzie próbował mnie odzyskać albo zabić. Mój władca powinien zmienić żywiciela. Z rekrutacją nie było problemów. Nie myślę, by miało to cokolwiek wspólnego z ludzką lojalnością. Władcy wypuszczani z powłok, w których są transportowani, często zabijają swojego pierwszego żywiciela. Z moim władcą było inaczej. Przede mną miał jeszcze przynajmniej ze trzech żywicieli: Jarvisa, pannę Haines oraz dziewczynę z biura Barnes'a. Przez ten czas prawdopodobnie zdobył doświadczenie, a także nauczył się

kontrolować ludzi. Ale czy doświadczony hodowca pozbywa się wyszkolonego przez siebie żywiciela i zamienia go na nieznaną, niedoświadczoną zwierzę. Ja stanowię dla nich jakąś szczególną wartość. Jestem do czegoś potrzebny. Równie dobrze mogę się mylić. W końcu niewiele jeszcze wiedziałem.

Miasto zostało już prawie całkowicie opanowane, więc mogłem spokojnie wychodzić na ulicę. Wszystkie kluczowe stanowiska były obsadzone przez nosicieli. Od gliniarza na rogu ulicy po pastorów, dziennikarzy, ministrów i przede wszystkim większość ludzi odpowiedzialnych za mass media. Większość z nich jednak nie wiedziała, co się dzieje.

Pasożyty nie mogły pokonać tylko jednej trudności technicznej. Myślę, o komunikowaniu się na większe odległości. Byli ograniczeni do kontaktu za pomocą ludzkiej mowy i tylko przez ciała żywicieli. Nie ma wątpliwości, że mogli komunikować się ze statkiem, ale aktualnie nie było żadnego w pobliżu. To miasto zostało opanowane prawdopodobnie przy okazji, w efekcie mojego wypadu do Des Moines w poprzednim życiu.

Pewnego dnia zostałem wysłany na konferencję do Nowego Orleanu. Właściwie nawet o tym nie wiedziałem. Wszedłem na ulicę, jak co rano. Ale tym razem poszedłem na stację i zamówiłem pojazd. Tego dnia mieliśmy kłopoty z transportem. Musiałem długo czekać. W końcu mój pojazd został podstawiony na platformę startową. Starszy gość wsiadł do niego przede mną. Otrzymałem polecenie, by się go pozbyć, zaraz potem jednak władca nakazał mi zachować ostrożność. Chyba niespecjalnie wiedział czego chce. Po prostu przeczuwał niebezpieczeństwo.

- Przepraszam sir, ten pojazd jest zajęty.

- Oczywiście - powiedział - właśnie go zająłem. Sprawiał wrażenie zarozumiałego i pewnego siebie. Było coś apodyktycznego w jego zachowaniu.

- Będzie pan musiał znaleźć sobie inny - stwierdziłem. Jaki ma pan numer?

Byłem przekonany, że pojazd jest mój. Miałem ten sam numer, co mój bilet. Ale starszy człowiek nie ruszał się z miejsca.

- Dokąd pan się wybiera? - zapytał natarczywie.

- Do Nowego Orleanu - odpowiedziałem i wtedy właśnie dowiedziałem się od władcy jaki jest cel mojej podróży.

- Więc może mnie pan podrzucić do Memfis.

- To nie po drodze - potrząsnąłem głową.

- Przecież zajmie to panu dziesięć minut. - Był uparty, niezwykły ulegać. -

Musi pan przecież znać przepisy jakie obowiązują w dni deficytu. Nie można wykupić na własność publicznego środka lokomocji. Takie zachowanie jest nie do przyjęcia. - Odwrócił się. - Panie kierowco, proszę wytłumaczyć mi, że łamię przepisy.

- Nic mi do tego. Zabieram i dowożę. Dogadajcie się między sobą, bo inaczej wezmę następny kurs - powiedział kierowca, nie przestając dłużyć zębami.

Zawahałem się. Żadnych instrukcji od władcy. Wrzuciłem torbę i wsiadłem.

- Do Nowego Orleanu - powiedziałem do kierowcy. Proszę zatrzymać się w Memfis.

Wzruszył tylko ramionami i przekazał wiadomość do wieży kontrolnej. Już w powietrzu nieznajomy wyjął z teczki gazety i zaczął czytać. Patrzyłem na niego bez zainteresowania. Zauważyłem, że siadam w sposób, żeby wygodnie móc wyjąć broń. Starszy człowiek wyciągnął rękę i sprawnie złapał mnie za nadgarstek.

- Nie tak szybko synu! - Wtedy na jego twarzy ujrzałem szatański uśmiech Starca.

Mam szybki refleks, ale byłem w niedogodnej sytuacji. Każda decyzja musiała być skonsultowana z władcą. W efekcie, po chwili miałem pistolet przystawiony do skroni.

- Spokojnie synu.

Drugą ręką Starzec wbił mi w bok igłę. Poczułem ukłucie, a potem ciepłe mrowienie. Już kilka razy załatwiono mnie tym narkotykiem, znałem jego działanie. W ostatnim przyływie energii próbowałem wyciągnąć broń, a potem straciłem świadomość.

Niewyraźnie docierały do mnie jakieś głosy, ale nie mogłem nic zrozumieć. Ktoś szarpał mnie brutalnie.

- Ostrożnie z tym androidem! - Usłyszałem głos.

- W porządku, przecież jest ogłuszony.

- Myślę, że ciągle może być niebezpieczny. „Pewnie - pomyślałem rozdrażniony - jeśli tylko zbliżycie się wystarczająco blisko załatwię was.” Czułem się dziwnie. Nie mogłem ruszać rękami, z nogami też było nie najlepiej. Najbardziej jednak przeszkadzało mi, że mnie obrażają. To nie moralne ubliżać człowiekowi, który jest bezbronny. Westchnąłem ciężko i znowu popadłem w odrętwienie.

- Jak, lepiej synu? - Starzec pochylał się nad moim łóżkiem, wpatrując się we mnie z zatroskaną miną.

- Chyba tak - odpowiedziałem. - Już całkiem nieźle. Spróbowałem się podnieść. Nadal było to niemożliwe. Powinniśmy już uwolnić ciebie - zdecydował Starzec odpiął klamry, którymi byłem przypięty do łóżka. Usiadłem i próbowałem rozetrzeć zdrętwiałe mięśnie. Byłem strasznie zesztywniały.

- Teraz opowiadaj wszystko, co pamiętasz.

- Nie rozumiem o czym mówisz.

- Jak to? Dopadły cię. Czy ty nic nie rozumiesz? Nagle wszystko wróciło.

Poczułem przerażenie, chwyciłem się kurczowo łóżka.

- Szefie... - wybełkotałem porażony strachem - oni wiedzą o tym miejscu. Ja im powiedziałem.

- Nie, nie wiedzą - powiedział spokojnie - nie jest to biuro Sekcji, które znałeś. Kiedy okazało się, że uciekłeś bez słowa, od razu wiedziałem, co się stało i ewakuowałem stare biuro. Spróbuj sobie przypomnieć, co się z tobą działo.

- Nie muszę sobie przypominać. Wszystko pamiętam doskonale. Wybiegłem z biura i poszedłem... - zacząłem opowiadać wszystko po kolei. Jeszcze raz przeżywałem ten koszmar. Znowu miałem żywego, wilgotnego pasożyta w rękach i umieszczałem go na plecach agenta od wynajmu mieszkań...

Zwymiotowałem na prześcieradło. Starzec zdjął je, wyrzucił w kąt pokoju, wytarł mi twarz.

- Mów dalej - powiedział łagodnie.

- Szefie, one są wszędzie - stwierdziłem w końcu. Opanowały całe miasto.

- Wiem, tak samo jak Des Moines. I Minneapolis, St. Paul, Nowy Orlean i Kansas City. Pewnie jeszcze wiele innych miejsc. To jest jak walka z cieniem. Przegrywamy. Nie możemy nawet odseparować tych miast...

- Do cholery, dlaczego nie?

- Ważniejsi ode mnie, wciąż mi nie wierzą. Sam wiesz, że pasożyty potrafią się maskować. Życie zazwyczaj toczy się jak przedtem.

Popatrzyłem na niego, poczułem się bardzo źle.

- Nie martw się, jesteś pierwszym, którego uwolniliśmy, a przede wszystkim przeżyłeś to. A twojego pasożyta udało nam się zachować do badań. Będziemy mieli szansę...

Przerwał, gdyż byłem bliski hysterii. Świadomość, że on żyje i znów mnie zaatakuje... Nie, nie mogłem tego znieść.

Starzec złapał mnie silnie za ramię. Trzymaj się synu. Spokojnie. Jesteś

bezpieczny.

- Gdzie to jest?

- Co, pasożyt? Nie martw się o niego. Jeśli będziesz chciał, pokażemy ci go.

Zastąpił cię orangutan Napoleon. Wszystko jest w porządku.

- Zabij to!

- Nie, musimy go hodować.

Musiałem zemdleć, bo poczułem nagle klepanie po policzkach.

- Weź się w garść - radził Starzec. - Przykro mi, że cię zamęczam w takim stanie, ale to konieczne. Musimy zdobyć kilka informacji i to jak najszybciej. Spróbuj opowiadać dalej.

Wiedziałem, że to rozkaz. Starłem się przekazać wszystko logicznie i po kolei opisałem wynajęcie strychu, złapanie pierwszej ofiary i zajęcie Klubu Konstytucyjnego.

- No tak, zawsze byłeś dobrym agentem. Dla nich też - pokiwał głową.

- Nie rozumiem - oburzyłem się. - To, co robiłem nie wynikało z mojej woli.

Widziałem co się dzieje i to wszystko. To było jak... - urwałem, nie mogąc znaleźć słów.

- Spokojnie. Mów dalej.

- Jak dopadliśmy szefa Klubu, wszystko było już proste. Staliśmy w drzwiach i...

- Jakieś nazwiska? - przerwał mi.

Niektóre pamiętam. Greenberg, Thor Hansen, J. HardwickPotter, jego szofer Jim Wakeley; taki niski gość, był łazienkowym w klubie. Ale myślę, że jego szybko zabili. Nie było sensu marnować na niego czasu. No jeszcze szef, nie znałem jego nazwiska. Próbowałem sobie przypomnieć kto jeszcze - o Boże!

- Co się stało?

- Wiceminister Skarbu!

- Jesteś pewien?

- Tak. Pierwszego dnia. Przyszedł wtedy do klubu. Tylko jaki to był dzień? Ja nawet nie wiem, ile to trwało. Przecież on jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo Prezydenta...

Ale nikt już mnie nie słuchał. Miejsce, gdzie siedział Starzec było puste. Położyłem się wyczerpany i płakałem cicho. Po chwili zasnąłem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy się obudziłem, miałem spękane usta i bolała mnie głowa.

- Jak się czujesz? - usłyszałem łagodny, kobiecy głos. Nieduża, ciemnowłosa istota pochyliła się nade mną z zatroskaną miną. Byłem już w wystarczająco dobrej formie, żeby docenić jej urok. Miała na sobie jakiś dziwaczny strój: białe, obcisłe szorty, wstęgę prawie przezroczystego materiału na piersiach i chyba metalowy pancerz okrywający szyję i ramiona.

- Zdecydowanie lepiej - przyznałem.

- Pewnie czujesz niesmak w ustach?

- Straszliwy.

- Proszę, to ci pomoże - podała mi coś w szklance. Było ostre i paliło w język.

Ale rzeczywiście pomogło.

- Nie - powiedziała surowo - proszę tego nie wypluwać. Przełknij jak grzeczny chłopczyk. Przyniosę ci trochę wody. Byłem posłuszny.

- Nazywam się Doris Marsden. Jestem twoją dzienną pielęgniarką.

- Miło cię poznać Doris - przyglądałem się jej z zachwytem. - Czy mogę zapytać, co oznacza ten strój? Nie żeby mi się nie podobał, ale wyglądasz jak postać z komiksu.

Spojrzała na siebie i zachichotała.

- Masz rację. Czuję się jak tancerka rewiowa. Przyzwyczaisz się wkrótce.

- Już się przyzwyczailem. Chciałem tylko wiedzieć dlaczego?

- Rozkaz Starca.

Nagle zrozumiałem wszystko i znowu opadłem z sił.

- Teraz czas na posiłek - powiedziała Doris. Trzymając tacę, usiadła na brzegu łóżka.

- Nie jestem głodny.

- Nic mnie to nie obchodzi - odrzekła zdecydowanie. Otwieraj buzię. Już!

- Czuję się już naprawdę dobrze. Daj mi działkę czegoś wzmacniającego i stanę na nogi.

- Żadnych środków pobudzających - powiedziała kategorycznie, wpychając we mnie jedzenie. - Specjalna dieta, dużo wypoczynku, później dostaniesz pigułki nasenne. Tak zarządził lekarz.

- To może przynajmniej dowiem się, co mi jest?

- Krańcowe wyczerpanie, wycieńczenie głodem, nieźle posunięty szkorbut. Poza tym świerzby, wszy, ale tego już się pozbyliśmy. Nie mów doktorowi, że wiesz o wszystkim. A teraz odwróć się na brzuch.

Zrobiłem to. Doris prawdopodobnie zmieniała mi opatrunki. Chyba cały byłem w ranach. Substancja, którą mnie smarowała szczypała trochę, ale zaraz potem poczułem przyjemny chłód. Myślałem o tym, co powiedziała i próbowałem sobie przypomnieć jak wyglądało moje życie z pasożytem.

- Drżysz - zauważyła Doris. - Coś nie w porządku?

- Nie, raczej dobrze - odpowiedziałem. Próbowałem się uspokoić. O ile pamiętam, nie jadłem częściej niż raz na dwa, trzy dni. Nie myłem się chyba wcale. Codziennie się goliłem i zmieniałem koszulę, bo tego wymagała maskarada, zapewniająca bezpieczeństwo pasożytowi. Nie mogę sobie przypomnieć, czy przez ten cały okres zdjąłem buty, które założyłem, uciekając z biura Sekcji. Były przecież takie ciasne.

- Jaki kształt mają moje stopy? - zapytałem z przerażeniem.

- Radziłabym nie interesować się tym - odparła Doris. Odwróć się z powrotem na plecy.

Chyba lubię pielęgniarki. Są spokojne, opiekuńcze i tolerancyjne. Chociaż moja nocna pielęgniarka, panna Brigs, w niczym nie przypominała Doris. Właściwie na swój wiek miała całkiem niezłą figurę, ale nie potrafiła się przyzwyczaić do przebrania jakie zaproponował Starzec. Nie widziała w nim nic zabawnego. Chodziła oburzona, z nadąsaną miną. Doris, niech będzie błogosławiona, płaśła kołysząc biodrami.

Obudziłem się w środku nocy, bo męczyły mnie koszmarne sny. Jednak panna Brigs odmówiła podania następnej pigułki nasennej. Zaproponowała mi, że pogra ze mną w pokera. W efekcie ograła mnie z połowy miesięcznego zarobku. Próbowałem wyciągnąć od niej jakieś informacje o Prezydencie, ale nie odzywała się. Tak, jakby nie wiedziała nawet, po co nosi ten śmieszny kostium. Myślałem, że zna chociaż jakieś oficjalne wiadomości, jednakże była ostatnio zbyt zajęta i nie interesowała się takimi sprawami. Poprosiłem więc, żeby przyniosła mi telewizor. To także okazało się niemożliwe, lekarz się nie zgadzał. Ciekaw byłem, kiedy w końcu zobaczę mojego doktora. Nie przyszedł, odkąd tu jestem. Panna Brigs stwierdziła, że on dużo pracuje, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, ilu ma jeszcze pacjentów. Wtedy zadzwonił dzwonek i wyszła. Prawdopodobnie wzywał ją jakiś chory z rejonu.

Zaraz po jej wyjściu, zasnąłem. Chyba spałem za długo, bo obudziłem się, gdy pielęgniarka wycierała mi twarz moką gąbką. Przygotowała mnie do śniadania. Miała je przynieść już Doris. Odetchnąłem z ulgą. Tym razem byłem naprawdę głodny. Od Doris także próbowałem wyciągnąć jakieś informacje. Z tym samym efektem. Czyżby pielęgniarki traktowały szpital jak żłobek dla niedorozwiniętych dzieci?

Po śniadaniu odwiedził mnie Davidson.

- Dowiedziałem się, że tu jesteś - powiedział. Miał na sobie tylko szorty. Jego ramię okrywał opatrunek.

- To słyszałeś więcej niż ja - odpowiedziałem. - Co ci się stało?

- Przewróciłem się.

Nie pytałem więcej. Jeśli nie chce powiedzieć, to Jego sprawa.

- Starzec był tu wczoraj. Opowiedziałem mu wszystko, ale nawet nie wysłuchał mnie do końca. Wybiegł jakby się paliło. Widziałeś go?

- Tak.

- I? - zapytałem.

- W porządku. A co z tobą? Czujesz się lepiej? Mam nadzieję, że chłopcy z psychiatrycznego poukładali wszystko jak należy.

- Masz jakieś wątpliwości?

- Masz szczęście. Biedny Jarvis miał go mniej.

- Właśnie. Co z nim?

- Nigdy nie doszedł do siebie. Zapadł w śpiączkę i umarł, dzień po twojej ucieczce. To znaczy dzień po tym, jak cię dopadły. Żadnych konkretnych przyczyn, po prostu zmarł. - Davidson patrzył na mnie poważnie. - Musisz być naprawdę twardy.

Jakże się mylił. Czułem się bezsilny jak dziecko. Łzy napłynęły mi do oczu. Pragnąłem się gdzieś ukryć, żeby już nikt mnie nie znalazł.

Davidson taktownie udawał, że nie widzi mojej słabości.

- Powinieneś zobaczyć, co się działo jak zwałeś. Starzec wyrwał za tobą bez ubrania, za to z pistoletem. Pewnie by cię złapał, ale zatrzymał go policjant.

Musieliśmy szefa wyciągnąć z aresztu - Davidson śmiał się histerycznie.

Uśmiechnąłem się także, gdy wyobraziłem sobie Starca wyruszającego na zbawienie świata w stroju Adama.

- Rzeczywiście, szkoda, że tego nie widziałem. Co było potem?



Davidson patrzył na mnie niezdecydowany.

- Poczekaj. - Wyszedł z pokoju na moment. Po chwili wrócił. - Starzec się zgadza. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Opowiedz mi o wczorajszym dniu.

- Byliśmy w akcji. Wtedy właśnie mnie załatwili - pomachał do mnie swoją złamaną kończyną. - Miałem szczęście dodał - trzech agentów zginęło. Była niezła rozróżba.

- Ale jak do tego doszło? Czy Prezydent...W tym momencie do pokoju wpadła Doris.

- A, tutaj jesteś! - zawołała do Davidsona. - Mówiłam, że masz zostać w łóżku. Jedziesz do Szpitala Miłosierdzia. Ambulans czeka od dziesięciu minut.

Uśmiechnął się i wstał. Zdrową ręką uszczypnął mnie w policzek.

- Spokojnie. Beze mnie nie zaczną.

- Więc się pośpiesz.

- Idę. - I ruszył za nią do drzwi.

- Hej! Co z Prezydentem?

- On? W porządku. Nawet nie draśnięty - krzyknął, stojąc na korytarzu.

Za chwilę wróciła rozgniewana Doris.

- Pacjenci - zabrzmiało to jak przekleństwo - nie mam już cierpliwości do was. Powinam dać mu ten zastrzyk dwadzieścia minut temu, żeby zadziałał. A tak, dostał go dopiero w karetce.

- Jaki zastrzyk? - zapytałem.

- Nie powiedział ci?

- Skądże.

- Chyba nie ma powodów, by trzymać to w tajemnicy. Amputacja powyżej lewego ramienia i przeszczep.

- O rany! - było mi go żal. Jednocześnie pomyślałem, że przez jakiś czas nie dokończy swojego opowiadania. Zostanie tam pewnie przez dwa tygodnie.

Zastanawiałem się, co ze Starcem. Ale chyba wyszedł z tego cały, przecież Davidson rozmawiał z nim przed wyjściem.

- A co ze Starcem? Chyba, że nie możesz mi tego zdradzić - zagadnąłem Doris.

- Czas na posiłek i drzemkę - powiedziała i przygotowała jak co dzień szklanekę mlecznego napoju.

- Mów kobieto, bo nie zmusisz mnie, żebym to wypił.

- Starzec? Czy jest szefem Sekcji?

- Przestań udawać.

- Nie ma go na liście chorych. Przynajmniej u nas - zamyśliła się. - I całe szczęście. Nie chciałabym mieć takiego pacjenta.

Rozumiałem ją.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze przez dwa dni obchodzono się ze mną jak z dzieckiem. To był mój pierwszy prawdziwy odpoczynek od lat. Prawdopodobnie podawali mi jakieś środki uspakajające, bo po każdym posiłku byłem bardzo śpiący. Doris zachęcała mnie, no może raczej zmuszała, do spacerów po pokoju i nieskomplikowanych ćwiczeń. Ale byłem jeszcze dość słaby, chociaż moje rany wyglądały dużo lepiej.

Trzeciego dnia, w moim pokoju pojawił się nagle Starzec.

- No - powiedział. - Kiedy przestaniesz symulować.

- Nie wkurzaj mnie! Daj mi jakieś spodnie, a pokażę ci kto tu symuluje - nie wytrzymałem.

- Spokojnie synu, spokojnie - obejrzał moją kartę choroby. - Siostró. - Zawołał Doris. - Proszę przynieść temu młodemu człowiekowi szorty. Wraca do swoich obowiązków.

Doris spojrzała jakby usłyszała coś niestosownego.

- Niech pan posłucha! - powiedziała oburzona. - Nie obchodzi mnie, że jest pan szefem Sekcji. Tutaj nie ma pan prawa wydawać rozkazów. Doktor będzie...

- Dosyć! - przerwał jej brutalnie Starzec. - Proszę przynieść te gacie i przysłać do mnie doktora.

- Ale...

Podszedł do niej, obrócił ją i popchnął lekko do przodu.

- Już!

Wyszła, mrużąc coś pod nosem. Szybko wróciła. Bez spodni, za to z doktorem.

Lekarz nie wyglądał na zadowolonego.

- Byłbym wdzięczny, gdyby nie wtrącał się pan do moich pacjentów - oznajmił obrażonym tonem.

- On nie jest pańskim pacjentem. Potrzebuję go i mam zamiar zabrać go stąd.

- Tak? Jeżeli nie podoba się panu sposób w jaki prowadzę oddział, może pan natychmiast otrzymać moją rezygnację.

- Przepraszam sir. Czasami jestem zbyt pochłonięty innymi problemami, żeby pamiętać o właściwym zachowaniu. Czy moglibyśmy sprawdzić jaki jest stan zdrowia agenta? Jest mi bardzo potrzebny.

- Oczywiście, sir - wycedził przez zęby doktor. Podszedł do łóżka i zaczął

studiować kartę choroby. Potem usiadł na łóżku i sprawdził moje odruchy.

- Potrzebowałby jeszcze kilku dni na pełną rekonwalescencję, ale jeśli to ważne, może pan go zabrać. Siostrze, proszę przynieść ubranie dla pacjenta - powiedział, świecąc mi w oczy małą lampką.

Doris podała mi szorty i buty. Lepiej bym się prezentował w koszuli szpitalnej. Ale wszyscy dookoła wyglądali tak jak ja. Poza tym, widok nagich pleców bez pasożytów działał na mnie uspokajająco. Powiedziałem o tym Starcowi.

- Jeśli nie opanujemy sytuacji przed zimą, będziemy załatwieni - mruknął.

Zatrzymał się przed drzwiami ze świeżo wymalowanym napisem:

„Laboratorium Biologiczne. Wstęp Surowo Wzbroniony!” Otworzył drzwi.

- Dokąd idziemy - zapytałem przerażonym głosem.

- Zobaczyć twojego pasożyta.

- Tak myślałem. Ale nie, dziękuję - poczułem, że zupełnie nieświadomie zacząłem się trząść.

- Posłuchaj synu - powiedział łagodnie. - Musisz pokonać strach. Wiem, że to trudne. Ja spędziłem tu wiele godzin. Patrzyłem, próbując się przyzwyczaić do jego widoku.

- Nic nie rozumiesz. - Drżałem już tak, że musiałem oprzeć się o framugę.

Domyślałem się, że wolałbyś mieć to już za sobą - powiedział powoli, przyglądając mi się uważnie. - Ty byłeś jego ofiarą, Jarvis... - przerwał.

- Masz rację. To zupełnie co innego. Nie zmusisz mnie, żebym tam wszedł.

- W porządku synu. Doktor miał rację. Jest jeszcze za wcześnie - był raczej skruszony niż zły. Odwrócił się i ruszył w kierunku laboratorium.

- Szefie! - zawołałem po chwili. Zatrzymał się i spojrzał na mnie pytająco.

- Poczekaj! Idę.

- Nie musisz.

- Podjąłem już decyzję. Pomóż mi tylko opanować dreszcze wstrząsające moim ciałem.

Objął mnie ramieniem ciepło i przyjaźnie. Byłem mu za to wdzięczny, sam nie dałbym sobie rady. Przeszliśmy przez kolejne drzwi. Znaleźliśmy się w dużym, ciepłym i wilgotnym pomieszczeniu. Na środku stała wielka klatka, a w niej małpa. Patrzyła na nas, uwięziona w rusztowaniu z metalowych prętów i skórzanych pasów. Ramiona i nogi zwisały jej jakby nie miała nad nimi kontroli. Później dowiedziałem się, że tak było naprawdę. Znowu poczułem się bardzo źle.

- Obejdz klatkę dookoła. Powoli i ostrożnie - powiedział Starzec. Najchętniej wycofałbym się, ale on ciągle trzymał mnie za ramię. Małpa przez cały czas wodziła za nami oczami.

„Mój pasożyt - pomyślałem - rzecz, która żyła na moim ciele, mówiła moimi ustami, myślała moim mózgiem. Mój władca”.

- Bądź spokojny - odezwał się znowu Starzec. - Przyzwyczaisz się. Popatrz przez chwilę w inną stronę.

Zrobiłem to. Rzeczywiście pomogło. Niewiele, ale zawsze. Parę razy odetchnąłem głęboko, żeby uspokoić oszalałe serce. Znowu spojrzałem. Wygląd pasożyta budził we mnie największe przerażenie. Czułem to już, kiedy pierwszy raz go zobaczyłem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie są ich możliwości. Powiedziałem o tym Starcowi. Słuchał mnie uważnie, chociaż jego oczy wpatrzone były cały czas w pasożyta.

- Wiem. Ze wszystkimi jest tak samo. Odczuwają niewytłumaczalny strach i nie potrafią nad nim zapanować. Może dlatego są wciąż silniejsze od nas. Nagle odwrócił wzrok. Jego stalowenerwy napięte były do granic możliwości.

Ja patrzyłem nadal. Zmuszałem się. Chciałem się przyzwyczaić do tego widoku. W myślach powtarzałem sobie, że jestem bezpieczny, już nic mi nie może zrobić.

Starzec obserwował mnie uważnie.

- Jak? - zapytał. - Już lepiej?

- Trochę - spojrzałem w stronę pasożyta. - Chciałbym go zabić. Chcę zniszczyć wszystkie. Mogę poświęcić całe swoje życie na zabijanie tych potworów - powiedziałem zdenerwowany i znowu zacząłem drżeć.

Starzec ciągle mi się przyglądał.

- Masz - powiedział, podając mi pistolet. Zaskoczyło mnie to. Wziąłem broń i patrzyłem na niego pytająco.

- Chcesz to zabić, czy nie? Jeśli czujesz, że musisz - zrób to. Teraz.

- Przecież potrzebujecie go do badań.

- Tak, ale masz do tego prawo. Teraz przecież należy do ciebie. Powinieneś to zrobić, żeby móc z powrotem stać się w pełni człowiekiem.

„Stać się znowu normalnym człowiekiem...” - te słowa brzęczały mi w głowie. Starzec wiedział lepiej, czego mi potrzeba. Miał rację. Mogę się wyzwolić. Stałem i ścisnąłem pistolet gotowy do strzału. To był mój władca...

Nigdy nie będę naprawdę wolny, jeśli on będzie żył. Jasne, że chciałem zabić je wszystkie. Odnaleźć i zniszczyć, ale tego przede wszystkim. Mój władca... Wciąż nim będzie, dopóki go nie unicestwię. Miałem przeczucie, że jeżeli byłbym tu sam, nie zrobiłbym nic. Stałbym, sparaliżowany strachem; aż przypelźnie, wejdzie na moje plecy i ponownie weźmie w posiadanie mój mózg.

Już się nie bałem. Uniosłem pistolet... I po chwili opuściłem.

- Szefie, jeśli tego zabiję, będziecie mieli innego do badań?

- Nie.

- Więc jest potrzebny.

- Tak.

- Na miłość boską, dlaczego dałeś mi broń do ręki?

- On jest twój. Masz do tego prawo. Jeśli musisz, zrób to. Musiałem go zabić.

Nawet jeśli zabilibyśmy wszystkie pozostałe oprócz tego, wciąż czułbym strach i kulił się w ciemności. A badania? Mogą sobie złapać całe tuziny. Są wszędzie. Sam poprowadzę kruczają przeciwko innym. Oddychając ciężko, znowu uniosłem pistolet.

Odwrociłem się i rzuciłem Starcowi spluwę.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - zapytał.

- Nie wiem. Może wystarczyła mi świadomość, że mogę to uczynić.

- Przypuszczałem, że tak będzie.

Poczułem się spokojny i odprężony. Mogłem nawet odwrócić się do mojego pasożyta plecami. Popatrzyłem na Starca. Nie byłem zły na niego za to, co zrobił. Zamiast tego czułem wdzięczność.

- Jestem pewien, że wiedziałeś, jak zareaguję. Do cholery z tobą.

Manipulujesz ludźmi jak marionetkami.

- Tak nie jest. Najczęściej prowadzę ludzi na drogę, którą sami chcieli iść. To jest prawdziwy władca marionetek! - wskazał na pasożyta.

- Tak - zgodziłem się. - Władca marionetek. Wydaje ci się, że wiesz, o czym mówisz, ale tak naprawdę nie potrafisz sobie nawet tego wyobrazić. I chciałbym... żebyś nigdy nie doświadczył podobnego koszmaru.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedział poważnie.

Teraz mogłem już zupełnie spokojnie patrzeć na pasożyta.

- Szefie - szepnąłem, wciąż spoglądając w stronę klatki, kiedy już będzie po wszystkim, zabiję go.

- Obiecuję ci to.

Przerwał nam facet, który wszedł i zaczął się krzątać koło klatki. Wyglądał śmiesznie, ubrany był w szorty i fartuch laboratoryjny. Nie znałem go, ale z pewnością nie był to Graves. Zresztą nigdy potem nie widziałem Gravesa. Pomyślałem sobie, że Starzec zjadł go na lunch i zaśmiałem się z własnego żartu.

- Przepraszam - zawołał facet i podbiegł truchtem do Starca. - Nie wiedziałem, że pan tu jest. Ja...

- A skąd miałbyś wiedzieć? - przerwał mu. - Dlaczego masz na sobie fartuch? - zapytał i wycelował w niego pistolet. Mężczyzna patrzył na spluwę, niczego nie rozumiejąc.

- Dlaczego? Pracowałem, oczywiście. Zawsze przecież istnieje ryzyko poparzenia się. Niektóre substancje są raczej...

- Zdejmij go!

- Co?

Starzec wskazał na pistolet i jeszcze raz powtórzył, by zdjął fartuch.

- Bądź gotów, żeby go złapać - powiedział do mnie. Laborant w końcu rozebrał się. Jego ramiona i plecy były czyste.

- Spal swoje cholerne ubranie, a potem możesz wrócić do pracy - rozkazał Starzec.

Mężczyzna posłusznie opuścił pomieszczenie. Po chwili szef schował broń.

- Wydać rozkaz - wymamrotał ze złością. - Ogłosić go, napisać na ścianach, a ten podobno inteligentny cymbał Alecki i tak będzie myślał, że jego to nie dotyczy. Trzeba im chyba wytatuować informacje na czołach. Naukowcy!

Popatrzyłem jeszcze raz na pasożyta. Ciągłe budził we mnie odrazę, ale nie czułem się już tak bezradny, j

- Co masz zamiar z nim zrobić? - zapytałem. Popatrzył raczej na mnie niż na niego.

- Chcę z nim porozmawiać. - Jak? Chyba ta małpa nie...

- Nie, ona nie mówi. A szkoda. Potrzebujemy ochotnika. Człowieka.

Nagle uświadomiłem sobie, o co mu chodzi i ogarnęło mnie większe przerażenie, niż gdy tu wchodziłem.

- Nie myślisz chyba... Nie możesz tego zrobić! Nikomu!

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

- Ale nie masz żadnego ochotnika.

- Mam jednego.

- Kogo?

- Tylko nie chciałbym go użyć. Dlatego wciąż szukam odpowiedniego człowieka.

Poczułem się zagrożony.

- Nie powinieneś już szukać. Jeśli kogoś wyznaczyłeś, to na pewno nie znajdziesz drugiego. Nie wierzę, żeby znalazł się drugi człowiek, który do tego stopnia postradał zmysły.

- Możliwe - zgodził się. - Ale wciąż nie chcę tego, którego mam. Nie powinniśmy z nimi negocjować. Nie wiemy, skąd przyszli ani jak ich zatrzymać. Musimy się tego dowiedzieć na własną rękę. Może od tego zależy przetrwanie ludzkości. Jedyną drogą kontaktu, sam o tym doskonale wiesz, jest człowiek. Trzeba to zrobić i dlatego wciąż rozglądam się za ochotnikiem.

- Dobrze, tylko nie spoglądaj na mnie. Moja uwaga była tylko żartem, ale zaraz potem zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. To nie były żarty. Zaniemówiłem.

- Jesteś szalony. Powiniennem zabić mojego pasożyta i przysięgam, że zrobiłbym to, gdybym wiedział, co zamierzasz. I uprzedzam cię od razu - mówię nie. Raz to przeżyłem i myślę, że to wystarczy - wyrzuciłem to z siebie po długiej chwili milczenia.

- To nie może być ktoś przypadkowy - zaczął Starzec jakby w ogóle mnie nie słyszał - ale człowiek, o którym wiem, że wytrzyma. Jarvis nie był wystarczająco wytrzymały. Ty jesteś inny.

- Ja? Wiesz tylko, że przeżyłem. Przecież drugi raz niewytrzymam.

- Tak, tym razem to może cię zabić - powiedział cicho. Jednak to mniej prawdopodobne. Sprawdziłeś się i uodporniłeś. Ktoś inny ryzykuje bardziej. Nie chcę stracić agenta.

- Od kiedy to martwisz się utratą agenta? - zapytałem gorzko.

- Od zawsze, uwierz mi. Daję ci jeszcze jedną szansę, synu. Zastanów się. Zdecyduj wiedząc, że masz największą szansę przeżycia. Jeżeli odmówisz, inny agent będzie ryzykował życiem zamiast ciebie.

Chciałem mu powiedzieć, iż nie boję się śmierci. Gdyby było inaczej, nie pracowałby dla niego. Przerazała mnie tylko myśl o poddaniu się pasożytowi. Wizja takiej śmierci jawiła mi się jak najgorsze z piekieł. On nie mógł tego zrozumieć. Wciąż nie znajdowałem słów, by opisać mu to, co przeżyłem. Gdybym wiedział...



Otrząsnąłem się.

- Dałem ci chyba jasną odpowiedź. Są pewne granice wytrzymałości. Ja je przekroczyłem. Nie zrobię tego po raz drugi. Podszedł do nadajnika w ścianie.

- Tu laboratorium. Zaczynamy eksperyment. Pospieszcie się.

- Kto to będzie? - usłyszałem głos faceta, który przed chwilą stąd wyszedł. -

Od tego zależy rozmiar.

- Pierwszy ochotnik - odpowiedział Starzec.

- Mam przynieść mniejszy?

- Tak - w głosie Starca słychać było irytację. Ruszyłem do drzwi.

- A ty dokąd? - krzyknął za mną już rozzłoszczony.

- Wychodzę - byłem chyba nie mniej zdenerwowany. Nie mam tu nic do roboty.

Złapał mnie za ramię z ogromną siłą.

- Nie wyjdiesz. Wiesz więcej o tych stworzeniach niż ktokolwiek z nas.

Możesz nam pomóc.

- Zostaw mnie.

- Zostaniesz i będziesz patrzył! - rozkazał. - Jeśli nie dobrowolnie, każę cię związać. Mogę zaakceptować to, że jeszcze nie najlepiej się czujesz, ale dość tych nonsensów. Nie rozczulaj się nad sobą.

Byłem zbyt słaby żeby się opierać. Czułem się nerwowo wyczerpany.

- W porządku, jesteś szefem.

Ludzie z laboratorium wnieśli jakąś metalową konstrukcję, rodzaj krzesła. Miało metalowe klamry na kostki, kolana, nadgarstki i łokcie. Było też coś na kształt gorsetu zamykającego tułów i część klatki piersiowej. Ramiona i plecy pozostawały odsłonięte. Ustawili je blisko klatki. Jedna ze ścian klatki została odsunięta na podobną szerokość. Małpa przyglądała się temu z zainteresowaniem, chociaż jej kończyny nadal zwisały bezwładnie. Czułem wzrastający niepokój. Tylko groźba Starca, że mnie uwięzi, powstrzymywała mnie od ucieczki.

Technicy czekali, gotowi do pracy. Wtedy otworzyły się drzwi i weszło kilka osób. Między nimi była Mary. Zachwiałem się z wrażenia. Tak bardzo chciałem ją zobaczyć. Kilka razy próbowałem nawet przekazać jej wiadomość, ale pielęgniarki albo naprawdę jej nie znały, albo udawały. A teraz spotykamy się w takiej sytuacji. Przekląłem w myślach Starca i jego kombinacje. To przecież nie był pokaz cyrkowy, żeby przyprowadzać kobietę, nawet jeśli była agentem. Istnieją jakieś granice

przyzwoitości. Wiedziałem jednak, że protesty nie pomogą.

Mary pomachała do mnie ręką. Pomachałem także. Nie było czasu na rozmowy. Wyglądała jak zwykle pięknie, ale bardzo poważnie. Miała na sobie ten sam kostium, co pielęgniarki: szorty i skąpą szarfę na piersiach. Nie dostrzegłem jednak metalowej ochrony na plecach. Pozostali byli tylko w szortach, wyposażeni w kamery i magnetofony.

- Gotowe? - zapytał szef laboratorium.

- Zaczynajcie - powiedział Starzec.

Mary usiadła na krześle. Dwóch techników klęknięto przy jej stopach i zaczęło zapinać klamry. Po chwili zdjęła przepaskę z piersi.

Stałem osłupiały. Miałem wrażenie, że to zły sen. Nagle chwyciłem Starca i odepchnąłem. Chciałem się dostać do krzesła. Kopałem techników stojących mi na drodze.

- Mary! - wrzeszczałem. - Uciekaj stamtąd! Starzec wycelował we mnie broń. Tym mnie uspokoił.

- Odsuń się od niej! - rozkazał. - Wy trzej, zwińcie go. Popatrzyłem na pistolet, potem na Mary. Nic nie powiedziała, nawet się nie poruszyła. Uświadomiłem sobie, że jest unieruchomiona. Spojrzała na mnie smutnymi oczami.

- Wstań Mary - powiedziałem posepnie. - Ja chcę tam usiąść.

Kiedy ją uwolnili, wynieśli krzesło, na którym siedziała i wnieśli takie nieco większe.

Kiedy skończyli zapinać klamry, byłem zupełnie unieruchomiony, jak wcześniej Mary. Zauważyłem, że wychodzi. Nie wiem, czy zrobiła to z własnej woli, czy na rozkaz szefa. Nie miało to już dla mnie znaczenia. Starzec podszedł do mnie.

- Dziękuję, synu - powiedział i położył mi rękę na ramieniu.

Nie widziałem, jak przenieśli pasożyta na moje plecy. Niechciałem tego zobaczyć, nawet gdyby mi zezwolono. Usłyszałem wrzask małpy i jakieś nieznanne głosy. Potem zapadła grobowacisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Coś wilgotnego dotknęło moich pleców i straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, poczułem tę samą dziwną, przytłaczającą energię, jak tamtego tragicznego dnia. Wiedziałem, że jestem szczelnie przytwierdzony do krzesła, ale pasożyt zmuszał mnie do ucieczki z laboratorium. Nie czułem strachu. Patrzyłem na wszystkich z nienawiścią i pogardą. Mogłem ich wywieść w pole bez specjalnego wysiłku.

- Czy mnie słyszysz? - głośno zapytał Starzec.  
- Oczywiście. Nie musisz tak wrzeszczeć - odpowiedziałem.  
- Czy pamiętasz po co tu jesteśmy?  
- Jasne, że pamiętam. Chcesz mi zadać kilka pytań. Na co czekasz?  
- Czym jesteś?  
- Nie masz jakiś mądrzejszych pytań? Popatrz na mnie. Mam sześć stóp wzrostu, więcej mięśni niż mózgu, ważę...  
- Nie chodzi mi o ciebie. Chcę porozmawiać z twoim władcą.  
- Przed chwilą wydawało mi się, że mówisz do mnie.  
- Przestań się zgrywać. Chyba będzie lepiej dla ciebie, jeśli przestaniesz udawać, że nie wiem, kim jesteś.  
- Przecież nie wiesz.  
- Wiem o tobie dużo, choć nie wszystko. Jesteś pasożytem, który wykorzystuje człowieka. Badaliśmy cię przez cały czas, gdy żyłeś na tej małpie. Zdobyliśmy wystarczająco dużo informacji, żeby mieć nad tobą przewagę. Po pierwsze, mogę cię zabić. Po drugie, mogę cię zranić. Nie lubisz wstrząsów elektrycznych. Nie zniesiesz tak wysokiej temperatury, jaką wytrzyma człowiek. Jesteś bezradny bez żywiciela. Kiedy usunę cię z tego człowieka zginiesz. Musisz współpracować albo umrzesz.

Słuchałem tego jednym uchem. Obce było mi uczucie strachu. Próbowałem jedynie obluźować więzy. Tak jak oczekiwałem, okazało się to niemożliwe. Nie martwiłem się tym. W ogóle niczym się nie martwiłem. Cieszyłem się, że znowu mam władcę i że jestem wolny od kłopotów i napięć. Moja przyszłość zależała od niego, powierzałem mu więc swój los.

Jeden uchwyt na kostce był luźniejszy niż inne. Mogłem ruszać stopą. Sprawdziłem jeszcze raz klamry na ramionach.

Może gdybym zupełnie rozluźnił mięśnie... Ale nie próbowałem ucieczki. Nie ma znaczenia, czy była to moja decyzja, czy instrukcja władcy. Istniało między nami dziwne porozumienie. Wiedziałem, że to nie jest odpowiedni moment na ucieczkę. Rozejrzałem się po pokoju, żeby sprawdzić, kto jest uzbrojony. Spluwę miał tylko Starzec. To zwiększało moje szanse.

Gdzieś głęboko czułem jakiś tępy ból, ale nie miałem czasu przejąć się tym.

- Więc? - zapytał. - Odpowiadasz dobrowolnie na moje pytanie, czy mam cię zmusić?

- Jakie pytanie? - Usłyszałem własny głos.

- Podaj mi to! - Starzec zwrócił się do techników.

Nie czułem żadnego lęku, chociaż wiedziałem, co mnie czeka. Byłem wciąż zajęty sprawdzaniem więzów. Gdyby położył pistolet w zasięgu mojej ręki i udałoby mi się uwolnić jedno ramię, wtedy...

W tym momencie dotknął moich pleców jakimś prętem. Pokój pociemniał i przez dłuższą chwilę moim ciałem wstrząsał prąd elektryczny. Poczulem wstrząsający ból, który rozsadzał mi głowę. Po chwili ustąpił, ale pozostała pamięć o nim. Zanim zacząłem logicznie myśleć, upłynęło trochę czasu. Po chwili znowu czułem się bezpieczny w ramionach władcy. Ale po raz pierwszy nie byłem wolny od bólu. Część jego szalonego przerażenia pozostała w moim umyśle.

Dostrzegłem, że mój lewy nadgarstek krwawi. Musiałem się szarpać i poraniłem się o kłamrę. To nie miało znaczenia, mogłem powyrywać sobie dłonie i stopy, żeby tylko umożliwić władcy ucieczkę.

- I jak? - szepnął Starzec. - Podobało ci się? Byłem spokojny, choć ostrożny. Kostki i nadgarstki, które bolały mnie przez chwilę, przestały mi dokuczać.

- Dlaczego to robisz? - zapytałem. - Chcesz mnie zranić, tylko po co?

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Pytaj.

- Czym jesteś?

Odpowiedź nie pojawiła się natychmiast. Starzec sięgnął po pręt.

- Jesteśmy ludźmi. - Usłyszałem swój głos.

- Ludźmi? Jakimi?

- Jedydami. Wiemy o was wszystko. My... - nagle urwałem.

- Mów dalej - powiedział Starzec ponuro i zbliżył pręt.

- Przybyliśmy, by dać wam...

- Co?Chciałem mówić dalej, pręt był tak blisko. Ale z trudem wydobywałem z siebie pojedyncze słowa.

- By dać wam pokój - wykrztusiłem. Starzec obserwował mnie uważnie.

- Pokój - zacząłem znowu - zadowolenie, radość poddania się - przerwałem.

Nie mogłem sobie dać rady ze słowami, jakbym posługiwał się obcym językiem. - Radość... - powtórzyłem. - Radość nirwany. - Tak, to właściwe słowo.

- Obiecujecie ludziom, że jeśli poddadzą się wam, będziecie o nich dbać i uczynicie ich szczęśliwymi. Czy tak?

- Dokładnie.

Starzec patrzył na mnie długo. Nie na moją twarz, tylko na ramiona. Potem opuścił wzrok.

- Wiesz - powiedział - ludziom już proponowano podobny układ. Nigdy jednak na taką skalę. I to się nie sprawdza, taki pomysł jest po prostu do niczego.

Wychyliłem się do przodu.

- Spróbuj sam - zasugerowałem. - Wtedy się przekonasz.

- Może powinienem - westchnął. - Może jestem winien to komuś.

Niewykluczone, że kiedyś spróbuję. Ale teraz - dodał energicznie - mam jeszcze jedno pytanie, na które odpowiesz. Spróbuj się ociągać, a znowu włączę prąd.

Skurczyłem się ze strachu. Czuję się pokonany. Wiedziałem, że muszę jak najszybciej znaleźć jakąś okazję do ucieczki.

- A więc skąd pochodzicie?

Żadnej odpowiedzi. Nie miałem żadnej informacji od władcy. Pręt był coraz bliżej. Tak bardzo się bałem.

- Zabierz to! - Usłyszałem własny krzyk. - No... Pochodzimy z daleka.

- To nic nowego. Powiedz mi, skąd. Gdzie jest wasza planeta?

Znowu bez odpowiedzi. Starzec czekał chwilę.

- Chyba muszę ci przywrócić pamięć. Patrzyłem tępo i nie myślałem o niczym. Podszedł jeden z techników.

- Czego? - wrzasnął Starzec.

- Szefie, przecież mogą być trudności obiektywne - powiedział. - Odmienna koncepcja astronomiczna.

- Dlaczego to miałyby stanowić problem? - zdziwił się.

- Ten potwór używa pożyczonego języka, posługując się swoim żywicielem. Sprawdziliśmy to. - Pomimo to próbował podejść mnie inaczej. - Popatrz, to jest układ słoneczny. Czy twoja planeta jest tutaj?

- Wszystkie planety są nasze - odparłem po chwili wahania.

- Zastanawiam się, co masz na myśli. W porządku, zdołaliście opanować cały pieprzony wszechświat, ale skąd pochodzicie? Skąd przylatują wasze statki?

Nie mogłem mu odpowiedzieć. Zanim się zorientowałem, znowu stał za mną z prętem w dłoni. Poczulem potworny ból, ale tylko przez chwilę.

- Mów do cholery! Która to planeta? Mars, Wenus, Jowisz, Saturn, Uran, Pluton, Kalki?

Nagle zobaczyłem je wszystkie. Nigdy nie znajdowałem się w takiej odległości od Ziemi. Wiedziałem też, o którą chodzi, ale władca nie chciał tego zdradzać.

- Mów! - krzyknął Starzec. - Inaczej poczujesz to jeszcze raz.

- Żadna z nich - powiedziałem. - Nasz dom jest o wiele dalej. Nigdy go nie zdemaskujecie.

- Myślę, że kłamiesz. Jeśli nie zaczniesz mówić prawdy... - spojrzał mi w oczy.

- Nie, nie! - błagałem.

- Nie zaszkodzi chyba spróbować - powoli przysunął pręt. Byłem świadomy właściwej odpowiedzi. Chciałem ją wykrzyknąć, ale coś mnie trzymało za gardło. Wtedy zaczął się ból. Nie odchodził. Rozrywał mnie od wewnątrz. Chciałem mówić, krzyczeć, zrobiłbym wszystko, żeby tylko się skończył. Ale wciąż nie mogłem. Jak przez mgłę zobaczyłem twarz Starca. Migotała i rozpływała mi się przed oczami.

- Wystarczy? - zapytał. - Jesteś gotowy, by odpowiedzieć?

Tak bardzo pragnąłem wyrzucić to z siebie, ale władca milczał nieugięty. Widziałem, jak znowu zbliża się pręt. Poczulem, że rozpadam się na kawałki i straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, stali wokół mnie.

Zobacz, wraca do siebie - ktoś zauważył. Starzec patrzył na mnie. Był zmartwiony.

- W porządku synu? - zapytał z lękiem.

Nie mogłem na niego patrzeć, odwróciłem twarz.

- Proszę się odsunąć - powiedział jakiś głos. - Muszę mu zrobić zastrzyk.

- Czy jego serce wytrzyma?

- Oczywiście, chyba, że mu tego nie podam - mężczyzna wziął mnie za ramię. Poczulem ukłucie.

„Ciekawe, co mi podali” - pomyślałem. Cokolwiek to było, postawiło mnie na nogi. Usiadłem bez niczyjej pomocy. Doktor, który robił mi zastrzyk, wycierał ręce o szorty. Zostały na nich krwawe ślady. Ciągle siedziałem w pomieszczeniu z klatką. Pod tym piekielnym krzesłem. Bez emocji zauważyłem, że klatka jest znowu zamknięta. Spróbowałem wstać. Starzec podał mi rękę. Odepchnąłem go.

- Nie dotykaj mnie!

- Przepraszam - szepnął. - Jones i Ito, weźcie nosze i zanieście go z powrotem

do sali szpitalnej. Doktorze, proszę pójść z nim.

- Oczywiście - podszedł i dotknął mnie ostrożnie.

- Zabieraj łapy! - odsunąłem się. - Nie słyszałeś? Wynoście się. Zostawcie mnie w spokoju!

Lekarz popatrzył pytająco na Starca. Ten wzruszył ramionami i kazał się wszystkim cofnąć. Sam podszedłem do drzwi. Nie chciałem patrzeć na swoje dłonie i stopy. Wystarczyło mi to, co czułem. Zdecydowałem się wrócić do sali szpitalnej. Byłem pewien, że Doris zajmie się mną. A potem zasnę spokojnie. Czułem się, jakbym brał udział w piętnastu wyścigach i wszystkie przegrał.

- Sam! Sam! - Usłyszałem. Poznałem ten głos. Odwróciłem się. Mary podbiegła i stanęła przede mną. Patrzyła swoimi wielkimi oczami, dostrzegłem w nich ból. Ale nic nie czułem.

- Czekałam, Sam - powiedziała z czułością. - Co oni ci zrobili? - Była przerażona. Nie wyglądała najlepiej.

- Nie udawaj, że nie wiesz - odpowiedziałem zimno i z całej siły uderzyłem ją w twarz.

- Suka! - rzuciłem jeszcze.

Wróciłem do sali. Przypuszczałem, że powinien zająć się mną lekarz, ale nie chciałem go widzieć. Nie chciałem widzieć nikogo z nich. Zamknąłem drzwi. Położyłem się twarzą do poduszki. Tak chciałem nie czuć niczego, o niczym nie myśleć. Usłyszałem hałas. Po chwili w drzwiach pojawiła się Doris.

- Co się stało? - krzyknęła przerażona. Poczulem dotyk jej delikatnych rąk. - Dlaczego? Biedaku! Nie ruszaj się, przyprowadzę doktora.

- Nie!

- Przecież musi cię zbadać.

- Nie! Nie chcę go widzieć. Ty się mną zajmij. Spostrzegłem, jak wychodziła. Wróciła szybko, przynajmniej tak mi się wydawało. Zaczęła opatrywać moje rany. Chciało mi się krzyczeć z bólu, kiedy dotknęła moich pleców. Ale wytrzymałem.

- Obróć się teraz!

- Nie, zostanę na brzuchu.

- Powiedziałałam, żebyś się obrócił. Musisz coś wypić. Obróciłem się z jej pomocą. Przełknąłem ze wstrętem to, co mi podała, po czym szybko zasnąłem.

Wydawało mi się, że widzę Starca, którego obrzuciłem stekiem wyzwick. Potem przyszedł doktor... Chyba to wszystko było tylko snem.

Obudziła mnie panna Briggs, a Doris przyniosła śniadanie. Wszystko wyglądało tak, jakbym nigdy stąd nie wychodził. Doris chciała mnie nakarmić, ale okazało się, że mogę zrobić to sam. Nie byłem w tak złym stanie, jak poprzednio, kiedy się tu znalazłem. Czułem się tylko sztywny i obolały - jakbym przepłynął wodospad Niagara w beczce. Miałem rany na ramionach i nogach od metalowych klamer. Na szczęście nie złamali mi żadnej kości. Naprawdę chore było moje serce.

Starzec mógł mnie wysłać w najbardziej niebezpieczne miejsca. Zresztą robił to nie raz. Jednak nie mieściło mi się w głowie, że mógł posunąć się tak daleko. Wiedział, jak mnie podejść i zmusić do czegoś, na co nigdy bym się nie zgodził. Wykorzystał mnie bezlitośnie, a ja ufałem mu bezgranicznie.

Owszem, byłem rozczarowany, że dała się namówić szefowi, a ten użył jej jako przynęty. Sekcja powinna mieć kobiety jako agentów. Mogą okazać się bardziej przydatne niż niejeden świetnie wyszkolony mężczyzna. Szczególnie młode i ładne są doskonale do takiej roboty. Ale ona zgodziła się, wystąpiła przeciwko innemu agentowi. Do tego z tej samej Sekcji. A przede wszystkim, nie powinna była zrobić tego mnie.

Czułem się oszukany, zdradzony i sponiewierany. Pomyślałem sobie, że z tym skończę. Niech sobie zaczynają akcję przeciwko pasożytom, ale beze mnie. Było mi to już obojętne. Posiadałem dom w górach. Mam tam wszystko na parę lat, no może na rok. Zgromadziłem mnóstwo pigułek czasowych. Świat niech się sam ratuje albo idzie do diabła. A jeżeli ktoś będzie chciał się do mnie zbliżyć, musi pokazać mi swoje plecy albo zginie.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Musiałem komuś o tym wszystkim powiedzieć. Doris stała się moim powiernikiem. Pewnie nie powinienem przekazywać tych informacji, nie dbałem jednak o to. Okazało się, że Doris wie o pasożytach, więc nie było powodu ukrywać przed nią czegokolwiek.

Była śmiertelnie oburzona. Przede wszystkim tym, co mi zrobili. Oczywiście jako pielęgniarka widziała gorsze rzeczy. Ale ja byłem agentem pracującym w tej samej Sekcji. Opowiedziałem też o moich uczuciach do Mary i jej udziale w tym całym zajściu.

- Znasz ten rzeźnicki trik? - zapytałem. - Kiedy prowadzi się na rzeź stado, trzeba najpierw poprowadzić przewodnika stada, reszta pójdzie za nim. Tak zrobili ze mną i Mary.

- O ile dobrze zrozumiałam, chciałeś poślubić tę dziewczynę?

- Dokładnie. Głupi jestem, co?

- Wszyscy mężczyźni są głupi, szczególnie jeśli chodzi o traktowanie kobiet. Przecież nie ma znaczenia, czy chciała wyjść za ciebie, czy nie. Najważniejsze, że wiedziała, iż chcesz ją poślubić. Od początku była pewna, jak zareagujesz, widząc ją w takiej sytuacji. Twoja ruda piękność jest przebiegła i wyrachowana. Jeżeli ją spotkam, przyłożę jej. Obiecuję ci.

- Jesteś miłą dziewczyną Doris - uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością. - Ty pewnie jesteś uczciwa w stosunku do mężczyzn.

- No, nie przesadzajmy. Zrobiłam w swoim życiu kilka rzeczy, które chciałabym zmienić, gdyby to było możliwe. Ale gdybym zrobiła cokolwiek, choć w połowie tak niegodziwego jak ona, zbiłabym wszystkie lustra, jakie posiadam. A teraz odwróć się, zmienię ci opatrunek.

W chwilę później usłyszałem dziwne odgłosy dochodzące z korytarza szpitalnego.

- Nie wejdiesz tam! - powiedziała pielęgniarka stanowczym tonem.

- Wejść! I spróbuj mnie tylko zatrzymać! - rozpoznałem głos Mary.

- Rusz się z miejsca, a wyrwę ci tą farbowaną czuprynę! - krzyczała Doris.

Nastąpiła krótka cisza i ktoś otrzymał siarczysty policzek. Podniosłem się na łóżku.

- Hej, co tam się dzieje?

W drzwiach stanęły obie. Doris oddychała ciężko, jej włosy były w nieładzie. Mary wyglądała normalnie, ale na lewym policzku widniał odcisk dłoni Doris. Patrzyła na mnie, ignorując pielęgniarkę.

- Wynoś się stąd! On nie chce z tobą rozmawiać.
- Chcę usłyszeć to od niego - odpowiedziała spokojnie Mary.
- Cholera! Doris, jeśli już tu jest, porozmawiam z nią. Mamy sobie przecież kilka rzeczy do wyjaśnienia. Dziękuję, że się starałaś.

Doris popatrzyła na mnie.

- Jesteś głupcem - powiedziała i wybiegła. Mary podeszła do łóżka.
- Sam... Sam...
- Nie nazywam się tak.
- Nigdy przecież nie znałam twojego prawdziwego imienia. Zawahałem się.

To nie najlepszy moment, by tłumaczyć, że moi rodzice byli na tyle okrutni, by nazwać mnie Elihu.

- Co za różnica. Może być Sam.
- Sam - powtórzyła - kochanie...
- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób.
- Przypuszczałam, że tak powiesz. Przyszłam tutaj, żebyś mi wyjaśnił,

dłaczego mnie nienawidzisz. Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

- Po tym, co zrobiłaś, przychodzisz do mnie i mówisz, że nic nie rozumiesz?

Mary, może jesteś nieczułą istotą, ale nie jesteś chyba głupia. Wiem, bo pracowałem z tobą.

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Odwrotnie Sam. Jestem po prostu głupia. Zdaję sobie sprawę z tego, co oni ci zrobili. Zgodziłeś się na to, by mnie ochraniać. Rozumiem i jestem ci bardzo wdzięczna, ale dlaczego mnie nienawidzisz? Nie musiałeś tego robić, nie prosiłam cię i nie chciałam tego. Wierzysz mi?

Podniosłem się na łokciu.

- Chcesz przekonać samą siebie, że było właśnie tak. Mogę rozwiać twoje złudzenia.

- Proszę.

- Usiadłaś na tym krześle wiedząc, że nigdy bym na to nie pozwolił. Starzec nie zmusiłby mnie w żaden sposób, żebym tam usiadł. Ani przemocą, ani narkotykami. Tylko ty mogłaś mu pomóc. Byłaś jedyną osobą, dla której zrobiłbym

wszystko. A teraz czuję się podle i jestem załamany. To między innymi twoja zasługa.

Kiedy mówiłem. Mary otwierała oczy ze zdziwienia i stawała się coraz bledsza.

- Sam, czy w to wszystko wierzysz? - wykrztusiła z trudem.

- Chcesz jeszcze coś usłyszeć?

- Nie miałam pojęcia o niczym. Byłam zaskoczona, widząc ciebie w laboratorium. Ktoś przecież musiał to zrobić. Więc się zgodziłam. Przysięgam, że mówię prawdę.

- Przysięga... - mruknąłem. - Zabawna jesteś.

- Co mam jeszcze powiedzieć, żebyś mi uwierzył?

- Nie ma znaczenia, czy wiedziałaś, że tam będę, czy kłamiesz. Mogłaś przewidzieć, co się stanie.

- Wiesz... - zawahała się. - Przecież nie mogę z tobą dyskutować o faktach.

- Oczywiście.

Długo jeszcze stała nieruchomo. Nie przeszkadzałem jej.

- Sam, kiedyś mówiłeś, że chciałbyś się ze mną ożenić odezwała się po chwili.

- Przypominam sobie coś takiego, ale to było dawno.

- Nie oczekuję podtrzymania tej propozycji. Chcę ci tylko jeszcze przekazać, iż jestem niezmiernie wdzięczna za to, co uczyniłeś.

Tym razem mnie naprawdę rozbawiła.

- Postawiłaś na kobiecość do samego końca. Może trochę przyzwoitości? Sposób rozumowania kobiet wciąż mnie zdumiewa. Zawsze myślą, że wszystko można zacząć od nowa. Wymazać przeszłość, zresztą za pomocą tych samych wyświechtanych słów i gestów. - Śmiałem się głośno nie zwracając uwagi na jej wyraźne zawstydzenie. - To się nie uda. Bardzo mi przykro, nie tym razem.

Widziałem, że sprawiłem jej ból. Była roztrzęsiona, ale odezwała się opanowanym głosem.

- Wszystko, co powiedziałam jest prawdziwe. Czuję się zmęczony, opadłem na łóżko.

- Myślę, że możesz jeszcze coś dla mnie zrobić. Jej twarz się rozjaśniła.

- Co?

- Odejdź i przestań mnie nudzić. Jestem wykończony.

Odwrociłem się twarzą do ściany. Nie słyszałem, jak wychodziła. Po chwili

zobaczyłem Doris. Stanęła przede mną, trzymając ręce na biodrach. Była strasznie wzburzona, ale wyglądała uroczo.

- No i co, dałeś się owinać dookoła palca temu potworowi?

- Nie przypuszczam.

- Nie kłam. Byłeś za miękki. Mężczyźni są zawsze tacy. Mówiłam ci, że to idioci. Wystarczy powiedzieć im kilka bzdur i już o wszystkim zapominają.

- W porządku, ze mną to się nie udaje.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Poza tym wyrzuciłem ją. Doris raczej mi nie uwierzyła.

- Mam nadzieję, że to zrobiłeś. Chociaż rzeczywiście niewyglądała już tak zuchwale, kiedy wychodziła. Jak się czujesz? - zmieniała temat.

- Całkiem nieźle - skłamałem.

- Może zrobić ci masaż?

- Nie, usiądź przy mnie. Pogadaj ze mną. Chcesz papierosa?

- Tak, może doktor mnie nie przyłapie.

Zapaliłem papierosa dla nas obojga. Zaciągnęła się, a jej kształtny biust wysunął się z przepaski. Pomyślałem sobie, że jest słodkim kociakiem. Była właśnie tym, czego potrzebowałem, żeby zapomnieć o Mary.

Rozmawialiśmy chwilę. Doris powiedziała mi, co myśli o kobietach. To, że była jedną z nich, nie przeszkadzało jej w ostrej krytyce.

- Weźmy pod uwagę kobiety-pacjentki - powiedziała. Jednym z powodów, dla których przyjąłem tę pracę, było to, że nie ma tutaj kobiet w starszym wieku. Mężczyźni doceniają wszystko, co się dla nich robi. Kobiety są bardzo wymagające i kapryśne.

- Pewnie też byłąś taką pacjentką - stwierdziłem, by jej dokuczyć.

- Mam nadzieję, że nie. Na razie jestem zdrowa, dzięki Bogu; zgasiła papierosa i zeskoczyła z łóżka. - Czas na mnie. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj.

- Doris...?

- Tak?

- Czy możesz wziąć urlop?

- Chciałabym wyjechać na dwa tygodnie. Dlaczego pytasz?

- Myślałem... Mam domek w górach, moglibyśmy mile spędzić czas i zapomnieć o tym domu wariatów.

- Wiesz, to wspaniała propozycja - podeszła i po raz pierwszy pocałowała mnie. - Gdybym nie była od dawna mężatką z parą bliźniaków na głowie, na pewno nie zastanawiałabym się.

- Nie wiedziałem...

- Sprawileś mi przyjemność. Skierowała się do drzwi.

- Doris, zaczekaj chwilę - zawołałem. - Przecież możesz tak czy inaczej skorzystać z mojej propozycji. Weź swojego starego, dzieciaki, i zróbcie sobie wakacje. Dam ci kod i klucze.

- Naprawdę?

- Jasne.

- Dobrze. Porozmawiamy o tym później. Dziękuję - zawróciła i pocałowała mnie jeszcze raz. Bardzo bym chciał, żeby nie była mężatką.

Chwilę potem przyszedł doktor. Marnował czas na bezsensowne badania. Nie znosiłem tego.

- Ta pielęgniarka, Miss Marsden, czy jest mężatką? - odezwałem się.

- A co cię to obchodzi?

- Po prostu chcę wiedzieć.

- Trzymaj ręce z daleka od moich pielęgniarek albo się z tobą policzę.

Starzec pojawił się tego samego popołudnia. Pierwszą moją reakcją była nienaturalna radość. Przypomniałem sobie jednak szybko, że on łatwo się nie wzrusza. Natychmiast stałem się chłodny.

- Chcę porozmawiać z tobą - zaczął.

- A ja nie chcę. Wynoś się.

Zignorował moją odpowiedź i usiadł obok.

- Pozwolisz, że usiądę?

- Przecież już to zrobiłeś.

Na to także nie zwrócił uwagi. Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie badawczo.

- Wiesz synu, zaliczam ciebie do moich najlepszych ludzi, ale czasami jesteś zbyt porywczy.

- Nie martw się tym. Jak tylko doktor mnie stąd wypuści, nie ujrysz mnie już.

- Tak naprawdę nie zdecydowałem się jeszcze, ale musiałem to powiedzieć. Nie ufałem już Starcowi.

Nie usłyszał tego, a może nie chciał usłyszeć.

- Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Na przykład historia z Mary...

- Jaką Mary?

- Myślę, że wiesz jaką. Znałeś ją jako Mary Cavanaugh.

- Ach, ją masz na myśli.

- Zrzuciłeś wszystko na nią nie znając faktów. Sprawileś, że zwątpiła w sens tego, co robi. Mogłeś w ten sposób pozbawić mnie świętego agenta.

- Ach! Czy mam się zalać łzami z tego powodu?

- Słuchaj, gnojku. Nie miałeś żadnego prawa być tak brutalny wobec niej. Nie odpowiedziałem. Tłumaczenie się nie jest najlepszą obroną.

- No tak. Wydaje ci się, iż wiesz wszystko - powiedział. Myślisz, że pozwoliła użyć siebie jako przynęty, abyś zrobił to dla nas. I tutaj się mylisz. Ja zaplanowałem wasze spotkanie w laboratorium.

- Domyślam się.

- Więc dlaczego winisz ją?

- Ponieważ, pomimo że ty zaplanowałeś, nie wykonałbyś tego bez jej aktywnego współdziałania. To wielkie, że chcesz wziąć wszystko na siebie. Impertynencje znowu puścił mimo uszu.

- Dobrze. Tylko musisz uświadomić sobie, że dziewczyna o niczym nie wiedziała.

- Ale była tam, do jasnej cholery!

- To prawda. Powiedz mi, czy kiedykolwiek cię okłamałem?

- Nie - odpowiedziałem - choć jestem pewien, że nie zawahałbyś się. Wyglądał, jakby moje słowa sprawiły mu ból.

- Może zasłużyłem na to. Okłamałbym swojego człowieka, gdyby bezpieczeństwo kraju od tego zależało. Dotychczas jednak nie było takiej potrzeby. Możesz sprawdzić w dowolny sposób i sam zdecydujesz, czy oszukałem cię, czy nie. Ta dziewczyna nie była świadoma. Nie wiedziała, że tam będziesz. Nie domyślała się nawet, że wcale nie zamierzam pozwolić jej usiąść na tym krześle, gdyż wybrałem ciebie. Zrobiłbym wszystko, by złapać cię w pułapkę. Do cholery synu, ona nie przypuszczała, że jesteś tu, w szpitalu.

Chciałem w to wierzyć, ale nie ufałem mu już. Zależało mu na pozyskaniu dwóch świętnych agentów, szczególnie w tak skomplikowanej sytuacji. Starzec miał umysł syntetyczny.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć. Wszyscy, niewyłączając mnie, doceniają twoje zaangażowanie, bez względu na motywy. Napisałem o tym w

raporcie i na pewno dostaniesz nagrodę. Nawet jeśli odejdiesz z sekcji. Pomogę ci znaleźć inną pracę, zresztą sam zdecydujesz - przerwał, by odetchnąć i mówił dalej - ale nie rób z siebie bohatera...

- Nie robię - odparłem.

- Medal należy się komuś innemu. Powinna go dostać Mary.

- Nie mam nic przeciwko temu. Mary była przecież prawdziwym bogobożnym ochotnikiem. Siedziała na tym cholernym krześle i nawet nie wiedziała, co się z nią stanie. Nie oczekiwała odwołania wyroku, miała pełne prawo wierzyć, że przeżyje. Ale teraz pozbyła się już złudzeń i możesz ją stracić.

- Słuchaj synu - wrzasnął - większość kobiet jest piekielnie głupia albo cholernie dziecinna. Bywają jednak odważniejsze niż ci najbardziej odważni, lepsze niż ci najlepsi, nikczemniejsze niż ci nikczemni. Próbuję ci powiedzieć, że ona jest ważniejsza niż ty i że zrobiłeś jej krzywdę.

Byłem zupełnie zdezorientowany. Nie potrafiłem ocenić, czy mówi prawdę, czy znowu mną manipuluje.

- Możliwe, że napadłem na niewłaściwą osobę. Ale to, co zrobiłeś, nie wydaje mi się usprawiedliwione. Jest tym bardziej nieuczciwe.

- Synu, przykro mi, jeżeli cię zawiodłem. W podobnej sytuacji postąpiłbym tak samo. W takich momentach mam wybór niewiele większy niż dowódca bitwy. Może jeszcze mniejszy, bo walczę z nieznaną siłą. Zawsze muszę być gotów zabić nawet najbliższą mi osobę. Nie wiem, czy to jest dobre, czy złe, ale taka jest nasza praca. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się na moim miejscu, sam będziesz musiał tak postępować.

- Myślę, że nie będę miał okazji.

- Dlaczego nie weźmiesz urlopu? Odpocznij i przemyśl wszystko.

- Biorę urlop - bezterminowy.

- Bardzo dobrze.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Poczekaj - powiedziałem.

- Tak?

- Obiecałeś mi jedną rzecz. Powiedziałeś, że sam będę mógł go zabić. Masz coś przeciwko temu teraz?

- Nie, ale...

- Daj mi pistolet - zerwałem się z łóżka. - Chcę z tym skończyć.

- Ale nie możesz. Twój pasożyt jest martwy.
- Co!? Obiecałeś mi.
- Wiem. Ale on umarł, kiedy próbowaliśmy zmusić ciebie, a właściwie jego, do mówienia.

Zacząłem się histerycznie śmiać. Byłem bezradny. Starzec chwycił mnie za ramiona i potrząsnął mną.

- Wyrzuć to z siebie! Bo inaczej sam się zamęczysz. Nie ma się z czego śmiać. Nic już się nie da zrobić.

- Nie masz racji - powiedziałem. - To najzabawniejsza rzecz, jaka mi się zdarzyła. Wszystko na nic. Wytaplałem się w brudzie, dałem skłócić się z Mary. Czuję się pusty.

- Dlaczego tak myślisz!
- Jestem skończony.
- Do cholery, przestań się rozczulać nad sobą. Bardzo nam pomogłeś.
- Zostawcie mnie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.
- Synu, to był większy sukces, niż mógłbyś przypuszczać. Dowiedzieliśmy się sporo o nich. Powiedziałeś nam wszystko, gdy zdjęliśmy pasożyta z twoich pleców.
- O czym ty mówisz?
- O ostatniej nocy. Jeszcze raz wykorzystaliśmy wasz kontakt. Byłeś pod wpływem narkotyków. Badaliśmy twój umysł i fale mózgowe. On pozostawił w twoim mózgu informacje. Analitycy, dzięki hipnozie, mogli je z ciebie wyciągnąć.
- I co?
- Wiemy skąd oni pochodzą. Są z Tytana, szóstego satelity Saturna. Poczułem znowu nagły, duszący ucisk w gardle. Wiedziałem, że to prawda.
- Oczywiście broniłeś się przed ujawnieniem nam wielu szczegółów.

Musieliśmy cię unieruchomić, abyś bardziej się nie poranił.

Zamiast wyjść, ułożył swoją chorą nogę na krawędzi łóżka i zapalił papierosa. Spróbował nawiązać ze mną bliższy kontakt. Ja również nie chciałem już z nim walczyć. Bolała mnie głowa, miałem jeszcze wiele rzeczy do przemyślenia. Tytan był niewyobrażalnie odległy. Ludzie dotarli najdalej na Marsa. Słyszałem jeszcze o nieszczęsnej ekspedycji na księżyc Jowisza, która nigdy nie powróciła. Ale może moglibyśmy się tam dostać? Tak bardzo pragnąłem zniszczyć ich gniazdo.

Moje rozmyślenia przerwał Starzec. Wstał i skierował się do drzwi.

- Tato! - zawołałem.



Nie nazywałem go tak od lat. Odwrócił się. Na jego twarzy malowało się wzruszenie.

- Tak, synu? - powiedział zdławionym głosem.

- Dlaczego ty i matka nazywaliście mnie Elihu?

- To imię twojego dziadka ze strony matki.

- Powiedziałbym, że nie jest to wystarczający powód.

- Po prostu tak zdecydowaliśmy.

- Tato, opowiedz mi o mojej matce.

- Twoja matka? - zamyślił się. Ona była... bardzo podobna do Mary. Tak, taka jak Mary - wyszedł szybko, nie dając mi szansy na następne pytania.

Odwróciłem się twarzą do ściany. Za chwilę zasnąłem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Może powinienem zamartwiać się zagładą świata, ale byłem zbyt zajęty osobistymi problemami. Nie słyszałem o człowieku, który sam mając śmiertelną ranę, przejmowałby się losem innych.

Wiedziałem, że Prezydent zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie nam zagraża. Inwazja stworzeń z Tytana jest objęta ścisłą tajemnicą. Pomimo wszystko, chciałem uczestniczyć w tej akcji. Snułem plany na przyszłość.

Teraz moglibyśmy zniszczyć ich tutaj, potem wyruszyć tam, skąd nadeszły. Ale planowanie międzyplanetarnej wyprawy przekraczało znacznie moje kompetencje. Wiem o tym tyle, co o sztuce Egiptu.

Kiedy lekarz pozwolił mi wstać, zacząłem szukać Mary. Wciąż opierałem się jedynie na relacji Starca. Bałem się jednak, że narobiłem niepotrzebnego zamieszania. Musiałem ją zobaczyć i porozmawiać o wydarzeniach sprzed kilku dni.

Można by oczekiwać, że wysoką, przystojną, rudowłosą dziewczynę łatwo odnaleźć w budynku Sekcji. Ale była przecież tajną agentką. Agenci przychodzą i wychodzą, a stały personel szpitala jest raczej zobowiązany zajmować się swoimi sprawami. Doris nie widziała Mary od ostatniej wizyty u mnie.

W biurze personelu dali mi uprzejmą odprawę. Nie znałem nawet jej nazwiska. Odesłali mnie do kierownictwa, a więc do Starca. To mi nie pasowało.

Gdy spróbowałem poszukiwać na własną rękę, spotkałem się z jeszcze większą nieufnością. Zaczynałem się czuć jak szpieg we własnej Sekcji.

Poszedłem do laboratorium biologicznego. Nie mogłem znaleźć szefa, więc porozmawiałem z asystentem. Nie słyszał nic o dziewczynie związanej z projektem „Kontakt”. Wiedział tylko, że brał w tym udział mężczyzna. Kazałem mu bliżej mi się przyjrzeć.

- Ty byłeś tym facetem. Dostałeś niezłe lanie - powiedział i wrócił do bazgraniny nad raportami.

Wyszedłem, nie mówiąc dziękuję i skierowałem się do biura Starca. Chyba nie miałem wyboru.

Za biurkiem panny Haines siedziała nowa sekretarka. Nigdy więcej nie ujrzałem Haines od tamtej nocy. Nie pytałem, co się z nią stało. Nie chciałem wracać do tych koszmarnych zdarzeń.

Nowa sekretarka sprawdziła mój kod identyfikacyjny i po chwili

poinformowała, że Starzec mnie przyjmie.

- Czego chcesz? - zapytał niemiłym głosem.

- Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- W rzeczywistości miałem właśnie po ciebie posłać. Dość już próżnowałeś - przekazał zaszyfrowaną wiadomość do nadajnika w biurku. - Idziemy - zwrócił się do mnie rozkazującym tonem.

Nagle poczułem się spokojny. Poszedłem za nim.

- Do Sekcji Kosmetycznej? - zadałem pytanie.

- Twoja ohydna twarz wystarczy. Ruszamy do Waszyngtonu. Pobrałem ubranie. Dostałem też broń i sprawdzono mój osobisty nadajnik. Przed wyjściem strażnik polecił nam odsłonić plecy, po czym wypuścił nas z budynku. Kiedy wyszliśmy zorientowałem się, że jesteśmy w Nowej Filadelfii. Dopiero teraz dowiedziałem się gdzie zlokalizowane jest nowe biuro Sekcji.

Widok nieznamych ludzi przygnębił mnie. Uświadomiłem sobie, iż instynktownie odsuwam się od przechodniów i sprawdzam wzrokiem, czy mają zaokrąglone plecy. Wsiadanie do zatłoczonej windy, by wjechać na platformę startową, wydawało mi się zupełną bezmyślnością.

- Mógłbym przysiąc, że przynajmniej jeden gliniarz, którego mijaliśmy, miał zaokrąglone plecy - stwierdziłem, gdy siedzieliśmy już w wozie.

- Możliwe. Dlatego miej oczy otwarte.

- Więc na Boga, co tu się dzieje. Przecież nic się nie zmieniło, nie podjęto żadnych środków ostrożności.

- Próbujemy, ale niewiele można zrobić w tej sytuacji.

- Wszyscy powinni chodzić z obnażonymi plecami do chwili zlikwidowania ostatniego pasożyta.

- Masz rację.

- Prezydent wie o zagrożeniu. Przynajmniej tak zrozumiałem...

- Oczywiście.

- Więc na co czeka? Aż opanują cały kraj? Powinniśmy ogłosić stan wyjątkowy, podjąć konkretne działania.

- Czy myślisz synu, że Prezydent sam o wszystkim decyduje?

- Nie. Ale jest człowiekiem, który może działać.

- Wiesz, niektórzy nazywali premiera Cwetkova więźniem Kremla. Czy to słuszne, czy nie, Prezydent jest więźniem Kongresu.

- Chcesz powiedzieć, iż Kongres się nie zgadza?

- Czas żebyś uświadomił sobie, że jeżeli chodzi o politykę, nic nie jest łatwe - powiedział Starzec. - Kongres czasem odmawia zgody na akcję. Nawet kiedy niebezpieczeństwo jest bardziej oczywiste niż w tym wypadku. Dowody są nieliczne i nie da się ukryć, trudno w nie uwierzyć.

- A co z zastępcą Ministra Skarbu? Przecież nie mogą tego zignorować.

- Nie mogą? Zastępca Ministra został uwolniony przez nas, musieliśmy przy tym zabić ludzi z jego tajnej służby. A teraz, ten szanowany gość znajduje się w Walter Reed z powodu załamania nerwowego, a do tego nie może sobie przypomnieć, co się stało. Ministerstwo Skarbu przyjęło, że próba zamordowania Prezydenta została udaremniona, ale nie wiedzą kto za tym stoi.

- Prezydent wstrzymuje się od ujawnienia całej sprawy?

- Jego doradcy twierdzą, że powinien, aż otrzyma poparcie Kongresu. Są wątpliwości, czy będzie miał za sobą większość. Polityka to brutalna gra.

- Dobry Boże!

W końcu zdecydowałem się zadać Starcowi pytanie, z którym do niego przyszedłem.

- Gdzie jest Mary?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - stwierdził ironicznie. Nasz agent pilnuje Prezydenta - dodał oficjalnym tonem.

Weszliśmy do pokoju, gdzie specjalnie zebrana komisja badała dowody. Usiedliśmy w fotelach, po chwili rozpoczęła się projekcja filmu. Najpierw ujrzałem mojego antropoidalnego przyjaciela Napoleona, z pasożytem na plecach. Pokazano zbliżenie. Zrobiło mi się niedobrze. Każdy przybysz wyglądał tak samo, ale wiedziałem, iż to ten. Byłem szczęśliwszy, że jest już martwy.

Potem zobaczyłem samego siebie. Przypinano mnie do krzesła. Nie zdawałem sobie sprawy jak wyglądałem. Głos z ekranu objaśniał przebieg eksperymentu. Widziałem jak przenoszą potwora z małpy, na moje nagie plecy. Zemdlałem i w jakimś dziwnym odrętwieniu przeżywałem wszystkie te okropności raz jeszcze.

Starzec pomógł mi powrócić do rzeczywistości. Spojrzałem na ekran. Mój pasożyt umierał gdy zdejmowano go z mojego ciała. Ten widok wart był całej męczarni związanej z powrotem do tamtych wydarzeń.

Film się skończył, odetchnąłem z ulgą i otarłem pot z czoła.

- I co panowie na to? - zapytał przewodniczący.

- Muszę przyznać, że widziałem lepsze zdjęcia trikowe w Hollywood. -

Większość rozbawiła się tym żartem.

- Panowie, spokój - ktoś krzyknął.

Wiedziałem, że ta runda będzie przegrana.

Najpierw składał zeznania szef naszego laboratorium biologicznego. Po jakimś czasie wezwano mnie. Podałem swoje nazwisko, adres, zawód. Niedbale zadawali mi pytania dotyczące moich doświadczeń, spostrzeżeń.

Nie dostrzegłem większego zainteresowania na sali. Kilku członków komisji ostentacyjnie czytało gazety.

Tylko dwa pytania padły z sali.

- Panie Nivens - tak brzmi pańskie nazwisko? - odezwał się jeden z senatorów.

- Tak.

- Panie Nivens, powiedział pan, iż jest agentem? Przytaknąłem.

- Nie wątpię, że z FBI?

- Nie, mój szef podlega bezpośrednio Prezydentowi. Senator uśmiechnął się.

- Tak myślałem. Więc jak pan stwierdził, jest pan agentem, ale jak wiadomo, także aktorem. - Zerknął do notatek.

- Grałem tylko jeden letni sezon, ale to nie zmienia faktu, że jestem prawdziwym, wystarczająco wyszkolonym agentem wyjaśniłem zgromadzonym.

- To wystarczy panie Nivens. Dziękuję.

Drugie pytanie zadał mi podstarzały senator, którego nazwisko powinienem znać. Chciał znać moją ocenę zbrojeń w innych krajach. Wykorzystał to pytanie, by przedstawić własny punkt widzenia.

- Proszę usiąść, panie Nivens. - Usłyszałem głos przewodniczącego, gdy udzielałem odpowiedzi senatorowi. Zignorowałem jego polecenie.

- Posłuchajcie wszyscy - krzychałem. To nie są wymyślone historie. Przecież, na miłość boską, możecie mnie sprawdzić detektorem kłamstw albo za pomocą innych testów! To nie są żarty.

- Proszę usiąść panie Nivens. - Przewodniczący zastukał swoim młotkiem. Posłusznie wróciłem na swoje miejsce i załamany opadłem na fotel.

Starzec powiedział mi, że efektem tego spotkania ma być rezolucja oceniająca stan zagrożenia i przekazująca siły zbrojne pod rozkazy Sekcji Specjalnej.

Przewodniczący zapytał, czy wszyscy są gotowi do podjęcia ostatecznej decyzji.

- Panie przewodniczący, proszę, aby pozostali sami członkowie komitetu -

zapropował jeden z czytelników prasy. Zostaliśmy wyproszeni.

- Nie wygląda to najlepiej - powiedziałem do Starca.

- Nie przejmuj się - odpowiedział. - Wiedziałem, że zignorują nas, kiedy usłyszałem nazwiska członków tego komitetu.

- Co mamy teraz robić? Czekać, aż te potwory opanują Kongres?

- Prezydent ma zamiar osobiście przedstawić fakty Kongresowi i poprosić o zgodę na rozpoczęcie akcji.

- Myślisz, że się zgodzą?

- Szczerze mówiąc, myślę że nie ma żadnej szansy - westchnął.

Zebranie było oczywiście tajne, ale my zostaliśmy tam również zaproszeni.

Powróciliśmy więc na salę. Staaliśmy za mównicą. Przystąpiono do ceremonii wybierania po dwóch członków z każdego stronnictwa. Po jakimś czasie na salę wkroczył Prezydent. Straż była z nimi także, ale na szczęście sami nasi ludzie.

Zobaczyłem Mary. Ktoś przystawił jej krzesło tuż obok Prezydenta. Miała ręce wypełnione papierami i dokumentami jak klasyczna sekretarka. Uchwyciłem jej spojrzenie. Posłała w moim kierunku długi, słodki pocałunek. Ożywiłem się jak szczeniak i uśmiechałem się głupkowato dopóty, dopóki Starzec nie kopnął mnie w kostkę. Uspokoilem się, ale byłem niezmiernie szczęśliwy.

Prezydent przedstawił sytuację. Wyjaśnił skąd pochodzą wszystkie informacje. Jego przemówienie było jasne i racjonalne jak raport inżynierski. Zebrał po prostu wszystkie znane fakty. Na koniec odłożył notatki i wstał.

- Jest to dziwne i alarmujące, dotychczas nieznanie niebezpieczeństwo, dlatego też totalnie przekracza nasze wyobrażenia. Z tego powodu muszę prosić o siły do walki z tym. W niektórych regionach musimy wprowadzić stan wyjątkowy. Na jakiś czas będzie konieczna poważna ingerencja w prawa obywatelskie. Zostanie ograniczone prawo swobodnego poruszania się po kraju. Każdy obywatel, nawet nie wiadomo jak szanowany, może stać się uległym poddanym tajnych wrogów. Należy pogodzić się utratą części swoich praw i przywilejów, do chwili zniszczenia tej plagi. Jest to ostateczność, na którą trudno się zdecydować, jednak proszę byście poparli moje zarządzenia - po tych słowach usiadł.

Jego przemówienie nie zrobiło na nikim większego wrażenia. Przewodniczący zebrania uniósł młotek i spojrzał na kogoś z izby Senatu, by ten przedstawił propozycję rezolucji dotyczącą stanu zagrożenia.

Coś mi umknęło, nie wiem czy mężczyzna pokręcił głową czy dał jakiś

sygnał, ale nikt nie zabrał głosu. Opóźnienie stawało się kłopotliwe. Przewodniczący Senatu przeczekał jeszcze kilka minut i oddał głos członkowi swojej własnej partii. Rozpoznałem tego człowieka, to senator Gottlieb - fanatyk, który oddałby życie za swoją partię. Zaczął od przedstawienia swojego szacunku dla Konstytucji. Wskazał na swą długą, uczciwą służbę i mówił o miejscu Ameryki w historii świata.

Pomyślałem, że popiera nas w przeciwieństwie do innych i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co rzeczywiście oznaczają jego słowa. Proponował odroczenie decyzji i zajęcie się postawieniem w stan oskarżenia Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pierwszy zrozumiałem, o co mu naprawdę chodzi. Tak bardzo właściwy sens wypowiedzi ozdabiał rytualnymi zwrotami, że nikt nie zorientował się, o czym naprawdę mówi. Szukałem potwierdzenia moich przypuszczeń u Starca, lecz jego wzrok utkwiony był w Mary. Ona odwzajemniła to spojrzenie z wyrazem najwyższego napięcia. Wówczas szybko wyjął notatnik z kieszeni, zapisał coś, złożył kartkę i przekazał Mary. Przeczytała wiadomość i podała ją Prezydentowi.

Prezydent siedział przez cały czas spokojny i łagodny, a stary przyjaciel poniewierał jego godnością, a wraz z nią statusem bezpieczeństwa kraju. Kiedy Mary podała mu wiadomość, założył swoje staromodne okulary i spokojnie przeczytał. Niespiesznie przeniósł wzrok na Starca i uniósł pytająco brwi. Starzec kiwnął głową, jakby potwierdzając przekazaną informację.

Prezydent trącił łokciem przewodniczącego Senatu, który na ten gest pochylił się ku niemu. Szeptali coś do siebie. Gottlieb ciągle huczał o swoim rozgoryczeniu, o tym że nadszedł czas, by stara przyjaźń ustąpiła wyższym racjom i dlatego...

Przewodniczący uderzył młotkiem w stół.

- Jeśli senator pozwoli... - Gottlieb spojrział na niego zaskoczony.

- Nie zmienię zdania - powiedział.

- Nikt pana o to nie prosi. Z powodu wielkiej wagi pana wypowiedzi, jest pan proszony przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych o przejście na mównicę.

Gottlieb wyglądał na zakłopotanego, ale nie mógł nic zrobić. Ruszył powoli w stronę podium.

Krzesło Mary blokowało odrobinę przejście do mównicy. Ale zamiast cicho się odsunąć, przesunęła krzesło tak, że zagroziła mu zupełnie drogę. Gottlieb podszedł do niej i dotknął jej ramienia. Mary powiedziała coś do niego, a on odpowiedział. Nie było słyhać słów. W końcu wyminął ją i dotarł do podium.

Starzec, aż drżał z napięcia. Mary spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Trzymaj go! - krzyknął Starzec. Przeskoczyłem barierkę i rzuciłem się w kierunku senatora jak szalony. Wylądowałem na jego ramionach.

- Rękawiczki synu, ostrożnie! - Usłyszałem szefa. Ale nie było czasu. Zerwałem z niego marynarkę gołymi rękami i zobaczyłem pulsującego władcę. Należało zdjąć też koszulę, by wszyscy mogli to zobaczyć.

Sześć kamer rejestrowało zdarzenia na sali. Przytrzymałem Gottlieba, żeby się nie szarpał. Mary siedziała mu na nogach.

- Tutaj! Jest. Możecie go teraz wszyscy zobaczyć! - oznajmił Prezydent.

Przewodniczący stał z oglupiałą miną i wymachiwał młotkiem. Kongres zamienił się w histeryczny motłoch. Mężczyźni wrzeszczeli, kobiety piszczały. Nade mną stał Starzec i wydawał rozkazy dla straży Prezydenta.

Byliśmy w dziwnej sytuacji, nikt nie był uzbrojony oprócz Starca i kilku strażników. Jakiś podstarzały kongresmen wyciągnął z płaszcza rewolwer, ale broń bardziej przypominała przedmiot muzealny.

Dzięki pomocy straży prezydenckiej, przywrócono jako taki spokój. Prezydent powiedział, że dzięki zdumiewającemu zajściu wszyscy mają okazję zobaczyć prawdziwą naturę pasożytów i sugerował, by ustawili się rzędem tak, aby każdy obejrzał przybysza z największego księżycy Saturna. Nie czekając na aprobatę, kazał im wszystkim podchodzić.

Odważyło się tylko dwadzieścia osób. Jedna kongresmenka dostała ataku hysterii. W pewnym momencie Mary znowu dała znak Starcowi. Zadziałąłem szybciej, niż wydał rozkaz. Pomogło mi dwóch kongresmenów i wspólnie złapaliśmy kolejnego nosiciela.

Położyliśmy go obok Gottlieba. Ponownie trzeba było zaprowadzić porządek. Zarządzono również rewizję osobistą. Podczas sprawdzania niechcący potrąciłem kobietę, która przechodziła obok i w ten sposób złapałem następnego. Mary rozpoznała jeszcze dwa.

Większości władców nie udało się schwytać, gdyby nie sprawna organizacyjnie pomoc członków parlamentu. Wykryliśmy trzynaście pasożytów, a dziesięć zdołaliśmy uśmiercić.

Kongres Stanów Zjednoczonych nie przeżył chyba takich chwil od czasu, gdy Jefferson Thomas ogłosił Deklarację niepodległości.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Prezydent otrzymał poparcie, którego potrzebował i Starzec stał się de facto szefem. Nareszcie mogliśmy działać szybko i efektywnie. Ale czyżby? Czy udało się kiedykolwiek przeforsować realizację jakiegoś projektu bez biurokracji?

Starzec opracował cały plan. To nie była tylko zwykła kwarantanna w rejonie ograniczonym do Des Moines. Odślonięte Plecy, to pierwsza faza wprowadzenia w życie Operacji Pasożyt jak powiedziałby biurokrata. Według planu, każdy miał poruszać się bez odzieży wierzchniej do czasu, aż odnajdziemy wszystkie te stworzenia i zabijemy je. Kobiety powinny nosić przepaski na piersiach.

Musieliśmy szybko przygotować program telewizyjny, w którym Prezydent wygłosiłby orędzie do narodu. Dzięki sprawnemu działaniu zyskaliśmy siedem pasożytów, teraz żyły na zwierzętach. Chcieliśmy je pokazać i zaprezentować fragmenty filmu ze mną w roli głównej, zrobionego podczas próby kontaktu. Modelki reklamowałyby specjalne, metalowe ochraniacze na ramiona, zakładane podczas snu.

Zmontowaliśmy to w ciągu jednej nieprzespanej nocy.

Końcowe sekwencje programu ukazywały Kongres dyskutujący o sposobach zapobieżenia plagi pasożytów i każdy znajdujący się na sali miał prezentować nagie plecy.

Zostało dwadzieścia osiem minut do wejścia, więc wezwaliśmy Prezydenta. Starzec był z nim całą noc, ale utrzymywał ze mną stały kontakt, sprawdzając co robimy. Mary oczywiście też tam była. Wszyscy nosiliśmy tylko szorty. Operacja Odślonięte Plecy zaczęła się w Białym Domu.

Kiedy weszliśmy, Prezydent rozmawiał przez telefon.

- Rzeczywiście... Jesteś pewien? Dobrze John, jeśli tak radzisz... Rozumiem. Ale nie wiem, czy to poskutkuje. Lepiej jednak, żeby się udało. Mają być gotowi - odłożył słuchawkę, a najego twarzy malował się spokój.

- Proszę powiadomić ekipę telewizyjną - zwrócił się do zastępcy.

Zawołał jeszcze swojego służącego i przeszedł do garderoby przylegającej do biura. Gdy stamtąd wyszedł, był całkiem ubrany. Nic nie wyjaśnił zdziwionemu szalenie Starcowi. Ja nie śmiałem o nic pytać. Wszyscy z dreszczem niepokoju ruszyliśmy na salę obrad.

Trwała już druga sesja całego Parlamentu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie wierzyłem własnym oczom kongresmeni i senatorzy byli ubrani!

Poczułem się trochę lepiej, widząc rozebranych, porozstawianych dookoła strażników.

Nie rozumiem. Ci ludzie woleli umrzeć niż narazić się na śmieszność. Udzielili wprawdzie Prezydentowi poparcia, decyzja o nakazie obnażania pleców została zaakceptowana, ale jakby zapomnieli dostosować się do tego zarządzenia. A poza tym, pewnie myśleli sobie, że skoro ich sprawdzono, to nie muszą podporządkować się rozkazom. Fakt, Kongres był teraz jedynym zbiorowiskiem ludzi w tym kraju, co do których można było mieć pewność, iż nie ma wśród nich żywicieli.

Prezydent wszedł na podium. Stał tam, aż na sali zapadła grobowa cisza. Wtedy powoli, spokojnie zaczął się rozbierać i pokazał zgromadzonym plecy.

- Zrobiłem to, więc możecie zobaczyć, że człowiek, na najwyższym stanowisku w tym kraju, nie został usidlony przez wrogów - przerwał. - A co z wami? Prezydent wskazał palcem jednego z senatorów. - Co z tobą Marku Cummingsie? Jesteś uczciwym obywatelem czy zombi? Dalej! Ściągaj koszulę!

- Panie Prezydencie - odezwała się Charity Evans. Wyglądała na młodą, ładną nauczycielkę. Ubrała długą suknię wieczorową, ale z tyłu miała bardzo głęboki dekolt, z przodu zaś tylko coś na kształt gorsetu. - Czy tak może być panie Prezydencie?

- Satysfakcjonujące rozwiązanie - pochwalił ją. Tymczasem Cummings ciągle nie mógł uporać się z marynarką. Był purpurowy na twarzy. W tym momencie wstał senator Gottlieb. Wyglądał nie najlepiej, chyba powinien leżeć w łóżku. Jego twarz była szara, miał zapadnięte policzki i sine usta. Ale trzymał się prosto, z godnością za przykładem Prezydenta. Bez wahania obnażył ramiona, ukazując szkarłatny ślad po pasożycie.

- Ostatniej nocy stałem tu i mówiłem rzeczy, których teraz nie powtórzyłbym nawet, gdyby obdzierano mnie ze skóry. Ale wtedy nie byłem panem siebie. Dzisiaj jestem. Czy nie widzicie, co dzieje się dookoła?! - Nagle zobaczyłem w jego ręce pistolet. Wstańcie, tchórze i próżniaki. Daję dwie minuty, by ściągnąć rzeczy i pokazać nagie plecy, inaczej strzelam.

Siedzący obok niego zerwali się i próbowali złapać senatora za ramię, ale ten przerzucił sprawnie pistolet do drugiej ręki i uderzył jednego z nich w twarz. Przygotowałem broń, by go osłonić, lecz okazało się to niepotrzebne. Zrozumieli, że nie dadzą mu rady. Był jak rozwścieczony byk, więc szybko cofnęli się. W ten sposób

sytuacja została rozstrzygnięta. Wszyscy zaczęli ściągać ubrania w przyspieszonym tempie. Jakiś człowiek rzucił się do drzwi. Schwytaliśmy go, na szczęście nie miał pasożyta.

- Niemniej złapaliśmy aż trzy. Po dziesięciu minutach rozpoczęła się transmisja, z pierwszego w historii, posiedzenia Kongresu z „nagimi plecami”.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Chcieliśmy odnaleźć i zabić wszystkie pasożyty w ciągu tygodnia. Poza silną propagandą, kraj był podzielony na sektory, w których wciąż trwały poszukiwania latających talerzy. Radar był nieustannie gotowy do przyjęcia informacji o niezidentyfikowanych obiektach, a jednostki wojskowe gotowe do walki, jeśli jakikolwiek by wylądował. Ale nic się nie działo. Cała akcja przypominała odpalenie zepsutego fajerwerku. Na nieopanowanych terenach ludzie bez sprzeciwu poddawali się zarządzeniom. Chodzili z obnażonymi plecami, sprawdzali się nawzajem, ale nic nie znajdowali. Oglądali wiadomości, czekając aż rząd wreszcie ogłosi, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Z czasem zaczęli wątpić w konieczność biegania po ulicach w strojach kąpielowych. Nie przemawiało do nich zagrożenie ze strony pasożytów, których nikt nie widział.

A zarazone tereny? Raporty stamtąd, właściwie niczym się nie różniły od raportów z innych części kraju.

Centralna telewizja, a więc i wiadomości nie docierały wszędzie. Pełną kontrolę nad stacją nadawczą mieliśmy tylko w stolicy. Nie wiadomo było, co nadają stacje lokalne.

Podjeźrowaliśmy, że na niektórych terenach władcy kontrolują stacje telewizyjne. I o ile, ludzie tam pewnie nie słyszeli ostrzeżeń, mieliśmy wszelkie dane, by przypuszczać, że przybysze z Tytana je słyszeli. Nadchodziły raporty z Iowa. Gubernator stanu Iowa był jednym z pierwszych, którzy przesłali wiadomość Prezydentowi. Obiecywał w niej pełną współpracę. Zawiadamiał, iż policja stanu krąży po drogach, zatrzymując i sprawdzając wszystkich. Połączenia lotnicze nad Iowa zostały wstrzymane na czas zagrożenia, tak jak zarządził Prezydent. Gubernator przekazał nam nawet relację z wystąpienia nakłaniającego mieszkańców do chodzenia z obnażonymi plecami. Podczas transmisji eksponowano jego twarz. Chciałem, by się odwrócił. Ale nagie plecy zostały pokazane z innej kamery.

Jeśli jakieś miejsce w Stanach było największym skupiskiem przybyszów z Tytana, to właśnie Iowa. Zastanawiałem się nad tym wszystkim siedząc w sali konferencyjnej. Zgromadziła się znowu spora grupa ekspertów. Obok Prezydenta stał Starzec i oczywiście Mary. Był też minister bezpieczeństwa - Martinez i główny szef sztabu - marszałek Rexton. Dostrzegłem również grube ryby z gabinetu Prezydenta,

ale oni właściwie się nie liczyli.

- I co, Andrew? Iowa jest nasza - Prezydent zwrócił się do Starca po obejrzeniu przekazu z Iowa.

- Wydaje mi się - powiedział Rexton - że nie mieliśmy dość czasu, by ocenić sytuację. Oni chyba zeszli do podziemia. Musimy sprawdzić każdy skrawek podejrzanego obszaru.

- Przetrzęsnać Iowa?! Może snopek po snopku, co? Nie, to do mnie nie przemawia - odezwał się Starzec.

- A jak inaczej, by się pan do tego zabrał?

- Niech pan wyobrazi sobie przeciwnika! Oni nie mogli zejść do podziemia. Nie mogą funkcjonować bez żywicieli.

- No dobrze, założmy, że to prawda. Ile pasożytów może być według pana w Iowa?

- Do cholery, skąd mam wiedzieć? Nie zwierzają mi się!

- Możemy założyć w przybliżeniu, że...

- Nie ma pan żadnych podstaw do jakichkolwiek założeń - krzyknął Starzec. - Czy nie widzicie, oni wygrali następną rundę?

- Co?

- Słyszeliście gubernatora. Pozwolili nam zobaczyć jego plecy, choć nie mamy żadnej pewności, że to były jego plecy. Przecież potem nie obrócił się ponownie do kamery?

- Odwrócił się - ktoś wtrącił. - Sam widziałem.

- Ja też odniosłem podobne wrażenie - powiedział Prezydent wolno, jakby z namysłem. - Czy sugerujesz, że gubernator Pocher ma pasożyta?

- Oczywiście! Widziałeś to, co chciałeś zobaczyć. Było cięcie zanim się odwrócił. Ludzie zazwyczaj tego nie zauważają, są przyzwyczajeni. W ten sposób każda informacja z Iowa może być fałszywa.

Prezydent zamyślił się. Minister Martinez stanowczo pokręcił głową.

- Niemożliwe - powiedział. - Przyznaję, że wiadomość od gubernatora mogła być sfalszowana. Każdy zręczny aktor umiałby to zrobić. Pamiętacie przemowę inauguracyjną w czasie kryzysu w roku dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy Prezydent zachorował na zapalenie płuc? Takie rzeczy można sfalszować. Ale co ze sceną z ulicy w Des Moines? Niech mi pan nie mówi, że podstawiono setki półnagich ludzi biegnących po ulicy. A może te pasożyty potrafią stosować zbiorową hipnozę?

- O ile wiem, nie potrafią - przyznał Starzec. - Gdyby potrafiły, moglibyśmy równie dobrze złożyć broń i stwierdzić, że rasa ludzka przestała istnieć. Ale co upewniło pana, że ta wiadomość była przekazem z Iowa?

- Co?! Do cholery, sir, przecież była na kanale z Iowa!

- To niczego nie dowodzi. Przeczytał pan jakąś nazwę ulicy? Wyglądała jak typowa ulica śródmieścia, jaką można znaleźć w każdym stanie. Czy spiker coś powiedział?

Minister otworzył usta. Przypomniałem sobie również cały przekaz. I nie tylko nie potrafiłem powiedzieć, jakie to miasto, ale nawet w jakiej części kraju. Może Memphis, Seattle albo Boston, lub żadne z nich. Wyłączając charakterystyczne miejsca jak Canal Street w Nowym Orleanie, czy Civic Center w Denver, śródmieścia wszędzie są takie same, podobne do siebie jak salony fryzjerskie.

- Niech pan się nie przejmuj - westchnął Starzec. Ja też nie potrafiłbym powiedzieć, choć szukałem jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Wytłumaczenie jest proste. Stacja DesMoines wybrała scenę uliczną w mieście nieopanowanym przez pasożyty i puściła to na swoim kanale, z własnym komentarzem. Pocięli taśmę tak, że nie można było zlokalizować miejsca...i daliśmy się oszukać.

Zaplanowali wszystko w najmniejszych szczegółach i są gotowi wywieźć nas w pole, bez względu na to, co postanowimy zrobić by ich zniszczyć.

- Nie przesadzasz, Andrew? - zapytał Prezydent. - Jest jeszcze jedna możliwość. Może przenieśli się w inne miejsce.

- Są ciągle w Iowa - powiedział stanowczo Starzec. - Ale nie można tego sprawdzić za pomocą tego sprzętu. - Wskazała nadajnik wideofoniczny.

- To absurdalne! - krzyknął Martinez. - Twierdzi pan, iż nie otrzymamy żadnego prawdziwego raportu z Iowa, dopóki będzie opanowane przez pasożyty.

- Tak właśnie.

- Ale ja zatrzymałem się dwa dni temu w Des Moines, kiedy wracałem z Alaski. Wszystko wyglądało normalnie. Mogę przyjąć, że przybysze istnieją, chociaż żadnego jeszcze nie widziałem. Ale szukajmy ich tam, gdzie one są, zamiast tworzyć fantastyczne bajki.

Starzec wyglądał na zmęczonego. Zastanawiałem się, ilu ludzi jeszcze będzie mówiło poważnie takie rzeczy.

- Jeśli będzie pan kontrolował komunikację kraju, ma pan w kieszeni cały kraj - odpowiedział mu Starzec. - To chyba jest oczywiste. Myślę, że powinien pan podjąć

szybkie działanie, panie ministrze, bo inaczej nie zostanie panu żaden z kanałów komunikacyjnych.

- Ale ja jedynie...

- Niech je pan odnajdzie i wyrzuci - powiedział ze złością Starzec. - Ja mówię panu, że są w Iowa, Nowym Orleanie i w wielu innych miejscach. Moja robota skończona. Pan jest ministrem bezpieczeństwa i pan ma je usunąć. - Wstał i podszedł do Prezydenta.

- Panie Prezydencie, to za dużo jak na człowieka w moim wieku. Kiedy nie śpię, zbyt szybko tracę panowanie nad sobą. Czy mogę odejść?

- Oczywiście, Andrew.

- Niech pan chwileczkę poczeka. Możemy sprawdzić pańskie podejrzenia - Martinez zwrócił się do szefa sztabu. Rexton!

- Tak, sir?

- Jak się nazywa ta nowa jednostka przy Des Moines? Fort, czy coś takiego? Jak ona się nazywa?

- Fort Patton!

- Tak, tak właśnie. Nie traćmy czasu. Trzeba się z nimi połączyć...

- Wizualnie! - dodał Starzec.

- Oczywiście. Myślę, że będziemy mogli zobaczyć, jaki jest prawdziwy stan rzeczy w Iowa.

Rexton podszedł do wideofonu i połączył się z główną kwaterą Generalnego Urzędu Bezpieczeństwa. Poprosił oficera o obraz z Fort Patton, w Iowa.

Za chwilę, na monitorze pokazało się wnętrze Wojskowego Centrum Komunikacyjnego. Na pierwszym planie zobaczyliśmy młodego oficera. Jego stopień i znak jednostki widniały na czapce, tors miał nagi.

- Widzi pan? - Triumfalnie odwrócił się do Starca, 1

- Widzę.

- Upewnijmy się - zwrócił się do oficera na ekranie. Poruczniku.

- Tak, sir? - Młody człowiek patrzył przerażony i przenosił wzrok z jednej sławnej osoby, na drugą. - Odbiór i nadawanie są zsynchronizowane czasowo - zapewnił.

- Wstań i obróć się! - rozkazał Martinez.

- Co? Dlaczego?... Oczywiście, sir. - Wyglądał na speszonego, wstał i obrócił się. Ale teraz ekran obejmował tylko koniec jego szortów i nic powyżej.

- Bez sensu! - krzyknął Martinez. - Usiądź i obróć się!

- Tak jest! - młodzieniec podszedł do biurka. - Chwileczkę, tylko poszerzę kąt obrazu, sir.

Nagle obraz zamazał się i zaczął falować. Głos oficera ciągle było słychać.

- Czy teraz lepiej, sir?

- Cholera, teraz nic nie widać!

- Nie? Proszę poczekać, sir.

Słychać było jego przyspieszony oddech. Nagle obraz wrócił, ale na ekranie pokazał się major, a pokój był większy.

- Kwatera Główna - zameldował się. Oficer dyżurny, major Donovan.

- Majorze - Martinez starał się opanować - byłem połączony z Fort Patton. Co się stało?

- Tak jest, sir. Sprawdziłem to. Mamy jakieś drobne zakłócenia techniczne na tym kanale. Połączymy pana jeszcze raz za chwilę.

- Więc proszę się pośpieszyć!

- Tak jest, sir! - obraz na ekranie zafalował i znikł.

- Zawołajcie mnie, kiedy wyjaśnią się te cholerne techniczne zakłócenia.

Tymczasem idę do łóżka - powiedział Starzec.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Martinez i Rexton musieli pracować całą noc, łącząc się innymi zagrożonymi miejscami, by przekonać się, że „techniczne usterki” zdarzają się tam nagminnie. Zadzwonili do Starca około czwartej nad ranem, a ja słyszałem wszystko przez mój osobisty nadajnik.

Zerwałem się natychmiast i poszedłem do sali konferencyjnej. Oprócz ministra bezpieczeństwa i marszałka ujrzałem jeszcze kilka innych osobistości. Po chwili w drzwiach pojawił się Prezydent w płaszczu kąpielowym, a za nim Mary. Martinez chciał zacząć mówić, Starzec powstrzymał go.

- Pokaż nam swoje plecy! - powiedział stanowczo. Prezydent spojrzał zdziwiony, a Mary dała znak, że wszystko w porządku, ale Starzec zignorował ją.

- Masz rację, Andrew - powiedział Prezydent cicho i zsunął z ramion szlafrok. Jego plecy były czyste. - Jak mogę wymagać współpracy, jeśli nie stosuję się do własnych poleceń?

Starzec chciał pomóc mu założyć szlafrok, ale Prezydent powstrzymał go. Przewiesił okrycie przez krzesło.

- Muszę nabrać nowych przyzwyczajień. To trudne w moim wieku. No i jak panowie?

Pomyślałem, że rzeczywiście zaczynam się przyzwyczajać do widoku nagości dookoła. Tworzyliśmy osobliwą grupę.

Martinez szczupły, o ciemnej cerze, prawie koloru mahoniu. Myślę, że był półkrwi Indianinem. Rexton opalony tylko na twarzy, od szyi w dół był biały tak jak Prezydent. Na piersi wiły mu się czarne włosy. Tymczasem Prezydent i Starzec mieli siwy zarost. Mary wyglądała cudownie - idealna figura i piękne, długie nogi. Ja, no cóż, jestem raczej typem intelektualisty.

Martinez i Rexton przypinali do mapy kolorowe pinezki. Czerwone dla miejsc niebezpiecznych, zielone dla wolnych i bursztynowe dla tych, jeszcze nie rozpoznanych. Raporty wciąż nadchodziły i asystent uzupełniał dane.

Iowa była cała pokryta pinezkami. Tak samo Nowy Orlean, Kansas City. Cała północna część systemu Missouri-Missisipi od Mineapolis przez St. Paul aż do St. Louis była wyraźnie terytorium wrogów. Aż do Nowego Orleanu same czerwone szpilki, ani jednej zielonej.

Zobaczyłem jeszcze jedno takie miejsce w okolicach El Pasoi - dwa na

wybrzeżu.

Prezydent obejrzał mapę spokojnie.

- Potrzebujemy pomocy Kanady i Meksyku - powiedział.

- Czy są jakieś nowe informacje? - Nic znaczącego, sir.

- Kanada i Meksyk - powtórzył Starzec poważnie - to na początek. Będziesz potrzebował poparcia całego świata.

- Rzeczywiście - dodał Rexton. - A co z Rosją? Nikt nie odpowiedział. Nikt z nas nie miał wystarczających informacji. Trzecia wojna światowa nie rozstrzygnęła problemu Rosji i chyba żadna wojna go nie rozstrzygnie. Zresztą pasożyty powinny za żelazną kurtyną czuć się jak w domu.

- Zajmiemy się tym, jeśli będzie trzeba - odrzekł Prezydent. Pokazał palcem na mapę. - Czy są jakieś niepokojące informacje z wybrzeża?

- Raczej nie - zdobył się na odpowiedź Rexton. - Wydaje mi się, że oni włączają się w bezpośrednie przekazy. Ale całą militarną komunikację przełączyłem na jeden kanał, przez stację kosmiczną Gamma.

- Dobrze... - powiedział Prezydent z namysłem. - Andrew, czy pasożyty mogą opanować stację kosmiczną?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie wiem nawet jak zbudowane są ich statki.

Możliwe, że mogliby tam dotrzeć dzięki rakietom dostawczym.

Trudno było rozstrzygnąć ten problem. Akcja z „nagimi plecami” nie dotarła do stacji kosmicznych. Pomimo że zapłaciliśmy za ich zbudowanie i utrzymujemy je, od czasu, gdy uznane zostały za terytorium Narodów Zjednoczonych, Prezydent musiał z każdym działaniem czekać na zgodę ONZ.

- Jestem prawdopodobnie jedynym tutaj człowiekiem, który zajmuje się stacjami kosmicznymi - objaśnił Rexton. - Panowie, kostium, w jaki my jesteśmy ubrani, obowiązuje również na stacjach. Ale sprawdzimy to. - Wydał rozkazy jednemu ze swoich asystentów.

- Jak wiem - wtrącił Prezydent - wszystko zaczęło się od tego lądowania. - Wskazał miejsce w Iowa.

- O ile wiemy, tak - odpowiedział Starzec.

- Ależ nie! - krzyknąłem.

Wszyscy spojrzeli na mnie, zawstydziłem się.

- Mów dalej - rozkazał Starzec.

- Były jeszcze przynajmniej trzy lądowania. Wiem, że były - zanim zostałem

uwolniony.

- Czy jesteś pewien, synu? Myślałem, że wyciągnęliśmy z ciebie wszystko.

- Pewnie tak.

- Dlaczego więc nie powiedziałeś tego? - wrzasnął Starzec.

- Próbowałem im wytłumaczyć jak czuje się człowiek opanowany przez pasożyta. Do jakiego stopnia uświadamia sobie rzeczywistość, która go otacza. Wszystko przypomina sen. Nie jestem bojaźliwym typem, ale być żywicielem pasożyta to coś, co może zwalić z nóg każdego.

Starzec położył mi rękę na ramieniu.

- Uspokój się, synu.

Prezydent również starał się mnie pocieszyć i łagodnie się uśmiechnął. Jego telewizyjna osobowość nie była sztuczna. On naprawdę taki był.

- Przypomnij sobie gdzie wylądowali - gorączkował się Rexton. - Wciąż możemy ich jeszcze powstrzymać, a przynajmniej dowiedzieć się czegoś.

- Wątpię - stwierdził Starzec. - Na pewno ukryli się natychmiast i schowali pojazd.

Podszedłem do mapy. Myślałem i próbowałem sobie przypomnieć. W końcu wskazałem Nowy Orlean.

- Jestem pewien. Jedno z lądowań odbyło się gdzieś tutaj.

- Gapiłem się w mapę. - Nie wiem, gdzie lądowały inne.

- Może tutaj? - Rexton pokazał wschodnie wybrzeże.

- Nie wiem.

Starzec wskazał inne miejsce na wybrzeżu.

- Wiemy, że tutaj było drugie źródło pasożytów. - Był na tyle taktowny i nie powiedział o tym, że ja byłem w to zamieszany.

- Nie pamiętasz nic więcej? - zapytał Martinez. - Pomyśl człowieku...

- Po prostu, nie pamiętam. Naprawdę żywiciel nie wie, co ma zrobić jego władca - starałem się wrócić do tamtych zdarzeń. - Pamiętam, że wysłałem do Kansas City kilka razy jakieś wiadomości. Ale nie wiem, czy miały one cokolwiek wspólnego z lądowaniem.

Rexton patrzył na mapę. Dookoła Kansas City wpiętych było tyle samo znaczków, co przy Iowa.

- Założmy, że wylądowali także w Kansas City. Technicy mogą nad tym popracować. Trzeba to przekazać do analizy.

- Oczywiście - odrzekł Starzec. - Ale potrzebujemy więcej informacji. -  
Odwrócił się do mapy i zamyślony patrzył na kolorowe znaki, które ją pokrywały.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

W momencie lądowania pasożytów niebezpieczeństwo mogło zostać zażegnane przez jednego zdeterminowanego człowieka, posiadającego bombę.

Kiedy rodzina Cavanaughów - Mary, Starzec i ja badaliśmy teren w okolicach Grinnel i Des Moines, mogliśmy sami, w trójkę bezlitośnie zabić wszystkie pasożyty. Przecież wiedzieliśmy, gdzie one są.

Gdyby akcja „nagich pleców” została wprowadzona jeszcze tej nocy, gdy pierwszy raz wylądowali, sytuacja nie byłaby tak tragiczna. Tereny zakażone, ale nie kontrolowane przez te ślimacze stworzenia, na przykład Waszyngton, czy Nowa Filadelfia mogłyby zostać szybko oczyszczone.

Tymczasem wschodnie wybrzeże powoli zmieniało kolor z czerwonego na zielony. Ale całe centrum i południe kraju wypełniające w większości mapę, pokryte było czerwonymi pinezkami i pozostawało takie.

Zwykła mapa ponabijana pinezkami została przeniesiona na olbrzymią elektroniczną mapę wojskową. Pokrywała całą ścianę pokoju konferencyjnego. Nanoszono na nią natychmiast najświeższe informacje. Punkt kontrolny znajdował się w podziemiach Nowego Pentagonu.

Kraj na mapie podzielono na dwie części. Wyglądało to tak, jakby ktoś wylał czerwony barwnik na dolinę w centrum. Dwa bursztynowe zygzaki stanowiły granice wielkich obszarów opanowanych przez pasożyty. Były to miejsca nakładających się wpływów, jedyne obszary prawdziwego działania. Otrzymywaliśmy informacje ze stacji nadawczych opanowanych przez najeźdźców i tych będących wciąż w rękach wolnych ludzi.

Patrzyłem na tablicę elektroniczną i zastanawiałem się, co dzieje się na tych obszarach granicznych. Byłem sam. Prezydent zabrał Starca na tajne zebranie. Rexton i jego ludzie wyszli wcześniej.

Zostałem tu, bo nikt mi nie powiedział dokąd mam iść, a nie chciałem się włączyć po Białym Domu.

Obserwowałem bursztynowe światełka zmieniające swój kolor na czerwony, i co zdarzało się rzadziej, na zielony.

Rozmyślałem w jaki sposób, będąc tutaj w końcu gościem bez statusu, mógłbym dostać śniadanie. Ale jeszcze bardziej marzyłem o odwiedzeniu łazienki Prezydenta. Czułem jednak, że skorzystanie z niej byłoby czymś pomiędzy zdradą

stanu, a niemoralnym postępkiem.

Nie dostrzegłem żadnego strażnika. Może pokój obserwowano. Przepuszczałem, że wszystkie pomieszczenia w Białym Domu mają „oczy i uszy”. Ostatecznie zrezygnowałem z mojego szalonego pomysłu i udałem się do sali konferencyjnej. Była tam Mary. Patrzyłem na nią głupio przez chwilę.

- Myślałem, że jesteś z Prezydentem.

- Zostałam odesłana - uśmiechnęła się. - Starzec mnie zastąpił.

- Wiesz Mary - powiedziałem - czekałem na chwilę, kiedy będziemy sami. To jest pierwsza szansa, jaka mi się zdarzyła. Myślę, że powinienem... no... w każdym razie... Nie chciałem... mam na myśli naszą ostatnią rozmowę - zawahałem się. Czuję, że mi nie wychodzi. - W każdym razie przepraszam, bardzo przepraszam. - Zakończyłem żałośnie.

Mary położyła rękę na moim ramieniu.

- Sam, mój drogi, nie martw się tym. Najważniejsze jest to, co zrobiłeś. Jestem szczęśliwa, że mną nie gardzisz.

- W porządku, tylko do cholery, nie bądź taka wielkoduszna. Nie znoszę tego!

Uśmiechnęła się do mnie radośnie, zupełnie inaczej, niż wtedy, gdy zobaczyła mnie wchodzącego po raz pierwszy do Sali konferencyjnej.

- Sam, myślę, że lubisz, gdy kobiety są troszkę wredne. Ostrzegam cię, potrafię być taka. Pewnie ciągle jeszcze martwisz się tym policzkiem? Rozumiem. Ale można to załatwić. - Uderzyła mnie delikatnie w twarz. - Teraz jest remis, możesz o tym zapomnieć.

Nagle zmienił się wyraz jej twarzy. Zauważyłem, że podnosi dłoń i poczułem piekielny ból. Uderzyła mnie jeszcze raz, tylko tym razem mocniej.

- Ten - wyszeptała wzburzonym, zachrypniętym głosem za to, co zrobiła twoja dziewczyna.

Zadzwoiło mi w uszach. Chyba użyła czegoś ciężkiego. Patrzyła na mnie prowokująco. Była chyba nawet zła, jeśli uniesione nozdrza mogą o tym świadczyć. Podniosłem rękę, odchyliła się leciutko, ale ja chciałem tylko dotknąć swojego rozpalonego policzka. Bolało.

- Ona nie jest moją dziewczyną - powiedziałem surowym tonem.

Nagle oboje wybuchliśmy niepohamowanym śmiechem. Mary położyła obie ręce na moich ramionach, wciąż się śmiejąc.

- Sam - udało jej się wykrztusić - jest mi bardzo przykro. Nie powinnam była

tego zrobić. Nie tobie. No, a przynajmniej nie tak mocno.

- Przynajmniej nie kłam! - krzyknąłem.

- Biedny Sam - dotknęła mojej twarzy. - Czy ona naprawdę nie jest twoją dziewczyną?

- Na moje nieszczęście, nie! Ale nie dlatego, że nie próbowałem jej poderwać.

- Jestem pewna. A kto jest twoją dziewczyną? - zabrzmiało to dość kokieteryjnie w jej ustach.

- Ty, zmij!

- Tak - odpowiedziała zadowolona. - Będę twoja, gdy zapłacisz za mnie.

Czekała na pocałunek. Odepchnąłem ją.

- Zapomnij kobieto. Nie mam ochoty na kupno czegośkolwiek.

- Źle się wyraziłam. Jestem tutaj, bo chcę tu być. Czy mógłbyś mnie teraz pocałować?

Może nie był to odpowiedni moment, ale zgodziłem się. Wydała mi się szalenie seksowna. Kiedyś już całowaliśmy się, teraz dopiero poczułem smak jej ust. Chciałem, by ta chwila trwała wiecznie.

Jednak przełamałem się.

- Myślę, że muszę usiąść - powiedziałem.

- Dziękuję, Sam - szepnęła.

- Mary, kochanie, jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić.

- Tak? - zapytała łagodnie.

- Powiedz mi, czy ludzie tutaj jedzą cokolwiek? Umieram z głodu.

Popatrzyła na mnie zdziwiona. Chyba oczekiwała czegoś innego.

- Zaczekaj kilka minut.

Nie wiem dokąd poszła. Wróciła za chwilę z tacą kanapek i dwoma butelkami piwa. Jedzenie postawiła mi na kolanach.

- Mary, jak sądzisz, ile to będzie jeszcze trwało?

- Jest tam czternaście osób, włączając Starca. Myślę, że minimum dwie godziny. Dlaczego pytasz?

- Dlatego, że... - postawiłem wszystko na jedną kartę. W takim razie mamy dość czasu, aby wydostać się stąd, znaleźć urząd stanu cywilnego, wziąć ślub i wrócić zanim Starzec się za nami stęskni.

Nie odpowiedziała. Zamiast na mnie, patrzyła na butelkę z piwem.

- Co ty na to? - upierałem się.

- Jeśli bardzo chcesz, dobrze. Ponieważ już się zgodziłam. Ale nie potrafię cię okłamywać. Wolałabym nie.

- Nie chcesz wyjść za mnie?

- Sam, myślę, że nie jesteś gotów do małżeństwa.

- Mów za siebie!

- Nie bądź zły kochanie. Możesz mnie mieć bez kontraktu małżeńskiego, gdzie chcesz, kiedy chcesz i jak chcesz. Ale przecież nawet mnie nie znasz. Możesz także zmienić zdanie, gdy się bliżej poznamy.

- Nieczęsto zmieniam zdanie.

Spojrzała bez słowa, a potem odwróciła się. Widziałem, że jest smutna.

- Spotkaliśmy się w wyjątkowych warunkach - zaprotestowałem. - Wiesz, że to wszystko... Powstrzymała mnie.

- Wiem, Sam. Chcesz mi udowodnić, że teraz jesteś pewien swojej decyzji. Ale naprawdę nie możesz udowodnić niczego. Pojedziemy gdzieś na weekend, albo jeszcze lepiej przenieś się do mnie. Będziemy mieli dużo czasu i wówczas uczynisz ze mnie „uczciwą kobietę”, jak to mówiły nasze babki, zresztą Bóg wie dlaczego.

Musiałem wyglądać na zdziwionego. Tak się zresztą czułem. Mary położyła swoją rękę na mojej.

- Spójrz na mapę. Sam - powiedziała poważnie. Obróciłem się. Czerwieni tyle samo, a może jeszcze więcej. Wydało mi się, że strefa zagrożenia rozszerzała się.

- Najpierw zróbmy z tym porządek - dodała Mary, a potem, jeśli wciąż będziesz tego chciał, pobierzemy się. W międzyczasie możesz korzystać z przywilejów nie obciążony małżeńskimi obowiązkami.

Czy może istnieć korzystniejsza sytuacja? Jedyнным problemem było to, iż ja właśnie chciałem ożenić się z nią. Dlaczego mężczyzna, który przez całe życie unika małżeństwa nagle stwierdza, i jest tego absolutnie pewien, że niczego innego nie pragnie? Spotkałem się z takimi sytuacjami tysiące razy i nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Teraz sam tak postępowałem.

Mary musiała wrócić do obowiązków, jak tylko skończyła się narada. Starzec tymczasem wyciągnął mnie na spacer. Doszliśmy do pamiątkowej Ławy Barucia. Starzec usiadł, zapalił fajkę i patrzył w dal. Dzień był duszny, ale park wydawał się wyludniony. Nie wszyscy przystosowali się jeszcze do chodzenia bez ubrań.

- Operacja rozpoczyna się o północy - oznajmił Starzec.

- Zaatakujemy nagle wszystkie stacje radiowe i telewizyjne, redakcje gazet i



urzędy prokuratury w czerwonej strefie.

- Brzmi nieźle - powiedział bez namysłu.

- Nie podoba mi się to. Coś mi w tym wszystkim nie gra.

- Co?

- No pomyśl. Prezydent przekazał na wszystkich kanałach, że ludzie muszą odsłaniać plecy. Potem okazało się, iż wiadomość nie dotarła do regionów opanowanych przez pasożyty. Co następnie się dzieje?

- Operacja „Powstrzymanie”, przypuszczam.

- To jeszcze się nie stało.

- Jakie jest moje zadanie?

- Skocz do Kansas City i dobrze się rozejrzyj - podał mi klucze do wozu. -

Trzymaj się z dala od stacji, glin, zresztą cholera, znasz ich metody lepiej niż ja.

Zobacz, co tam poza tym się dzieje i nie daj się złapać. - Popatrzył na swoje ręce. -

Bądź u mnie wpół do dwunastej albo wcześniej. Ruszaj.

- Dajesz mi niewiele czasu na sprawdzenie całego miasta - poskarżyłem się. -

Przecież do Kansas City dostanę się najmniej za trzy godziny.

- Więcej niż trzy godziny - odpowiedział. - Nie zwracaj uwagi na mandaty.

- Jestem ostrożnym kierowcą.

- Ruszaj.

Poszedłem więc. Chciałem jeszcze wejść do Białego Domu po sprzęt.

Straciłem dziesięć minut na przekonanie nowego strażnika, że spędziłem tam całą noc i pozostawiłem rzeczy, które muszę zabrać.

Wsiadłem do wozu. Wyjechałem na platformę Rock Creek Park. Ruch był niewielki.

- Przewóz i handlowy transport prawie zanikły - poinformował mnie strażnik drogowy. - Stan zagrożenia. Czy masz wojskową przepustkę?

Mogłem ją dostać dzwoniąc do Starca, ale zwracanie mu głowy o każdą bzdurę nie jest tym, co lubi najbardziej.

- Sprawdź numer - powiedziałem.

Wzruszył ramionami i włożył moją kartę identyfikacyjną do automatu. Chyba wszystko było w porządku. Uniósł brwi i oddał mi ją po chwili.

- No, no! - stwierdził. - Musisz być jednym z chłopców Prezydenta.

Nie pytał mnie o cel podróży, a ja nie zamierzałem mu nic wyjaśniać.

Kiedy mnie przepuścił, nastawiłem wóz na Kansas City. Przekaznik odzywał

się za każdym razem, gdy mijałem blok kontrolny, ale na ekranie nikt się nie pojawiał. Widocznie komputer Starca przesterowano.

Zastanawiałem się, co się stanie, jeżeli wkroczę na czerwone obszary. Czy siatka kontroli wpuści mnie na teren, o którym wiemy na pewno, że jest opanowany przez pasożyty.

Jeżeli przybysze Tytana chcą utrzymać kontrolę nad zajęтыми przez siebie terenami, całkowite opanowanie kanałów komunikacyjnych powinno być ich pierwszym krokiem. Mogłem jednak przypuszczać, że pasożyty nie są wystarczająco liczne, by opanować całą komunikację, ale co wobec tego zrobią?

Doszedłem do niezbyt odkrywczego wniosku, że coś zrobią i że ja, obiektywnie rzecz biorąc, będąc częścią potencjalnej komunikacji, muszę przygotować się na atak, jeśli chcę zachować swoją skórę.

Tymczasem dotarłem do Missisipi, a więc czerwona strefa jest coraz bliżej. W każdej chwili sygnał rozpoznawczy mógł trafić na stację kontrolowaną przez władców. Próbowałem myśleć jak pasożyty, ale to było niemożliwe, chociaż byłem kiedyś niewolnikiem jednego z nich. Ta myśl znowu mną wstrząsnęła.

Nieśmiało przypuszczałem, że w powietrzu jestem bezpieczny.

Starłem się, by mnie nie wykryli. To przesądzało o moim powodzeniu już bezpośrednio na lądzie.

Chciałem szybko wylądować w opanowanym terenie. Gdybym posuwał się pieszo, mógłbym uniknąć czujnych strażników bezpieczeństwa z ich elektronicznymi ekranami.

Kiedyś będąc w dobrym, jowialnym nastroju Starzec powiedział mi, że nie zamęcza swoich agentów dokładnymi instrukcjami. Daje człowiekowi misję i od niego już zależy czy zginie, czy przeżyje. Stwierdziłem wtedy, iż wielu z nich musiało zginąć dzięki takiej metodzie.

- Na pewno kilku - odpowiedział - ale nie więcej niż z innych powodów. Wierzę w osobowość i staram się wybierać do pracy ludzi, którzy są typami umiającymi przetrwać. Jak się przekonujesz o tym, że to właśnie taki typ?

- Agenci tego typu zawsze wracają. - Zachichotał szyderczo.

Musiałem podjąć decyzję. „Elihu - powiedziałem do siebie jesteś blisko odkrycia, jakim typem agenta jesteś i niech diabli wezmą tego człowieka o kamiennym sercu”.

Kurs jaki obrałem, prowadził nad St. Louis, które znajdowało się w czerwonej

strefie. Na wojskowej mapie sytuacyjnej Chicago było ciągle zielone, pamiętałem też bursztynowy zygzak gdzieś na zachód od Missouri. Bardzo chciałem przekroczyć Missisipi jeszcze w zielonej strefie. Pojazd przelatujący nad rzeką będzie widoczny dla radaru jak gwiazda nad pustynią.

Połączyłem się z blokiem kontrolnym, przekazując prośbę o pozwolenie na zejście do poziomu lokalnego ruchu. Zrobiłem to, nie czekając na odpowiedź, przechodząc na ręczne sterowanie i zmniejszając prędkość. Skierowałem się na północ.

Niedaleko objazdu do Springfield skręciłem znów na zachód. Kiedy osiągnąłem rzekę, przeleciałem bardzo blisko wody z wyłączonym systemem rozpoznawczym. Oczywiście nie można wyłączyć sygnału rozpoznawczego pojazdu w powietrzu, nie w standardowych systemach. Ale pojazdy Sekcji nie są standardowe.

Nie miałem zupełnie pojęcia, czy następna sekcja kontrolna jest już w strefie czerwonej czy zielonej, ale jeśli mnie pamięć nie myli, powinna być jeszcze w zielonej.

Byłem już bliski włączenia systemu kontrolnego, kiedy spostrzegłem, że otwiera się przede mną linia rzeczego nabrzeża. Mapa nie pokazywała dopływu.

Widocznie była to jakaś mała zatoka, albo nowy kanał naturalnie wyżłobiony przez strumień wody, a jeszcze nie zaznaczony na mapach. Opuściłem się nisko nad poziom wody. Strumień był wąski, pełen zakrętów, porośnięty po obu stronach przez drzewa. W ten sposób udało mi się zmylić radar, zniknąłem im z pola widzenia. Po kilku minutach zgubiłem się, nie tylko technikom od monitorów, ale także sam zupełnie nie wiedziałem gdzie jestem. Kanał zmienił kierunek, a zaraz za zakrętem skończył się. Nieźle musiałem się napocić, żeby uniknąć kraksy. Straciłem zupełnie orientację. Przeklinałem i marzyłem o tym, by ten pojazd był poduszkowcem, mógłbym wtedy wylądować na wodzie.

Nagle z lewej strony skończyły się drzewa. Zobaczyłem otwartą przestrzeń. Skręciłem tam i wylądowałem z takim hamowaniem, że pas bezpieczeństwa mało nie przeciął mnie na pół. Ale wreszcie byłem na ziemi i nie musiałem dłużej ryzykować kąpieli w tym błotnistym strumieniu.

Zastanawiałem się, co zrobić. Dookoła nie było nikogo. Domyślałem się, że jestem na obrzeżach czyjejś farmy. Zatem powinienem odnaleźć autostradę i dostać się nią do punktu docelowego.

W trzy godziny można się dostać do Kansas City drogą powietrzną. Byłem prawie u celu. I co z tego! Musiałem wrócić w powietrze, to jedyny sposób, by zdażyć na czas.

Ale nadal nie wiedziałem, czy ruch jest kontrolowany przez wolnych ludzi, czy przez pasożyty. Przyszło mi na myśl, że nie włączyłem stereowizji odkąd wyruszyłem z Waszyngtonu. Nie mogłem jednak znaleźć wiadomości. Trafiłem na wykład niejakiej Myrtle Doolighty - doktora filozofii, na temat: „Dlaczego znudziłaś się swojemu mężowi?”, sponsorowany przez Kampanię Hormonalną. Stwierdziłem, że pani Doolighty ma ogromną ilość doświadczeń w tej dziedzinie. Potem złapałem trio dziewczęce śpiewające urocze piosenki, zaś chwilę później film pt.: „Lukrecja uczy się życia”.

Droga doktor Myrtle była całkiem ubrana i myślę, że pod ubraniem miała spokojnie z pół tuzina pasożytów. Trio skapo odziane, jak przystało na trzy śpiewające panienki, ale nie obracało się tyłem do kamery. Lukrecja pojawiała się za każdym razem bez kolejnej części garderoby, zdejmowała je zresztą dość chętnie, ale zawsze gdy miały być pokazane jej plecy, następowało zaciemnienie albo cięcie.

To nic nie znaczyło. Te programy mogły zostać nagrane nawet miesiąc przed tym, jak Prezydent ogłosił akcję odsłaniania pleców. Zmieniałem ciągle kanały, szukając wiadomości lub choćby jakiegoś programu na żywo.

Nagle trafiłem na obłudnie uśmiechniętego spikera. Był całkiem ubrany.

- ... i jacyś szczęściarze siedzą już przed swoim ekranem. - Rozbawiał widzów. - Właśnie w tej chwili zapraszamy do losowania Centralnego Atomowego Automatycznego Domowego Lokaja. Kto to będzie? Ty? A może ty? A może ty szczęściarzu? - Odwrócił się tyłem. Miał na sobie koszulę i garnitur, ale wyraźnie widać było zaokrąglenie, prawie garb.

Byłem w czerwonej strefie.

Kiedy wyłączyłem telewizor, uświadomiłem sobie, że jestem obserwowany przez małego, może dziesięcioletniego chłopca.

Nie miał na sobie nic oprócz szortów, ale opalenizna na jego ramionach wskazywała, że jest to strój codzienny.

- Hej, chłopcze, gdzie jest autostrada?

- Drogą do Macon, a potem tam. Proszę pana, to cadillac?

- Jasne. Ale tam, to znaczy gdzie?

- Da mi się pan przejechać?

- Nie mam czasu. Gdzie jest ta droga?

- Niech mnie pan weźmie ze sobą.

Zgodziłem się. Natychmiast wskoczył do środka i rozglądał się z zaciekawionym.

Otworzyłem torbę, wyjąłem koszulę, spodnie, marynarkę i włożyłem je.

- Może nie powinienem zakładać koszuli. Czy ludzie tutaj noszą koszule?

- Ja mam koszulę! - krzyknął oburzony.

- Nie mówię, że nie masz. Pytam, czy ludzie tutaj noszą je teraz.

- Oczywiście, że tak. Myśli pan, że jest w Arkansas? Zostawiłem ten temat i zapytałem jeszcze raz o drogę.

- Czy będę mógł nacisnąć guzik, kiedy będziemy mieli się wznieść?

Wytłumaczyłem mu, że mam zamiar pozostać na ziemi. Był niezadowolony, ale łaskawie przyjął to do wiadomości. Prowadziłem ostrożnie. Nie było tutaj asfaltowanych dróg. W końcu kazał mi skrócić. Jakiś czas potem zatrzymałem wóz.

- Masz zamiar pokazać mi tę szosę, czy mam przetrzepać ci skórę?

Chłopiec otworzył drzwi i wymknął się z wozu.

- Hej! - krzyknąłem.

- Dalej tą drogą! - rzucił na pożegnanie.

Zorientowałem się po chwili, że dałem się wykiwać i jak głupiec okrążyłem trzy razy ogromny plac.

Ruszyłem na zachód. W końcu i tak straciłem już godzinę. Miasto Macon wyglądało normalnie - zbyt normalnie tym bardziej, że o akcji „odsłaniania pleców” nawet tu nie słyszano. Zauważyłem kilku ludzi z nagimi plecami, ale dzień był gorący. Myślałem poważnie o pozostaniu w tym mieście. Wiedziałem, że Kansas City jest opanowane przez pasożyty. Świadomość tego powodowała, że stawałem się nerwowy. Chciałem uciekać.

Ale Starzec powiedział wyraźnie: „Kansas City”. Dałby mi przecież jakąś alternatywę, gdyby brał ją pod uwagę. Zdecydowałem się wyruszyć do Kansas. Objechałem miasto i dotarłem do lądowiska. Ustawiłem się w kolejce ruchu lokalnego.

Ucieszyłem się, że wszystko jest zautomatyzowane, żadnego personelu, nawet przy pobieraniu paliwa. Pewnie uda mi się dotrzeć do Kansas City, nie wzbudzając podejrzeń. Po drodze trafiłem tylko na jedną większą stację kontrolną, która mogłaby ewentualnie zainteresować się dokąd się wybieram, ale to już nie miało znaczenia.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kansas City to stare miasto. Tylko jego wschodnie dzielnice zostały zburzone podczas bombardowania. Od południowego wschodu można wjechać aż do śródmieścia wzdłuż Swope Park, bez konieczności płacenia za tranzyt, czy zostawiania samochodu na przedmieściu.

Lecąc można też wylądować przy północnej stronie Missourii dostać się do miasta tunelami, albo wylądować w centrum na północnej platformie Memorial Hill.

Nie zdecydowałem się na żadną z tych możliwości. Chciałem mieć pojazd przy sobie. Woląłem, żeby nie był sprawdzany.

Gdyby go przeszukano, nie wyostałbym się stąd. Nie znoszę też tuneli ani platform startowych. Można tam doskonale wpaść w pułapkę. Szczerze mówiąc, w ogóle nie miałem ochoty wjeżdżać do Kansas.

Jechałem w kierunku Meyer Boulevard. Płacący podatek za wjazd do śródmieścia utworzyli długą kolejkę. Żałowałem, że nie zdecydowałem się zaparkować wozu i dostać się do miasta komunikacją publiczną. Ale w końcu strażnik stojący przy bramie wziął mój czek i nawet na mnie nie spojrzał. Przyjrzałem mu się, ale nie umiałem stwierdzić, czy miał pasożyta.

Ruszyłem z ulgą, ale po chwili musiałem znów się zatrzymać. Przedemną zamknęła się barierka, a gliniarz wsadził głowę przez otwarte okno mojego samochodu.

- Kontrola. Wysiadać.

Powiedziałem mu, że pojazd był już sprawdzany.

- Bez dyskusji. - Rozzłościł się. - Sprawdzamy wszystkich dla bezpieczeństwa. Musimy przejrzeć pański wóz. Odbierze go pan za barierką. A teraz proszę wysiąść i pójść tam. - Wskazał drzwi w wysokim budynku.

- Po co?

- Kontrola wzroku i refleksu - wyjaśnił. - Proszę się pośpieszyć. Tamuje pan ruch.

Przed oczami stanęła mi mapa i jaśniejące, czerwone Kansas City. Było pewne, że miasto jest kontrolowane przez te potwory. Ten niezbyt kulturalny policjant też. Nie musiałem patrzeć na jego plecy.

W tej sytuacji nie mogłem zrobić nic, jak tylko przystosować się. W normalnych warunkach spróbowałbym mu dać łapówkę, ale pasożyty z Tytana nie

uznają pieniędzy. A może jednak?

Wysiadłem, gderając pod nosem i powoli ruszyłem w kierunku budynku. Na drzwiach widniał napis: „Wejście”. Trochę dalej dostrzegłem drugie drzwi - „Wyjście”. Zauważyłem mężczyznę wychodzącego stamtąd. Wiele bym dał, za informacje, co dzieje się w środku.

Otworzyłem drzwi i rozejrzałem się na boki - wszedłem. Chyba było bezpiecznie. W środku ciągnął się korytarz.

- Proszę wejść - krzyknął ktoś z głębi. Posuwałem się ostrożnie, prawie skradając się.

Dostrzegłem dwu mężczyzn, obydwoj w białych kitlach. Jeden miał na szyi stetoskop.

- To zajmie tylko chwilę. Proszę tutaj - powiedział energicznie.

Wprowadził mnie do pomieszczenia. Usłyszałem przekręcanie klucza w zamku.

Mieli tutaj łagodniejszy sposób niż my w Klubie Konstytucyjnym. Gdybym dysponował czasem, chętnie wymieniłbym się z nimi doświadczeniami. Na stole rozstawione były komórki władców, przygotowane i otwarte. Ten drugi facet miał już jednego przygotowanego dla mnie. Trzymał pojemnik wysoko, tak że nie mogłem dostrzec pasożyta wewnątrz. Zresztą musiałem patrzeć przez specjalne okulary na plansze testujące mój wzrok. „Doktor” mógł mnie tu przytrzymać, właściwie oślepionego, czytającego znaki sprawdzające, kiedy jego asystent połączyłby mnie z władcą. Żadnej przemocy i żadnych protestów.

- No, proszę tutaj - powtórzył „doktor”. - Proszę patrzeć w tamtym kierunku.

Podszedłem szybko do krzesła przy sprężenie sprawdzającym wzrok i już miałem usiąść. Nagle odwróciłem się.

Asystent właśnie się zbliżał. W rękach trzymał gotowy pojemnik.

- Doktorze - powiedziałem - noszę szkła kontaktowe, czy mogę je zdjąć?

- Nie, nie trzeba - odpowiedział. - Nie traćmy czasu.

- Ale doktorze - zaprotestowałem - chciałbym, żeby pan je obejrzał. Mam jakieś kłopoty z lewym okiem. Zobacz pan?

- To nie klinika. - Wyglądał na zdenerwowanego. A teraz jeśli pan pozwoli... - Miałem ich obydwo w zasięgu ręki. Nagle chwyciłem mężczyznę w stalowy uścisk.

Uderzyłem w miejsca między łopatkami. Wyczułem oczywiście coś miękkiego pod kitlami. Znów zrobiło mi się niedobrze.

Widziałem kiedyś przejechanego kota na drodze. Nieszczęsny zwierzak leżał na plecach, nienaturalnie wygięty poruszał konwulsyjnie kończynami. Tych dwóch biedaków wyglądało podobnie. Ich mięśnie drgały konwulsyjnie, jakby każdy nerw w ciele porażony został śmiertelnie.

Stało się tak widocznie dlatego, że uderzeniem zniszczyłem ich władców.

Nie byłem w stanie ich utrzymać. Wyrwali mi się z rąki i upadli na podłogę. Po chwili drgawki ustały i leżeli bez ruchu, nieprzytomni. Sądziłem, że nie żyli.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Chwileczkę - krzyknąłem - doktor jest zajęty.

Upewniłem się, że drzwi są zamknięte. Odwróciłem „doktora” i zdjąłem z niego płaszcz, żeby zobaczyć co stało się z pasożytem. Ciało pasożyta wyglądało jak popękana śluzowa papka, zaczynało już cuchnąć. Byłem z tego zadowolony, gdyby pasożyty nie zdechły, zdecydowałbym się je spalić. Wówczas żywicielowi groziłaby śmierć. Zresztą zostawiłem tych ludzi, bez względu na to, czy żyli, czy nie. Jeśli żyli, pewnie znów zostaną zarażeni. Nie mogłem im pomóc.

Reszta pasożytów czekała spokojnie w swoich pojemnikach. Spaliłem je szybko. Pod ścianą stały dwie skrzynie tych potworów. Skąd oni biorą ich aż tyle? Palłem je, aż drewno pudeł się zwęgliło. Ktoś znowu zapukał. Rozejrzałem się wkoło pośpiesznie, żeby znaleźć miejsce, gdzie mógłbym schować ciała mężczyzn.

Nie znalazłem, więc zdecydowałem się wykonać klasyczny wojskowy manewr - odwrót. Ale kiedy stałem już przy drzwiach, poczułem, że o czymś zapomniałem. Zawahałem się i rozejrzałem po pokoju.

Pokój był w porządku. Wyglądało na to, że mój niepokój nie miał podstaw. Mogłem jeszcze wykorzystać ubrania „doktora” albo jego pomocnika, ale nie chciałem ich dotykać. Wtedy dostrzegłem, że popiół pokrywa kontroler wzroku leżący na krześle. Rozpiąłem koszulę, otarłem kontroler z kurzu i włożyłem podkoszulę między łopatki. Mój zapięty kołnierzyk i zasunięty zamek kurtki utworzyły wybrzuszenie, o które chodziło.

- Obecny i przerażony w świetle nie przeze mnie stworzonym - zanuciłem znaną melodię.

Ale tak naprawdę, czułem się zadowolony z siebie. Drugi policjant sprawdzał mój pojazd. Spojrzał na mnie badawczo, kiedy wróciłem na miejsce kontroli.

- Jedź na policję w City Hall - rozkazał.

- Oddział policji City Hall - powtórzyłem posłusznie. Ruszyłem w tym



kierunku, potem skręciłem w Nicols Freeway. Zatrzymałem się tutaj, bo ruch był mały i nacisnąłem guzik do zmiany numerów rejestracyjnych, mając nadzieję, że nikt mnie nie obserwuje. Możliwe jednak, że będą wymagać ode mnie tych samych numerów przy wyjazdowych rogatek. Żałowałem, że nie mogę zmienić rysów twarzy czy koloru samochodu.

Droga szybkiego ruchu prowadziła do Magee Traffic Way, skręciłem jednak w mniejszą ulicę i dotarłem do zamieszkałej części miasta.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Miasto nie wyglądało najlepiej. Próbowałem ominąć punkty kontrolne i zobaczyć, co się tutaj naprawdę dzieje. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, ale przeczucie mówiło mi, że to zwykły podstęp - sposób na zmylenie przeciwnika. Próbowałem dostrzec coś, co by mi pomogło ustalić faktyczny stan rzeczy.

Kansas City to centrum sąsiedzkich układów utrwalonych przez związki rodzinne przez dziesiątki lat.

Czas, jakby je omijał. Dzieci bawiły się na trawnikach, a dorośli siedzieli w chłodzie wieczoru na werandach, tak jakich dziadowie i pradziadowie. Nie ruszyliby się nawet, gdyby dookoła trwało bombardowanie. Dziwaczne, stare, olbrzymie budynki miały jakiś swoisty czar starych przytulnych miejsc. Widząc to, można się zastanawiać dlaczego Kansas City ma tak okropną reputację. Te domy z ich spokojnymi mieszkańcami stanowiły enklawę nietykalności, bezpieczeństwa, stałości starych wartości i zasad.

Krażyłem po ulicach, próbując wczuć się w nastrój dzielnicy. Była akurat leniwa pora dnia, czas na pierwszego drinka, na podlewanie trawników i sąsiedzkie pogawędki.

Tak właśnie to wyglądało. Przed sobą zobaczyłem kobietę pracującą w ogródku. Była w stroju do opalania, odsłaniającym plecy. Wyraźnie nie miała nic wspólnego z pasożytami, tak jaki dwoje małych dzieci biegających obok niej. Więc wszystko było w porządku.

Panował upał - większy niż w Waszyngtonie. Rozglądałem się za „nagimi plecami”, za ludźmi biegającymi w skąpych letnich strojach i sandałach. Kansas City należało do miast religijnych i czuło się tu purytańskie wpływy. Ludzie nie rozbierali się z powodu upałów z tak radosną jednomyślnością, jak w Laguna czy Corel Beach. Całkiem ubrani mieszkańcy nie byli rzadkością nawet w najbardziej gorący dzień. Owszem, biegała po ulicach masa dzieciaków skąpo odzianych, ale na kilkanaście mil, które zrobiłem jeżdżąc po mieście, spotkałem pięć kobiet i dwóch mężczyzn z nagimi plecami. A widziałem w sumie może z pięćset osób. Tego dnia słońce grało bezlitośnie.

Wziąwszy pod uwagę, że kilku ubranych prawdopodobnie było zarażonych, reszta - jakieś dziewięćdziesiąt procent populacji to żywiciela.

Kansas nie było tylko kontrolowane, jak na przykład Brooklyn, było skomasowanym siedliskiem tych potworów. To miasto pasożytów. Poczulem paniczne pragnienie, żeby natychmiast stąd zwać. Przecież wiedzieli, że uciekłem z pułapki na rogatkach. Będą mnie szukać. Możliwe, że pozostałem jedynym wolnym człowiekiem. A oni są wszędzie dookoła.

Próbowałem opanować rozdrażnienie. Agent, który daje się w takiej sytuacji złamać, jest bezużyteczny dla Sekcji.

Policzyłem do dziesięciu i starałem się uspokoić, by przemyśleć sytuację. Przecież to niemożliwe, żeby pasożyty mogły opanować całe miasto liczące milion mieszkańców. Przypominałem sobie swoje doświadczenia sprzed dwóch tygodni. Ilu nowych żywicieli mogliśmy wtedy złapać? Oczywiście to była mało znacząca część inwazji, podczas której byliśmy uzależnieni od dostawcy nowych pasożytów. Tymczasem Kansas City musiało mieć własny latający talerz, który wylądował gdzieś niedaleko. To nadal wydawało się absurdem. Przecież do opanowania takiego miasta potrzeba nie jednego statku kosmicznego, ale tuzina, albo i więcej. Ale jeśli byłoby ich tak wiele, stacje kosmiczne musiałyby je spostrzec. Radary wykryłyby to.

Zastanawiałem się, w jaki sposób przenoszą się z miejsca na miejsce.

Może po prostu się pojawiają, zamiast spadać w dół jak rakiety. Może używają przestrzeni czasowej? Nie wiem, co to wszystko naprawdę oznacza i chyba nie ma nikogo, kto by wiedział. Nie domyślamy się nawet, do czego są zdolne pasożyty, jakie są ich możliwości techniczne i chyba bezsensem jest oceniać ich stopień rozwoju przez pryzmat naszej wiedzy.

Ale dane jakie zebrałem nasuwają wniosek, który zaprzecza logice. Dlatego muszę wszystko sprawdzić zanim przekażę te informacje. Jedno było pewne: jeżeli założymy, że pasożyty chcą opanować miasto, zachowują to w tajemnicy. Starają się, by Kansas wyglądało jak normalne skupisko wolnych ludzi. Może dlatego nie rzucałem się w oczy tak bardzo, jak sądziłem.

Nagle spostrzegłem, że mijam tereny należące do dzielnicy plażowej. Zawróciłem. Pomyślałem, że na terenie kąpieliska powinienem spotkać tłumy ludzi, a tu teren wyglądał na zupełnie opustoszały. Brama była zamknięta i wisiało na niej ogłoszenie: „Na czas sezonu zamknięte”. Basen kąpielowy zamknięty podczas najgorętszej części lata? O co chodzi? Może po prostu przestało się komuś opłacać? Z drugiej strony było sprzeczne z logiką ekonomii zamykanie takich miejsc w okresie największych zysków.

Ale przecież kąpielisko to jedyne miejsce, gdzie maskarada pasożytów nie udałaby się. Z punktu widzenia ludzi, zamknięty basen był mniej podejrzany niż basen opustoszały w tak upalną pogodę. Wiedziałem, że pasożyty próbują postępować zgodnie ze sposobem myślenia ludzi.

Przesłanki: pułapka na rogatekach, za mało letnich ubrań, zamknięty basen.

Teza: pasożytów jest niewiarygodnie więcej niż ktokolwiek z nas przypuszczał.

Wnioski: Akcja Powstrzymanie była oparta na błędnym rozpoznaniu liczebności wroga i jej powodzenie nie jest możliwe.

Kontrargument: wszystkie moje przypuszczenia są trudne do udowodnienia. Już słyszę powstrzymywany sarkazm ministra Martineza, widzę jak rwie mój raport na strzępy. Poza tym moje spostrzeżenia dotyczą tylko Kansas City, gdzie indziej mogą być bezużyteczne. „Dziękujemy panu bardzo za wysiłek, ale chyba potrzebuje pan odpoczynku, żeby uspokoić rozkołataną nerwy. A teraz panowie...”

Cholera! Muszę mieć jakiś mocny argument, na tyle mocny, żeby Starzec mógł przekonać Prezydenta i jego doradców. Powinienem zdobyć go natychmiast. Co naprawdę przekonującego mógłbym tu znaleźć? Przejść się śródmieściem wśród tłumu i powiedzieć Martinezowi, że jestem pewien, iż każdy człowiek którego mijalem był żywicielem? Jak mógłbym to udowodnić? A właściwie, dlaczego jestem tego tak pewien? Nie mam talentu Mary. Przybysze z Tytana organizują życie w zajętych przez siebie miejscach podobnie jak my i trudno będzie znaleźć dowody na ich istnienie.

Najsilniejszym dowodem była pułapka na rogatekach. Teraz już wiedziałem, w jaki sposób można opanować dosłownie całe miasto, kiedy ma się wystarczającą ilość pasożytów. Czulem, że spotka mnie podobna niespodzianka w drodze powrotnej, i że pewnie to samo dzieje się na platformach startowych, a także przy wszystkich innych wyjściach i wejściach do miasta. Każda osoba opuszczająca Kansas jest następnym agentem władców, a każdy wjeżdżający, nowym niewolnikiem.

Tego byłem absolutnie pewien, nie musiałem sprawdzać. Sam przecież zorganizowałem taką pułapkę w Klubie Konstytucyjnym.

Na rogu jednej z ulic zauważyłem automat gazetowy „Kansas City Star”. Zawróciłem i podszedłem tam. Wrzuciłem dziesięć centów i czekałem na gazetę. Wydawało mi się, że trwato bardzo długo. Czulem, że każdy przechodzeń przygląda mi się. Zawartość dziennika, jak zwykle emanowała tępo nudną mieszanką szacunku i

godności, żadnego podniecenia. Ani słowa o stanie zagrożenia, czy akcji odsłaniania pleców. Główna informacja z nowości nosiła tytuł: „Łączność telefoniczna zerwanana skutek huraganu”; podtytuł brzmiał: „Miasto prawie odizolowane”. Zamieszczono również kolorowe, trójwymiarowe zdjęcia Słońca zniekształcone przez jakąś wysypkę. Fotografie nieźle podrobiono, albo były przedrukiem.

Reszta gazety wyglądała normalnie. Wsadziłem ją pod pachę, żeby później dokładnie przejrzeć i zamierzałem wrócić dowozu... Właśnie w tym momencie samochód policyjny zatrzymał się. Gliniarz wysiadł.

Nie wiadomo skąd, nagle pojawił się tłum. Przed chwilą było jeszcze pusto. Teraz dookoła roilo się od przechodniów, a policjant szedł prosto do mnie.

- Czy mógłbym zobaczyć pana prawo jazdy? - zapytał łagodnie.

- Oczywiście - zgodziłem się - jest wmontowane w deskę rozdzielczą w samochodzie.

Ominąłem go zakładając, że pójdzie za mną. Spostrzegłem, że się zawahał zanim chwycił przynętę. Poprowadziłem go dookoła pojazdu, przechodząc w ten sposób obok wozu policyjnego. To pozwoliło mi stwierdzić, że jest sam. Jednak, co ważniejsze, otaczał nas tłum niewinnych przechodniów.

- Tam - wskazałem wewnątrz pojazdu. - Jest przymocowana na dole.

Znow się zawahał, a potem pochylił się nad wozem, wystarczająco długo, bym mógł zastosować nową technikę. Lewą ręką złapałem go za ramię, prawą uderzyłem z całej siły między łopatki.

Znowu przypomniał mi się rozjechany kot. Wydawało mi się, że jego ciało eksploduje. Szybko wskoczyłem do wozu i strzeliłem do niego, zanim upadł na chodnik.

Dobrze, że zrobiłem to szybko. Maskarada szybko się skończyła, zresztą tak jak wtedy, w biurze Barnes'a. Ruszyłem. Tłum podszedł bliżej. Jakaś młoda kobieta uczepiła się paznokciami zewnętrznej części wozu i dopiero po kilku chwilach upadła. Przyśpieszyłem. Wyrwałem się jakoś z zacieśniającego się wokół tłumu i byłem gotów wznieść się w powietrze, ale brakowało przestrzeni. Po przeciwnej stronie zobaczyłem trochę wolnego miejsca i skręciłem. To był błąd. Po obu stronach rosły drzewa, nie miałem szansy się wznieść. Za następnym zakrętem było jeszcze gorzej. Przeklinałem planistę, który uczynił z Kansas wielki park. Z konieczności zwolniłem. Poruszałem się teraz z dozwoloną w mieście prędkością, rozglądając się za kawałkiem wolnej przestrzeni, która pozwoliłaby mi wystartować. Wreszcie, gdy

pozbiarałem myśli, zdałem sobie sprawę, że nie ma żadnych śladów pogoni. Moja własna, zbyt intymna nawet, wiedza o pasożytach przyszła mi z pomocą. Oprócz „konferencji na wyższym szczeblu”, pasożyty żyją i myślą tak, jak ich żywicieli. Wiedzą tylko to, co oni. Przyjmują tylko te informacje, które są dostępne dla żywicieli.

Dlatego też niemożliwe było, żeby jakikolwiek pasożyt stojący za rogiem, rozpoznał mój wóz. Ten, który mógłby to zrobić żył na policjancie. A jego przecież załatwiłem. Odetchnąłem.

Teraz oczywiście inne pasożyty mogą mnie poszukiwać. Ale posiadają tylko cielesne możliwości swoich żywicieli. Zdecydowałem, że muszę traktować je z mniejszym respektem. Powinienem zmienić miejsce pobytu i zapomnieć o nich.

Zdecydowałem, że muszę znaleźć kogoś, kto będzie mógł opowiedzieć, co się dzieje w tym mieście. Postanowiłem uwolnić jednego z żywicieli.

Zdecydowałem się złapać człowieka z pasożytem na plecach i porwać go do Waszyngtonu. Nie było czasu na wybór ofiary. Musiałem działać natychmiast. W pewnej chwili zobaczyłem mężczyznę idącego obok. W ręce miał aktówkę i stapał zwawo, jak człowiek widzący z daleka dom i marzący o kolacji. Podjechałem do niego.

- Hej!

- Co?

- Jadę z City Hall. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wskakuj do Środka. Będzie konferencja.

- City Hall? O czym ty mówisz?

- Zmiana w planach. Nie traćmy czasu. Wsiadaj! Odwrócił się i zaczął uciekać. Wskoczyłem z wozu i rzuciłem się na niego.

Zrobiłem błąd - okazało się, że zaatakowałem zdrowego człowieka. Facet zaczął wrzeszczeć. Chyba mu coś złamałem.

Wskoczyłem z powrotem do wozu i szybko odjechałem. Kiedy byłem daleko, zwolniłem i zamyśliłem się. Czyżbym jednak się pomylił? Czyżby moje nerwy były aż tak słabe.

Nie! To niemożliwe, przecież widziałem rzeczy takimi, jakie są. Rogatki, letnie ubrania, basen kąpielowy, policjant przy automacie gazetowym - to wszystko działa się naprawdę. Ten facet przed chwilą... Po prostu trafiłem na jednego z nielicznych, jeszcze nie opanowanych przez pasożyta.

Przyśpieszyłem, szukając następnej ofiary.

Dostrzegłem mężczyznę w średnim wieku podlewającego trawnika, wyglądał poważnie, trochę jakby nie z tej epoki - było szaleństwem wybrać akurat jego. Ale nie miałem czasu. A poza tym miał na sobie gruby sweter wybruszony na plecach obiecująco.

Kiedy się zatrzymałem, facet popatrzył pytająco.

- Jestem z City Hall - odezwałem się. - Musimy zorganizować konferencję, wsiadaj!

- Wejdźmy do domu - powiedział cicho. - W samochodzie to zbyt niebezpieczne.

Chciałem odmówić, ale on już się odwrócił i ruszył w kierunku domu.

- Ostrożnie, ta kobieta nie jest jedną z nas - szepnął.

- Twoja żona?

- Tak.

Staliśmy na werandzie.

- Kochanie, to jest pan O'Kneefe. Mamy pewien problem do przedyskutowania.

- Oczywiście, mój drogi. Dzień dobry panie O'Kneefe. Gorąco dzisiaj, prawda? - Uśmiechnęła się.

Przytaknąłem, a ona powróciła do swojej robótki. Weszliśmy do środka, poprowadził mnie do gabinetu. Jako, że obaj uczestniczyliśmy w tym posępnym przedstawieniu, siedłem pierwszy, jak przystoi gościowi. Nie podobało mi się, że jestem odwrócony do niego plecami. Obawiałem się, że mogę zostać zaatakowany.

Złapał mnie nagle za szyję. Jednak wyrwałem się i upadłem na plecy.

Na treningach w szkole ćwiczyliśmy, pozorując podobne sytuacje, przygniatając się workami piasku. Przypomniałem też sobie słowa instruktora, który mówił ze śmiesznym belgijskim akcentem: „Śmiały człowiek wstaje znowu i ginie. Bądźcie tchórzami i spróbujcie walczyć na ziemi, a zwyciężycie”.

Więc leżałem na plecach, kopiąc go nogami, aż trafiłem. Przechylił się i stracił równowagę. Na szczęście nie miał broni. W pokoju był jednak rozpalony kominek, prawdziwy, z pogrzebaczem, szuflą i szczypcami. Próbował się do niego przysunąć.

W zasięgu mojej ręki stała porcelanowa waza. Chwyciłem ją i rzuciłem. Trafiłem go w głowę, gdy właśnie sięgał po pogrzebacz. Podniosłem się i podbiegłem do niego.

Władca zdychał mi w rękach, a mężczyzna drgał pod jego ostatnią okrutną komendą. Wtedy usłyszałem mrozący krew w żyłach wrzask. Jego żona stała w drzwiach. Zerwałem się i uderzyłem ją dokładnie w podwójny podbródek. Upadła, krzyk ucichł. Wróciłem do jej męża.

Z trudem uniosłem bezwładne ciało. Więcej czasu zajęło mi podniesienie go i wrzucenie na ramiona niż walka z nim. Był strasznie ciężki. Całe szczęście, że jestem dość silny. Wolno posuwałem się w kierunku pojazdu. Wątpię, by odgłosy walki mogły zaalarmować kogokolwiek oprócz jego żony, ale za to jej krzyk słychać było prawdopodobnie na drugim końcu miasta. I rzeczywiście, ludzie stali w drzwiach i oknach domów po obustronach ulicy. Byli dość daleko, ale z radością dostrzegłem, że drzwi mojego wozu są otwarte. Przyśpieszyłem.

Za chwilę jednak mina mi zrzędła. Chłopiec wyglądający na bliźniaka tego, który wskazywał mi drogę, siedział w pojeździe i grzebał przy stacyjce. Klnąc położyłem więźnia i chwyciłem dzieciaka. Wypchnąłem go z wozu prosto w ramiona pierwszego z tych, którzy rzucili się za mną w pogoń.

To mnie uratowało.

Kiedy tamten oszołomiony podnosił chłopca, dosłownie wrzuciłem mojego jeńca do wozu, sam wskoczyłem do środka i ruszyłem, nie tracąc czasu.

Minąłem pierwszą przecznicę, potem skręciłem w lewo. Znalazłem się na szerokim bulwarze. Przerzuciłem bieg i przygotowałem się do startu. Po chwili włączyły się potężne silniki. Zanim osiągnąłem odpowiednią wysokość, skręciłem na wschód i dalej wznosiłem się, wciąż zmieniając kierunek. Na ręcznym sterowaniu przeleciałem nad Missouri i starałem się wycisnąć z tej maszyny wszystko, żeby zdążyć do Waszyngtonu. To lekkomyślne i nielegalne działanie prawdopodobnie mnie uratowało. Gdzieś nad Kolumbią pojazdem zaczęło trząść. Ktoś próbował mnie zatrzymać, jakiś diabeł gonił mnie i posłał jakiś cholerny pocisk.

Więcej strzałów nie było, na szczęście, bo następnym razem trafiłyby z pewnością. Moja prawa burta nagrzewała się niebezpiecznie. Albo rakietą przeleciała zbyt bliska, albo po prostu coś się psuło. Pozwoliłem się jej nagrzewać modląc się, żeby pracowała jeszcze przynajmniej przez dziesięć minut. Kiedy byłem nad Missisipi, wskazówka niepokojąco zbliżała się do punktu „niebezpieczeństwo”. Zwolniłem. Trzysta na godzinę to było maksimum, jakie ten pojazd potrafił jeszcze znieść. Ale mogłem sobie na to pozwolić, bo nareszcie przekroczyłem granicę czerwonej strefy i wróciłem pośród wolnych ludzi.



Dotychczas nie miałem czasu nawet rzucić okiem na mojego pasażera. Leżał ciągle tam, gdzie go pozostawiłem, nieprzytomny lub martwy. Teraz, kiedy wróciłem do bezpiecznej strefy i nie miałem technicznej możliwości przekroczenia legalnej prędkości, mogłem włączyć pilota automatycznego. Uruchomiłem przekaźnik, zgłosiłem prośbę wydzielenia pasa lotu i nie czekając na pozwolenie, przełączyłem się na automat.

Technicy z kontroli pewnie mnie wyklęli i jeszcze wpisali mój sygnał na listę wykroczeń, ale musieli przecież mnie jakoś wcisnąć w system. Obróciłem siedzenie i przyjrzałem się temu facetowi.

Oddychał, ale wciąż był nieprzytomny. Miał ranę na twarzy - pewnie od uderzenia wazą. Ale chyba niczego mu nie zламаłem. Poklepałem go po twarzy. Nie zdołałem jednak go ocucić.

Martwy pasożyt zaczynał śmierdzieć, ale nie było sposobu, żeby bestię usunąć. Zostawiłem ich i wróciłem na swoje miejsce.

Zegar wskazywał, że w Waszyngtonie jest dwudziesta pierwsza trzydzieści, a ciągle miałem jeszcze ponad sześćset mil do przebycia. Przy najlepszych układach, biorąc pod uwagę lądowanie, dostanie się do Białego Domu i znalezienie Starca, będę tam kilka minut po północy. Nie uda mi się w ten sposób wywiązać z zadania i jestem pewien, że Starzec da mi niezłą szkołę.

Przyjrzałem się prawej części pojazdu. Napęd na tę stronę został całkowicie zniszczony i pewnie będzie potrzebował gruntownego remontu. Bałem się, że poruszając się szybciej stworzę niebezpieczeństwo wybuchu jeżeli stracę równowagę. Spróbowałem połączyć się ze Starcem przez radio.

Nadajnik nie działał. Musiał się zepsuć w jednym z bardziej forsownych wydarzeń tego dnia. Nie mogłem pojąć, dlaczego tak się stało - obwody, tranzystory i cała reszta jest zalana plastykiem, także nadajnik jest odporny na wstrząsy i wybuchy. Schowałem go do kieszeni i pomyślałem, że dziś zdarzył się jeden z tych dni, kiedy nie powinienem wychodzić z łóżka.

Włączyłem przekaźnik i nacisnąłem guzik ogłaszający stan zagrożenia.

- Kontrola! - zawołałem. - Kontrola! Jestem w niebezpieczeństwie!

Ekran rozświecił się i zobaczyłem młodego człowieka. Odetchnąłem z ulgą, do połowy był rozebrany.

- Tu blok kontrolny. Co pan robisz, do cholery, w powietrzu? Próbuje się połączyć odkąd wkroczył pan na moje terytorium.

- Spokojnie. Musicie mnie połączyć z najbliższym dowództwem wojskowym. To cholernie ważne.

Nie wyglądał na zdziwionego, ale obraz zniknął. Natychmiast pojawił się następny. To było Wojskowe Centrum Informacyjne. Serce mi rosło. Wszyscy byli nadzy do połowy. Na pierwszym planie zobaczyłem twarz młodego oficera. Chciałem go ucałować.

- Stan zagrożenia. Proszę mnie natychmiast połączyć z Pentagonem i Białym Domem.

- Kim pan jest?

- Nie ma czasu. Jestem cywilnym agentem, ale mój numer identyfikacyjny i tak panu nic nie powie. Proszę się pośpieszyć. Na ekranie pojawił się starszy komandor lotnictwa.

- Proszę natychmiast lądować! - rozkazał.

- Niech mnie pan posłucha. To jest sprawa najwyższej wagi. Dotyczy poważnego zagrożenia. Muszę się połączyć... .

- Właśnie w związku z poważnym zagrożeniem - przerwał mi. - Wszystkie cywilne pojazdy wylądowały trzy godziny temu. Ląduj!

- Ale ja muszę... .

- Ląduj, albo cię zestrzelimy. Wysłałem już jeden pocisk pół mili nad tobą. Spróbuj wykonać jakiś niepotrzebny manewr, a zlikwidujemy twój pojazd.

- Czy pan mnie wysłucha? Wyląduję, ale muszę natychmiast...

Wyłączył się, zostawiając mnie bez wyboru.

Pierwszy pocisk przeleciał trochę bliżej niż pół mili ode mnie. Wylądowałem.

Miałem wprawdzie małe kłopoty, ale wszystko skończyło się dobrze. Jednak na lotnisku oślepił mnie ostrym światłem i rzucili się na mnie, zanim zdążyłem sprawdzić, czy pojazd jest bardzo uszkodzony. W centrum miałem osobiście spotkać się z komandorem. Po chwili pojawił się oddział do badań psychicznych - podali mi odtrutkę na test we śnie, a komandor nadał moją wiadomość. Ale wtedy była tutaj już pierwsza trzynaście, i Akcja Powstrzymania Strumienia trwała dokładnie od godziny i trzynastu minut.

- Starzec wysłuchał mojego streszczenia, chrząknął i powiedział, żebym się zamknął i przyszedł do niego rano.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jeśli wówczas przeszlibyśmy się ze Starcem po Narodowym Parku Zoologicznym, może nie musiałbym jechać do Kansas City. Dziesięć pasożytów, które złapaliśmy na połączonej sesji Kongresu, plus dwa złapane następnego dnia zostały przekazane dyrektorowi zoo, aby je umieścił na nieszczęsnych szympansach i orangutanach.

Dyrektor zamknął małpy w zoologicznym szpitalu. Dwa szympansy Abelard i Heloiza siedziały razem w klatce. Zawsze zresztą przebywały razem i nie było powodu, aby je rozdzielać. Może właśnie to, co się stało reasumuje nasze psychologiczne trudności w zrozumieniu przybyszów z Tytana. Okazało się, że ludzie transplantujący pasożyty na małpy, myśleli w sposób bliższy zwierzętom niż pasożytom.

Obok klatki z szympansami umieszczono rodzinę gibbonów zarażonych gruźlicą. Gibbony nie zostały użyte jako żywiciele z powodu choroby. Małpy z obu pojemników nie miały możliwości komunikowania się. Klatki zostały oddzielone od siebie przezroczystą ścianką, uszczelnioną pasami, a każdy pojemnik miał własny system wentylacyjny. Widywałem gorsze szpitale. Pamiętam jeden na Ukrainie...

W każdym razie następnego ranka ścianka zniknęła i wszystkie małpy siedziały razem. Abelard i Heloiza znalazły sposób na zlikwidowanie przegrody. Wszyscy byli pewni, że zabezpieczenia są zbyt skomplikowane dla zwierząt, ale okazało się, że żerujące na nich pasożyty poradziły sobie z łatwością. Znalaziono w klatce siedem małp i siedem pasożytów.

Odkryto to dwie godziny po moim wyjeździe do Kansas City, ale Starzec nie został zawiadomiony. Gdyby został, wiedziałby, że Kansas jest przepełnione pasożytami i prawdopodobnie nieodbyłaby się Akcja Powstrzymanie.

Ta akcja okazała się chyba największym militarnym niewypałem w historii. Wszystko zostało dokładnie przygotowane. Punktualnie o godzinie dwunastej przeprowadzono naloty na około osiemdziesiąt sześć tysięcy punktów: wydawnictwa gazet, bloki kontroli, stacje nadawcze... . Wysłano tam najlepszą część oddziałów, a także techników do obsługi zajętych stacji.

Potem, w każdej lokalnej rozgłośni miało być nadane przemówienie Prezydenta. Akcja odsłaniania pleców powinna w ten sposób dotrzeć do każdego miejsca w kraju, wojna miała się zakończyć i zostałyby tylko smutny obowiązek

uprzątnięcia terenu walki.

Dwadzieścia pięć minut po północy zaczęły nadchodzić meldunki z opanowanych przez pasożyty punktów. Jakiś czas potem proszono o pomoc z innych miejsc. Ale rankiem okazało się, że wszystkie zadania zostały wypełnione, operacja przechodzi sprawnie, komandosi wylądowali i przekazywali raporty już z ziemi.

I to był ostatni raport. Nikt już ich potem nie słyszał. Czerwona strefa wchłonęła całe wysłane tam siły zbrojne, jakby ich nigdy nie było. Jedenaście tysięcy pojazdów wojskowych, pochód stu tysięcy ludzi wraz z technikami, siedemnaście grup komandosów. Dlaczego tak się stało? Wojska Stanów Zjednoczonych nie poniosły większej porażki od czasu Czarnej Niedzieli. Nie chodzi tu o wielkość strat, ale o to, że były tak wyselekcjonowane.

Nie krytykuję Martineza, Rextona, sztabu generalnego ani tych nieszczęśników, którzy to zorganizowali. Wszystko zostało należycie przygotowane i oparte na tym, co wydawało nam się prawdziwymi danymi.

Do tego sytuacja wymagała natychmiastowego działania najlepszymi środkami jakie posiadaliśmy. Gdyby Rexton posłał kogoś innego niż swoich najlepszych chłopców, zasłużyłby na sąd wojenny.

Nie wiedział o tych siedmiu małpach.

Zbliżał się świt, kiedy Martinez i Rexton zrozumieli, że informacje o realizowanych zadaniach i sukcesach są fałszywe, że to kłamstwa przesyłane przez ich własnych ludzi opanowanych przez pasożyty i odgrywających tę ponurą komedię. Po moim raporcie, o godzinę za późno, by powstrzymać całą akcję, Starzec próbował ich przekonać, żeby nie wysyłali więcej ludzi. Byli jednak tak zachwyceni sukcesem, i tak im zależało, żeby dokonać całkowitej czystki, że nie posłuchali.

Starzec poprosił Prezydenta, żeby ten koniecznie zażądał wizualnych przekazów z sytuacji, ale akcję kontrolowała kosmiczna stacja Alfa i nie było takiej możliwości.

- Wiedzą przeciwko czemu wyruszyli - powiedział Rexton. - Nie powinniśmy się martwić. Jak tylko chłopcy odzyskają stacje lokalne, przekażą nam wszystko. Będzie pan miał całe wizualne sprawozdanie.

Starzec zauważył, że wtedy może być za późno.

- Przeklęty człowieku - zdenerwował się Rexton. - Przecież nie mogę zatrzymać żołnierzy w czasie akcji, żeby przekazali nam obraz swoich nagich pleców. Chce pan, abym skazał na śmierć tysiące ludzi tylko po to, aby uspokoić pana obawy.

Prezydent go poparł.

Rano mieli swoje wizyjne sprawozdania. Stacje nadawały tę samą papkę co zwykle: „Blaski i cienie życia Mary Sunshine”, „Śniadanie z Brownami”. Na żadnym kanale nie było programu Prezydenta. Żadna stacja nie podała nawet wiadomości, że coś się stało. Gorączka związana z oczekiwaniem na wiadomości skończyła się około czwartej po południu, a próby Rextona połączenia się z terenem działań pozostawały bez odpowiedzi. Zbawienna akcja sił zbrojnych pod kryptonimem Akcja Powstrzymania, przestała istnieć.

Dowiedziałem się o tym wszystkim nie od Starca, ale od Mary, która osobiście współpracowała z Prezydentem.

Kiedy spotkałem się ze Starcem, pozwolił mi opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się w Kansas. Właściwie nie zareagował, nie wyciągnął wniosków, co było chyba jeszcze gorsze.

- A co z moim więźniem? Czy potwierdził moje przypuszczenia?

- Ach, on? Wciąż jest nieprzytomny, przynajmniej według ostatnich raportów.

Nie oczekuję, że będzie żył. Psychotechnicy nie mogą z niego nic wyciągnąć - odpowiedział Starzec.

- Chciałbym się z nim zobaczyć.

- To nie jest konieczne.

- W porządku. Masz jakieś zadanie dla mnie? - zapytałem.

- Teraz nie. Lepiej żebyś... Albo nie, zrób to. Idź do ZOO. Zobaczysz coś, co być może wiąże się z wydarzeniami w Kansas. Poszukaj doktora Horoce, jest zastępcą dyrektora. Powiedz mu, że cię przysłałem.

Horoce przedstawił mnie doktorowi Vargasowi, specjalście od biologii egzotycznej. Vargas brał udział w drugiej wyprawie na Wenus. Powiedział mi, co się stało. Patrzyłem na gibbony, przełamując swoje uprzedzenia.

- Widziałem program telewizyjny Prezydenta - rozpoczął zachęcająco. - Czy pan nie jest tym człowiekiem, który... no, mam na myśli... Czy to pan był tym, który...

- Tak, to ja byłem „tym, który...”

- To może pan nam wiele powiedzieć o tym przedziwnym zjawisku. Pańskie doświadczenia są unikalne.

- Może i mógłbym - odpowiedziałem powoli - ale wolałbym...

- Chce pan powiedzieć, że przypadki rozszczepienia przez reprodukcję nie miały miejsca, kiedy był pan... no, ich więźniem?

- Tak - odrzekłem - przynajmniej tak mi się wydaje.

- To pan nie wie? Dano mi do zrozumienia, że ofiary pamiętają swoje przeżycia.

- Jakby to powiedzieć. Pamiętają i nie pamiętają - próbowałem wytłumaczyć osobliwie obojętny stan żywiciela.

- Przypuszczam, że przypomina to trochę działanie we śnie.

- Może. A propos snu. Jest jedna rzecz, której nie sposób pamiętać. Mam na myśli konferencje.

- Konferencje? Ach, ma pan na myśli koniugację?

- Nie, mam na myśli konferencje.

- Mamy to samo na myśli. Nie rozumie pan? Koniugacja i podział. One mnożą się według własnej woli, jeżeli mają zapas artykułów żywnościowych, to znaczą żywicieli. Jeden kontakt prawdopodobnie wystarcza na jeden podział, kiedy są sprzyjające warunki powstają dwa osobniki w ciągu kilku godzin.

Zastanowiłem się. Jeśli to prawda, a patrząc na gibbony nie można mieć wątpliwości, dlaczego wtedy w klubie konstytucyjnym byliśmy zależni od dostawców ze statku. Chociaż właściwie mogę być pewien. Robiłem to, czego chciał władca i widziałem tylko to, co miałem przed oczyma. Ale dlaczego w takim razie nie wypełniliśmy miasta w takim samym stopniu jak Kansas, czy Brooklyn. Brak czasu?

Teraz było jasne skąd wzięła się taka ilość pasożytów w Kansas. Przy mnóstwie „żywego inwentarza” pod ręką, wystarczyło, że wylądował jeden statek z pasożytami, by szybko ich ilość rozszerzyła się na całą populację wielkiego miasta.

Nie jestem biologiem, ale zwykle obliczenia arytmetyczne nie sprawiają mi kłopotu. Załóżmy, że w tym statku było tysiąc pasożytów. I przypuśćmy, że mogą się rozmnażać raz na dwadzieścia cztery godziny.

Pierwszego dnia - tysiąc pasożytów. Drugiego, dwa tysiące. Trzeciego, cztery tysiące. Pod koniec tygodnia byłoby ich już sto dwadzieścia osiem tysięcy. Po dwóch tygodniach, więcej niż szesnaście milionów.

A przecież nie wiemy, czy mogą rozmnażać się tylko raz dziennie. Przecież gibbony udowodniły, że więcej razy.

Nie wiemy także, czy statek przywiózł ich tylko tysiąc. Zakładając, że było ich dziesięć tysięcy i rozmnażały się raz na dzień, po dwóch tygodniach narodziłoby się ich ponad dwa i pół tryliona.

Nie umiałem sobie tego wyobrazić. Ta liczba była po prostu kosmiczna.

Będziemy po kolana brodzić w pasożytach. Poczułem się jeszcze gorzej niż w Kansas City.

Doktor Vargas przedstawił mnie doktorowi McIlvame ze Smithsonian Institution. Dr. McIlvame to doświadczony psycholog. Jest autorem książki: „Mars, Wenus, Ziemia. Studium źródeł życia”. Chyba Vargas oczekiwał, że ta wiadomość mną wstrząśnie. Niestety słyszałem o niej po raz pierwszy. A swoją drogą, jak można badać życie Marsjan skoro wyginęli, zanim zdążyli zejść z drzew.

Kiedy przyglądałem się małpom, obydwaj doktorzy prowadzili fachową dyskusję, zupełnie nieczytelną dla takiego laika jak ja. W końcu jednak przypomnieli sobie o mnie.

- Panie Nivens - zwrócił się do mnie McIlvame. - Jak długo trwała taka konferencja?

- Koniugacja - poprawił go Vargas.

- Konferencja - powtórzył McIlvame z naciskiem. - Proszę się skoncentrować na ważniejszych aspektach problemu.

- Doktorze - uparł się Vargas - przecież mamy odpowiedniki tego zjawiska wśród ziemskich stworzeń. W prymitywnych systemach rozmnażania koniugacja jest rozumiana jako przekaz genów, mutacja następuje dopiero...

- Wciąż myśli pan antropocentrycznie doktorze. Przecież nie wie pan nawet, czy te organizmy posiadają geny. Vargas zarumienił się.

- Przypuszczam, że pokaże mi pan jakieś ekwiwalenty genów - powiedział sztywno. Był wyraźnie dotknięty.

- A dlaczego miałbym to zrobić? Powtarzam, sir, doszukuje się pan analogii tam, gdzie nie ma podstaw sądzić, że istnieją. Tak naprawdę jest tylko jedna cecha wspólna wszystkich form żywych i jest to pragnienie przetrwania.

- I rozmnażania - dorzucił Vargas.

- A nie można założyć, że ten organizm jest nieśmiertelny, i nie musi się rozmnażać?

- Pańskie założenie jest bezsensowne. - Vargas wzruszył ramionami. - Ja wiem, że one się rozmnażają. Oto dowód. Wskazał na małpy.

- Nadal sugeruję - wrócił do urwanego wątku McIlvame - że nie jest to reprodukcja. Mam wrażenie, że po prostu pojedynczy organizm poszerza przestrzeń, że tak powiem, swojej świadomości. Nie zamierzam pana atakować doktorze, ale uparte poszukiwanie u tego organizmu cyklu gameta-zygota, może spowodować, że

rozminie się pan z właściwymi wnioskami.

- Jednak - zaczął znowu Vargas - cały ten system...

- Niech pan w końcu zrozumie, że antropocentryzm to prowincjonalny sposób myślenia. Te stworzenia mogą być spoza Systemu Słonecznego - McIlvaine przerwał mu ostro.

- Ależ nie! - zaprzeczyłem gwałtownie. Znów na moment miałem przebłysk obrazu Tytana. Poczulem się gorzej. Nikt jednak nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

- Jeżeli koniecznie potrzebuje pan analogii, proszę się przyjrzeć amebie... - kontynuował McIlvaine.

Przestałem słuchać. Podejrzewam, że nikt nie zabrania takich wypowiedzi, ale w tym momencie chciałem, żeby były karalne. Więcej mnie już nie pytali o konferencje. Zresztą, co mógłbym im powiedzieć? Dla mnie te spotkania były beczasowe.

Chwilę później zdecydowali się przeprowadzić eksperyment, który poprawił moją o nich opinię. Vargas rozkazał, żeby do klatki z szympanсами i gibbonami wprowadzić pawiana z pasożytem. Do tego momentu małpy zachowywały się spokojnie. Były raczej ciche i tylko czasem drapały się nawzajem. Ale gdy tylko w klatce znalazł się nowy przybysz, zebrały się wokół niego i rozpoczęła się konferencja.

- Widzi pan? Czy pan to rozumie? Konferencja nie jest dla reprodukcji, ale dla wymiany pamięci i uzupełnienia informacji. Pasożyt czasowo bez żywiciela jest jakby pozbawiony świadomości - mówił z triumfem McIlvaine.

Przecież mógłbym im to powiedzieć bez tych wszystkich wywodów i sporów. Każdy władca, po znalezieniu żywiciela musi jak najszybciej odbyć konferencję.

- Hipotezy... - mruknął Vargas. - To tylko czyste hipotezy. Teraz nie mają potrzeby się rozmnażać. George! - zawołał faceta, który zajmował się małpami. Kazał mu przyprowadzić jedno ze zwierząt.

- Małego Abe? - zapytał.

- Nie, chcę taką, która nie ma pasożyta. Może Old Red. Człowiek, którego Vargas wezwał, popatrzył na gibbona i szybko odwrócił wzrok.

- Przecież on jest ułomny. Wolalbym, żeby...

- To nic nie szkodzi.

- Więc dlaczego nie Szatan? To jest przynajmniej podłe zwierzę.



- W porządku. Tylko się pośpiesz.

Przyprowadził czarnego szympansa, przypuszczalnie był to właśnie Szatan. Możliwe, że w innych sytuacjach bywał agresywny, ale nie tym razem. Kiedy prawie siłą wepchnęli go do klatki, rozejrzał się dookoła i natychmiast rzucił się na kraty z przeraźliwym wyciem. Przypominało to ostatnie chwile przed egzekucją. Nie mogłem znieść tego widoku. Staralem się wytrzymać. W końcu człowiek podobno może się przyzwyczaić do wszystkiego. Są nawet tacy, którzy robią na tym pieniądze. Ale histeria tej małpy była wręcz zaraźliwa. Marzyłem o ucieczce.

Początkowo reszta małp jakby go nie zauważała. Potem poprostu patrzyły na niego. Trwało to jakiś czas. Wycie Szatana stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu przeszło w płaczliwy szloch. Jęcząc ukrył głowę w dłoniach.

- Doktorze, niech pan patrzy! - krzyknął nagle Vargas.

- Gdzie?

- Lucy! Ta stara samica! - Wskazał.

To była matka całej rodziny gibbonów. Siedziała akurat tyłem do nas. Mogliśmy zobaczyć jak nagle pasożyt zaczął się wybrzuszać. Przez jego środek przebiegała opalizująca linia.

Pasożyt na ciele małpy zaczął się rozszczepiać. Po kilku minutach było już po wszystkim. Nowy stwór zsuwał się w dół. Po chwili czołgał się w kierunku Szatana. Zwierzę zauważyło potworną bestię i z jeszcze bardziej rozdzierającym krzykiem rzuciło się na drzewiczki.

Jednak reszta małp schwytała je. Razem dały mu radę i położyły twarzą do ziemi. Pasożyt podpełzł bliżej. Był jakieś dwie stopy od swojej ofiary, kiedy nagle nabrzmiał i wydobył się z niego błotnisty szlam. Ruszył dalej. Wszedł na nogi ofiary. Reszta małp puściła Szatana, ale on już się nie ruszał. Pasożyt przez chwilę pozostał na nogach. Wyglądało na to, że potrzebował żywiciela, żeby uformować się do końca. Zaczął pełznąć wyżej. Kiedy dotarł do szyi Szatana, poruszył się i usiadł. W kilka minut później przyłączył się do grupy zarażonych małp.

Vargas i McIlvaine znowu zaczęli dyskutować, jeszcze bardziej podnieceni. Miałem ochotę krzyczeć. Pragnąłem coś zrobić, dla siebie, dla Szatana...

Vargas nadal upierał się, że nic nie zostało dowiedzione. Natomiast McIlvaine twierdził, że widzieliśmy coś, co rzuca nowe światło na całą koncepcję - inteligentne stworzenie, które jest przez swoją wewnętrzną organizację właściwie nieśmiertelne, bo może pomnażać swoją tożsamość personalną, a może nawet grupową. To wniosek,

który może wprawić w zakłopotanie. W każdym razie McIlvaine teoretycznie dowodził, że to stworzenie może zachowywać pamięć doświadczeń nie tylko od momentu „narodzin”, ale od samego początku rasy. Dla niego pasożyty były istotami, które istnieją w czasoprzestrzeni jako części jednego organizmu. W końcu jego wywody stały się tak ezoteryczne, że zaczęły się wydawać nie tylko nieprawdopodobne, ale wręcz głupie.

Mało obchodziły mnie ich spory i naukowe rozważania. Bez wątpienia mogło to być zajmujące, ale ja interesowałem się tylko możliwościami zabijania tych potworów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że Prezydent pojechał na specjalną sesję Narodów Zjednoczonych, a Starzec nie zostałam zaproszony. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest w niełasce, ale nie spytałem o to.

Zdałem mu dokładne sprawozdanie z tego, co widziałem w zoo. Chyba nie był tam osobiście. Dodałem swoją opinię o Vargasie i McIlvainie.

- Dwaj skauci bawią się jakby zbierali znaczki. Chyba nie mają pojęcia, że to poważna sprawa. Starzec milczał przez chwilę.

- Nie oceniaj ich zbyt szybko, synu - powiedział. - Oni mogą wiele rzeczy wyjaśnić szybciej niż ty i ja.

- Bzdura! - Zdenerwowałem się. - Mogą szybciej pozwolić uciec tym cholernym potworom. Pamiętasz Gravesa?

- Oczywiście, że go pamiętam. Nie rozumiesz naukowców.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zrozumie.

- Na pewno nie. Jednak na takim systemie opiera się poznanie świata. Zresztą bez tego zginęlibyśmy. Chociaż rzeczywiście jednemu pozwolili uciec.

- Jak to?

- Nie powiedzieli ci o słoniu?

- Jakim słoniu? Do cholery, oni właściwie nic mi nie powiedzieli. Byli zainteresowani tylko sobą i tak naprawdę, to mnie ignorowali.

- Jasne, i to pewnie ciebie tak zdenerwowało. Jedna małpa z władcą uciekła - znaleziono jej zmasakrowane ciało w klatce słoni. Jednego olbrzyma brakowało.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że uciekł słoń opanowany przez pasożyta? Przecież to jak czołg z cybernetycznym mózgiem.

- To była słonica. Znaleźli ją niedaleko Marylandu. Bez pasożyta.

- Gdzie ten cholerny pasożyt mógł się podziać? - Nieświadomie rozejrzałem się wokół. Starzec zachichotał.

- Spokojnie! Tutaj go nie ma - odrzekł. - Ale z domu obok ukradziono rower. Powiedziałbym, że pasożyt jest teraz gdzieś po zachodniej stronie Missisipi.

- Czy ktoś zaginął?

Starzec uśmiechnął się znowu.

- Jak można to stwierdzić w wolnym kraju? W końcu jednak „tytan” nie może się ukryć nigdzie oprócz czerwonej strefy.

Tak, to prawda. Akcja odsłoniętych pleców wydawała się operacją obliczoną na sto procent. W tym momencie jednak pomyślałem o tym, co widziałem w zoo i czego nie potrafiłem wyjaśnić.

- Obowiązek chodzenia z odsłoniętymi plecami wywołał drastyczne protesty. Prezydent jest zasypywany stekiem pretensji ze względu na moralność, nie wyłączając Narodowego Związku Producentów Pasmanteryjnych.

- Co?

- Powinieneś być świadomy, że przecież próbujemy namówić ich córki do ubiorów rodem z Rio. Przybyła nawet delegacja szanownych matron nazywająca siebie Matkami Republiki czy jeszcze bardziej bzdurnie.

- Prezydent marnuje czas na takie nonsensy?

- McDomough go wyręcza. Ale mnie też w to wplątał, jasny gwint. - Starzec wyglądał na cierpiącego. - Będziemy im mówić, że muszą stanąć przed Prezydentem całkiem nacie. Może to je powstrzyma.

Wreszcie pojąłem, co mnie tak długo dręczyło.

- Wiesz szefie, możliwe że będziesz musiał.

- Będę musiał co?

- Kazać ludziom rozbierać się do naga.

- Do czego zmierzasz? - zagryzł wargi.

- Czy wiemy na pewno, że pasożyty muszą przytwierdzać się do ciała żywiciela tylko blisko mózgu?

- Przecież ty powinieneś wiedzieć to lepiej niż ja.

- Myślałem, że tak jest. Ale teraz nie jestem pewien. Tak było wtedy, kiedy byłem z nimi. - Przypomniałem sobie jeszcze raz dokładnie co widziałem, gdy Vargas oddał pasożytom biednego Szatana. - Ta małpa poruszała się, dopóki pasożyt nie dotarł do kręgosłupa. Wszystko zaczęło się już od kości ogonowej. Możliwe, że preferują miejsce najbliższe mózgu, tak to pewne. Ale, czy mogą żyć przy samym końcu kręgosłupa?

- Hm... pamiętasz synu, kiedy pierwszy raz publicznie poszukiwałem pasożytów, kazałem się wszystkim rozebrać prawie całkiem. To nie był przypadek. Chciałem być pewien.

- Myślę, że to oczywiste. Tylko pomyśl, może one mogą żyć na każdej części ciała ludzkiego, jeśli jest to konieczne. Naprzykład w szortach. No oczywiście trudno jest cokolwiek ukryć w szortach. - Pomyślałem o obcisłych ubraniach, które nosi

Mary. - Na przykład takie luźne gacie jak twoje. Jeden mógłby się tam schować i wyglądałbyś tylko na bardziej „rozwiniętego”,

- Chcesz, żebym je zdjął?

Sprawdziłem, czy rzeczywiście nie ma nic w szortach i upewniłem się, że jest czysty. Przyjął to ze spokojem, a potem sprawdził mnie.

- Ale przecież nie możemy w ten sposób sprawdzać kobiet. To niemożliwe.

- Jednak będziemy musieli - powiedziałem. - Albo rozkażesz wszystkim chodzić nago.

- Zrobimy eksperyment.

- Jaki? - zapytałem.

- Powiem doktorowi Horace, żeby założył małpie osłonę na tors, tak by pasożyt nie mógł się dostać do kręgosłupa, zostaną mu tylko nogi. Przekonamy się.

- No, tak. Ale nie używaj do tego małpy, szefie.

- Dlaczego?

- No, bo to nieludzkie.

- Cholera, chłopcze, nie można zrobić omleta...

- Nie tłucząc jajek. Wiem, ale nie musi mi się to podobać. No, w każdym razie przekonamy się. Widziałem, że jest zmartwiony.

- Mam nadzieję, że okaże się, iż się myliłeś. Namówienie ludzi, by zdjęli koszule było naprawdę wystarczająco trudne. Nie wyobrażam sobie, co będzie się działo, jeżeli każemy im zdjąć spodnie. - Był już całkiem przygnębiony.

- Może to nie będzie konieczne - odezwałem się po chwili.

- Mam nadzieję. Tak na marginesie, wracamy na stare śmieci.

- Czy w związku z tym, masz coś dla mnie?

- Jak powiedziałem, pewnie będziesz jeszcze miał wiele roboty. Na razie mógłbyś wziąć sobie krótki urlop. W końcu zawsze mogę cię wezwać, jeśli będziesz mi potrzebny.

- Czy Mary też idzie na urlop?

- Mary jest zajęta. Wciąż przy Prezydencie.

- Dlaczego? Przecież wykonała swoją pracę. Nie jesteś uzależniony od jej możliwości rozpoznawania pasożytów. Znam cię. A bez sensu byłoby wykorzystywać ją tylko jako strażnika. Jest zbyt dobrym agentem.

- Słuchaj, od kiedy to zrobiłeś się tak ważny, że mówisz mi jak mam wykorzystywać swoich agentów? Zastanów się i odpowiedz mi.

- Spokojnie, spokojnie - odrzekłem. - Chyba przesadziłem. Jeżeli Mary nie ma wolnego, nigdzie nie chcę wyjeżdżać i nie twoja sprawa dlaczego.

- Powiedziałem że chcę, żebyś wyjechał.

- Więc możesz być pewien do cholery, że nie zamierzam. Co to jest? Związek Młodzieży Chrześcijańskiej?

- Proponowałem ci urlop, bo wiem, że jesteś wykończony.

- Czyżby?

- Jesteś świetnym agentem, ale tylko wtedy, gdy jesteś w formie. Zrobiłeś i tak zbyt wiele. Zamknij się i posłuchaj mnie. Wyślę cię z dość prostym zadaniem. Rozejrzyj się po zajętych przez pasożyty mieście - zdasz mi z tego sprawę. A teraz popatrz na siebie. Będziesz przerażony, kiedy znajdziesz się na przedmieściach, a co dopiero w centrum. Nie jesteś ostrożny i mógłbyś zostać złapany przez pasożyta przynajmniej trzy razy. Kiedy oglądasz się za siebie, czerwienisz się ze strachu i pewnie nie potrafiłbyś wrócić tu na czas, gdybym cię wezwał. Twoje nerwy są zszargane, to samo z umiejętnością oceny sytuacji. Weź sobie krótki urlop.

Stałem przed nim i czułem, że mam czerwone uszy. Czułem, że ma cholerną rację. Nie było w porządku, że mówił mi to w taki sposób, ale to była prawda. Nawet ręce mi drżały, gdy zapalałem papierosa. Pomimo to dał mi zadanie. Pierwszy i jedyny raz mi uległ. Może czuł, że naprawdę potrzebuję jakiejś konkretnej misji. Ostatnie dni spędziłem odpowiadając na głupie pytania, co pasożyty jedzą na lunch i tłumacząc jak rozpoznać człowieka, który jest żywicielem. Pozornie byłem traktowany jako „ekspert” od pasożytów, a jednocześnie większość moich rozmówców zachowywała się tak, jakby wiedziała o nich więcej niż ja.

Dlaczego ludzie pielęgnują swoje przesady? Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Operacja Pasożyt sprawiała wrażenie, jakby stanęła w martwym punkcie. Przybysze z Tytana wciąż okupowali czerwoną strefę, ale nie mogli wydostać się z niej bez naszej wiedzy. My także nie próbowaliśmy się tam dostać, bo przecież każdy pasożyt miał człowieka jako zakładnika. Ta sytuacja mogła trwać jeszcze bardzo długo.

Narody Zjednoczone nie okazywały żadnej pomocy. Prezydent chciał prostego dowodu współdziałania - wprowadzenie akcji odsłoniętych pleców na globalną skalę. Oni zaś po długich naradach przystali komisję, żeby przeprowadziła dochodzenie. Tak naprawdę, to po prostu nam nie wierzyli. I działało to na korzyść naszych wrogów.

Niektóre narody już z samej swojej natury były uwolnione od tej plagi np.: Finowie, którzy co dzień kąpią się razem w strumieniach czy Japończycy zupełnie przyzwyczajeni do nagości. Tak samo kraje mórz południowych i ogromna część Afryki. We Francji entuzjastycznie zaaprobowano nudyzm i tam pasożyty nie miały możliwości ukrycia się.

Ale w krajach, gdzie nagie ciało stanowi tabu, pasożyty mogą pozostawać nie rozpoznane dopóki ich żywiciela nie zaczną śmierdzieć. Tak jest w USA, Kanadzie no i przede wszystkim w Anglii.

Przysłano trzy pasożyty (na małpach) do Londynu. Przypuszczam, że król chciał je zobaczyć. Ale premier Anglii popierany przez arcybiskupa Canterbury nie pozwolił mu na żadne działanie. Sam arcybiskup nie pokwapił się nawet obejrzeć stworów. Moralna stabilność była ważniejsza niż doczesne niebezpieczeństwo. Żadna wzmianka o pasożytach nie przedostała się tam nawet do publicznej wiadomości.

System propagandowy komunistów zaczął nas atakować, jak tylko wypracował sobie nową linię działania. Według nich, wszystko było „amerykańską imperialistyczną fantazją” obliczoną na „wyzysk robotników”, w której maczały palce „dzikie psy kapitalizmu”.

Zastanawiałem się, dlaczego pasożyty nie zaatakowały najpierw Rosji. Stalinizm wydawał się dla nich wymarzoną systemem. Przyszło mi na myśl, że przecież ludzie za żelazną kurtyną mają umysły zniewolone do tego stopnia, że możliwe, iż są opanowani przez pasożyty od trzeciego pokolenia.

Właściwie nie widziałem żadnej różnicy między komisarzem z pasożytem i

bez niego. Czystki, które odbywają się co jakiś czas miałyby inną formę.

„Wichrzycieli i wywrotowców” unieszkodliwianoby, umieszczając na nich pasożyta.

Nie potrzebne byłyby wówczas komory gazowe.

Od momentu, kiedy Starzec wysłał mnie ze specjalnym zadaniem, nie znajdowałem się w centrum wydarzeń. Obserwowałem tę wojnę z przybyszami z Tytana tak, jak ludzie obserwują szalejący z dala od nich huragan. Przez cały ten czas zresztą nie widziałem się ze Starcem. Rozkazy otrzymywałem od Oldfielda, jego zastępcy. Przez to nie wiedziałem, że Mary została zwolniona ze specjalnych obowiązków przy Prezydencie. Wpadłem na nią przypadkiem w klubie biura Sekcji.

Mary! - wrzasnąłem i podbiegłem w jej kierunku. Uśmiechnęła się do mnie słodko i zrobiła mi miejsce obok siebie. Nie pytała, co robiłem przez ten czas, nie robiła wyrzutów, że nie próbowałem jej znaleźć, nie mówiła też, że trwało to zbyt długo. Mary zawsze starała się, żeby wszystko działo się naturalnie.

Ja nie. Gadałem jak nakręcony.

Jak wspaniale, że cię widzę. Myślałem, że wciąż otulasz kołdrą Prezydenta na dobranoc. Jak długo tu jesteś? Czy musisz zaraz wracać? Czy mogę zamówić ci drinka? Nie, już masz. - Chciałem zawołać kelnera, ale dostrzegłem, że nie tylko Mary ma drinka, ale drugi stoi przede mną. - Jak to się stało? Skąd to się wzięło?

Zamówiłam, kiedy wszedłeś.

Mary, czy mogę powiedzieć ci, że jesteś cudowna?

Nie.

Bardzo dobrze, więc powiem: jesteś cudowna.

Dziękuję.

To spotkanie wymaga uczczenia. Ile masz czasu? Powiedz mi, czy mogłabyś dostać trochę urlopu? Przecież nie mogą wymagać, żebyś pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez wytchnienia. Chyba pójde prosto do Starca i powiem co...

Ja, jestem na urlopie, Sam.

Jesteś? Jak długo?

Do odwołania. Wszystkie urlopy teraz tak wyglądają.

Od kiedy jesteś wolna?

Od wczoraj. Siedzę tu i czekam aż się pokażesz.

- Od wczoraj?! - A ja cały wczorajszy dzień spędziłem, prowadząc dziecinne wykłady, których chyba nikt nie słuchał, traktujące o miłosiernych kapeluszach. - Na



miłość boską! - Zerwałem się. - Zostań tu, gdzie jesteś. Nie ruszaj się. Zaraz będę z powrotem.

Pobiegłem do biura operacyjnego. Przekonywałem stanowczo sekretarkę, że mam do zastępcy szefa niecierpiącą zwłoki sprawę. Oldfield spojrzał na mnie.

- Czego chcesz? - zapytał zgryźliwym tonem.

- Słuchaj szefie, to snucie historyjek dla dzieci o jakichś tam kapeluszach jest nie aktualne.

- Dlaczego?

- Jestem chorym człowiekiem. Należy mi się długi urlop chorobowy. I teraz mam zamiar go wykorzystać.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, jesteś pomyłony, a nie chory.

- Też prawda. Moja głowa jest chora. Czasem słyszę głosy. Ludzie chodzą za mną. Ciągłe wydaje mi się, że pasożyty mnie znowu schwytały. - To istotnie było szczerą prawdą.

- Od kiedy takie stany przeszkadzają w pracy Sekcji? - Odwrócił się i wyraźnie czekał na moją odpowiedź.

- Słuchaj, dostaję urlop, czy nie?

Szperał w papierach na biurku. Wyjął jeden z nich i porwał go.

- OK. Miej włączony nadajnik. Musisz być gotowy na wezwanie. Wynoś się. Wróciłem do Mary. Znowu uśmiechnęła się tak miękko.

- Zbieraj swoje rzeczy. Wychodzimy.

Nie zapytała dokąd. Po prostu wstała. Chwyciłem mojego drinka, wypilem szybko połowę. Wyszliśmy. Nikt z nas nie powiedział słowa.

- A teraz, gdzie chcesz wziąć ślub? - zapytałem w końcu. Mary przystanęła.

- Sam, powinniśmy to przedyskutować.

- Oczywiście, że powinniśmy, ale najpierw zrobmy to. Gdzie?

- Sam, kochanie, zrobię co każesz. Ale muszę ci powiedzieć, że wolałabym nie.

- Dlaczego?

- Sam, pojedźmy prosto do mojego mieszkania. Chcę ugotować dla ciebie obiad.

- W porządku, możesz ugotować później. Ale najpierw się pobierzmy.

- Proszę, Sam.

- Dalej stary, prawie uległa. - Usłyszałem czyjś głos. Rozejrzałem się dookoła

i dopiero teraz spostrzegłem, że otaczają nas ludzie. Wyciągnąłem rękę i prawie uderzyłem młodego chłopaka, który dawał mi te wspaniałe rady.

- Nie macie co robić ludzie? To idźcie się upić - krzyknął nerwowo.

Myślę, że ten gość powinien przyjąć jej propozycję. Nie otrzyma lepszej - ktoś inny dodał.

Chwyciłem Mary za rękę i szybko zabrałem ją stamtąd. Nie powiedziała ani słowa, dopóki nie wsiedliśmy do taksówki i kierowca nie zamknął szyby oddzielającej go od miejsca dla pasażerów.

- W porządku - szepnąłem mrukliwie. - Czemu nie chcesz wyjść za mnie? Wyjaśnij to.

- Po co mamy brać ślub, Sam? Jestem twoja. Nie potrzebujesz kontraktu.

- Po co? Bo cię kocham. To jedyny powód do cholery. Przez chwilę milczała.

Pomyślałem, że ją obraziłem. Kiedy się odezwała, słuchałem uważnie.

- Nie mówiłeś tego wcześniej, Sam.

- Nie? Musiałem. Jestem pewien, że mówiłem o tym.

- Nie słyszałam słowa „kocham” od dawna.

- No, nie wiem. Przypuszczam, że to niedopatrzenie. Nie jestem całkiem pewien, czy wiem co oznacza słowo „miłość”.

- Ja także - powiedziała łagodnie. - Ale bardzo podoba mi się to, co powiedziałaś. Czy możesz to powtórzyć?

- Co? OK. Kocham cię, kocham cię Mary.

- Sam.

Rzuciła mi się w ramiona. Poczulem, że drży.

- Czy coś się stało?

- Nie. Kocham cię, Sam. Tak bardzo cię kocham. Kocham cię od momentu, kiedy...

Pomyślałem, że chce powiedzieć, że od momentu, gdy spotkaliśmy się w biurze u Starca.

- Kocham cię od momentu, kiedy mnie spoliczkowałaś. Czy to logiczne?

Kierowca krążył po wschodnich obrzeżach miasta, kazałem mu po prostu jeździć w kółko. Potem poprosiłem go, aby nas zawiózł do Westportu. Ruszyliśmy prosto do City Hall.

Podszedłem do któregoś z biur w Urzędzie Zatwierdzeń i Licencji.

- Czy możemy tu wziąć ślub?

- To należy do naszych obowiązków - powiedział. - Licencje łowieckie po lewej, rejestracja psów po prawej, a to biurko jest szczęśliwym wyborem „pomiędzy”, przynajmniej mam taką nadzieję. - Mrugnął do mnie.

Nie cierpię takich cwaniaczków z przestarzałymi dowcipami.

- Bardzo dobrze - odparłem sztywno. - Czy moglibyśmy zatem przystąpić do rzeczy?

- Oczywiście. Każdy powinien wziąć ślub przynajmniej raz. Zawsze to powtarzam mojej żonie. - Wyjął jakiś zadrukowany dokument. - Proszę podać państwa numery.

Podaliśmy. Wkręcił formularz do maszyny.

- Czy którekolwiek z was brało ślub w innym stanie? Zaprzeczyliśmy.

- Czy jesteście tego pewni? Jeśli nie mówicie prawdy, można to potem sprawdzić i jeśli okaże się to nieprawdą, zawarty związek będzie nieważny. - Więc żadne z was?

Oboje stwierdziliśmy jeszcze raz, że nie braliśmy dotąd ślubu, nigdzie. Wzruszył ramionami.

- Czas trwania określony, czy na całe życie? Jeśli to ma być więcej niż dziesięć lat, opłata taka sama jak na całe życie. Jeśli to ma być związek do sześciu miesięcy, nie potrzebujecie tej całej procedury, małe formularze możecie otrzymać w automacie, który znajduje się tam na ścianie.

Spojrzałem na Mary.

- Na całe życie - powiedziała bardzo słabym głosem. Urzędnik spojrzał zdziwiony.

- Droga pani, czy pani wie, co pani robi? Związek zawarty na czas określony jest równie ważny. A potem nie będzie pani musiała chodzić po sądach jeżeli zmieni pani zdanie.

- Chyba słyszał pan. Proszę nie dyskutować - odparłem.

- W porządku. Następna część umowy. Jednomyślna zgoda?

- Tak - potwierdziłem, a Mary kiwnęła głową.

- Dobrze, a teraz główny problem: kto będzie płacił i ile? Czy to będzie pensja, czy zapis?

- Pensja - odpowiedziałem. - Nie posiadam tyle, żeby otworzyć konto.

- Bez umowy pieniężnej - Mary przerwała stanowczo.

- Co? - Zdziwił się urzędnik.

- Nic o pieniądzach - powtórzyła. - To nie jest umowa finansowa.

Urzędnik zupełnie zgłupiał. Popatrzył na nas.

- Droga pani - z jego słów emanowało wołanie o rozsądek. Proszę nie być nierozsądną. Słyszała pani, co ten dżentelmen proponował.

- Nie zgadzam się.

- A może lepiej, najpierw przedyskutują to państwo ze swoimi prawnikami?

Publiczny komunikator jest w hallu.

- Nie! Proszę zrobić tak, jak powiedziałam. Żadnej pensji. Urzędnik jeszcze raz obrzucił nas beznadziejnym spojrzeniem i włączył komputer.

- Mam nadzieję, że to będzie to, czego państwo potrzebują dodał zrezygnowany. - Czy obydwoje uczciwie przyrzekacie, że wszystkie podane tu fakty są prawdziwe i zgodne z waszym sumieniem, i że wstępujecie w ten związek dobrowolnie, że nie jesteście pod wpływem narkotyków ani innych nielegalnych używek, i że nie ma żadnych prawnych i moralnych przeszkód, by zalegalizować ten związek?

Obydwoje stwierdziliśmy, że nie jesteśmy, i że nie ma przeszkód. Urzędnik wyjął formularz.

- Teraz odciski waszych palców... W porządku. To będzie dziesięć dolarów razem z opłatą federalną.

Zapłaciłem, a urzędnik włożył formularz do kopiarki.

- Każde z was dostanie jeden egzemplarz kopii oznaczony własnym numerem rozpoznawczym. Jakiej ceremonii państwo życzą? Może mógłbym pomóc?

- Nie chcemy religijnej ceremonii - powiedziała Mary, a ja zgodziłem się.

Skinął głową.

- Wiem. Stary doktor Chamleigh. Nie należy do żadnej sekty. Organizuje najlepsze wesela z doskonałym akompaniamentem orkiestry. Zapewni wam wspaniałe przyjęcie, przepiękny dostojny rytuał, a zakończy piękną ojcowską mową prosto z serca. Wtedy naprawdę poczujecie, że wzięliście ślub.

- Nie - tym razem, to ja zaoponowałem.

- Ależ proszę pana - nalegał urzędnik - niech pan pomyśli o tej młodej damie. Jeśli pozostanie wierna temu, co przyrzekła, to już nigdy nie będzie miała takiej szansy. Wszystkie kobiety lubują się w formalnych ceremoniach ślubnych. Uczciwie przyrzekam, że nie dostaję dużo za zamówienie takiej ceremonii.

- Słuchaj człowieka. Może pan dać ten ślub, czy nie. Proszę się pośpieszyć i skończyć z tym.

Spojrzał na nas zdziwiony.

- Czy pan nie wie, że w tym stanie właściwie samemu się bierze ślub?

Jesteście małżeństwem od momentu złożenia odcisków palców.

Zdziwiłem się, Mary nie powiedziała ani słowa i wyszliśmy stamtąd.

Wynajęliśmy pojazd na północnym lądowisku miasta. Heop miał chyba z dziesięć lat, ale był całkowicie automatyczny i tylko to się liczyło. Przeleciałem nad miastem i włączyłem kontrolkę. Nie mówiliśmy wiele. Byłem szczęśliwy, ale strasznie zdenerwowany. Wtedy właśnie Mary objęła mnie ramieniem i napięcie minęło. Byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Upłynęło wiele czasu, choć wydawało mi się, że to była krótka chwila, gdy usłyszałem sygnał rozpoznawczy i zapaliła się kontrolka przy sterach. Byliśmy prawie na miejscu. Przeszedłem na ręczne sterowanie i wylądowałem.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Mary sennie.

- W moim domku w górach - odpowiedziałem.

- Nie wiedziałam, że masz dom w górach. Myślałam, że lecimy do mojego mieszkania.

- Nie mam zamiaru ryzykować. A poza tym, ten dom nie jest mój tylko nasz.

Pocałowała mnie jeszcze raz i wyśliznęła się z pojazdu. Wyszedłem także i zobaczyłem, że przypatruje się domowi.

- Kochanie, jest piękny.

Rzeczywiście, widok był urzekający. Słońce stało wysoko, a w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka. Wszystko wyglądało jakoś bajkowo przez te zamazane kontury, w jasnym świetle.

- Wybrałem to miejsce dla tak cudownych widoków.

- Tak, ale ja nie miałam na myśli widoku - odrzekła Mary. - Mówię o twoim domu. - Chodźmy szybko do środka.

- Chodźmy - powiedziałem - ale uprzedzam, że to zwykła chata.

Tak było rzeczywiście. Nie miałem tam nawet basenu. Kiedy tu przyjeżdżam, chcę być pewien, że miasto zostawiłem gdzieś daleko. Konstrukcja domu wyglądała dość konwencjonalnie - z metalu i włókna szklanego. Ściany wyłożono twardymi płytkami - dość niepozornymi ale ich twardość można było stwierdzić, kiedy się chciało wbić nóż. Wnętrze wyposażono dość zwyczajnie. Duży salon z prawdziwym kominkiem, grube dywany i wielkie fotele. W całym domu była klimatyzacja, poza tym własny system napędowy, odpływ ścieków, sprzęt stereo, instalacje hydrauliczne,

alarm radiowy, sprzęt kuchenny, na którym w ogóle się nie znam. Nawet ekran telewizora był ukryty za automatyczną zasłoną. Wymarzone miejsce dla kogoś, kto chce się uwolnić od cywilizacji, mogąc wykorzystać wszystkie jej dobrodziejstwa.

- Myślę, że jest tu cudownie - powiedziała Mary poważnie. - Nie marzyłam o czymś tak okazałym.

- Wreszcie razem - westchnąłem i włączyłem komputer. Drzwi się otworzyły. Mary wbiegła do środka.

- Hej! Wracaj natychmiast! - wrzasnąłem.

- Co się stało, Sam? Czyżbym zrobiła coś złego?

- Oczywiście. - Przyciągnąłem ją do siebie, wziąłem w ramiona i przeniosłem przez próg. Po czym pocałowałem ją i postawiłem na podłodze. - No, teraz jesteś w naszym własnym domu.

Zapaliły się światła i Mary rozejrzała się dookoła. Po chwili rzuciła mi się na szyję.

- Kochanie, jestem taka szczęśliwa.

Czułem to samo. Oszałamiające uczucie zadowolenia i spokoju. Mary zaczęła rozglądać się po mieszkaniu, dotykając różnych rzeczy.

- Sam, wiesz, jeżeli kiedykolwiek wyobrażałam sobie mój dom, wszystko miało wyglądać dokładnie tak.

- Tutaj jest tylko jedna łazienka - stwierdziłem przepraszająco. - Będzie to trochę kłopotliwe.

- To nie ma znaczenia. Jestem bardzo zadowolona. Przynajmniej wiem, że nie przywoziłeś tutaj żadnej ze swoich kobiet.

- Jakich kobiet?

- Piekielnie dobrze wiesz jakich. Gdybyś zaplanował to jako gniazdo rozpusty, przewidziałbyś kobiecą łazienkę.

- Wydaje mi się, że dostrzegasz zbyt wiele

Nie odpowiedziała, tylko skierowała się do kuchni. Usłyszałem jej okrzyk.

- O co chodzi? - zapytałem i poszedłem za nią.

- Nigdy nie spodziewałam się tutaj holenderskiej kuchni,

- Całkiem nieźle gotuję, więc potrzebowałam kuchni.

- Bardzo się cieszę. Teraz zrobię obiad dla ciebie.

- To twoja kuchnia. Przede wszystkim twoja, ale czy nie chcesz się najpierw umyć? Możesz wziąć prysznic. A jutro przejrzymy katalogi i wybierzemy łazienkę

dla ciebie. Przyślą nam ją.

- Nie spiesz się - powiedziała. - Najpierw ty weź prysznic. Ja zacznę gotować.

Poszedłem do łazienki. Byłem pewien, że nie będzie miała żadnych kłopotów z opanowaniem systemu działania sprzętu kuchennego. Jednak po piętnastu minutach, kiedy pogwizdywałem sobie pod strumieniem gorącej wody, usłyszałem pukanie w drzwi kabiny. Spojrzałem przez półprzeźroczystą zasłonę i zobaczyłem sylwetkę Mary.

- Czy mogę wejść?

- Jasne - zawołałem - tu jest pełno miejsca. - Otworzyłem drzwi i spojrzałem na nią. Wyglądała świetnie. Przez chwilę stała, pozwalając mi patrzeć na jej ciało, z tak słodkim wyrazem twarzy jakiego jeszcze u niej nie widziałem. Nagle zrobiłem zdziwioną minę.

- Kochanie! Co się stało? Czy jesteś chora? - zapytałem żartobliwie.

Podeszła bliżej, śmiejąc się. Zaczęła mnie łaskotać. Złapałem ją sprytnie za lewe ramię. Ona jednak wykonała jeden ze znanych chwytów judo. Wiedziałem jak na niego odpowiedzieć i w efekcie oboje znaleźliśmy się na podłodze.

- Pozwól mi wstać. Zamoczyłeś mi zupełnie włosy - krzyknęła.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytałem i nie ruszyłem się. Podobało mi się to.

- Przypuszczam, że nie - odrzekła łagodnie i pocałowała mnie.

Wyszliśmy z łazienki roześmiani i zadowoleni. To był chyba najprzyjemniejszy prysznic w moim życiu. Mary i ja czuliśmy się doskonale w domowych warunkach. Jakbyśmy byli małżeństwem od dwudziestu lat. Oczywiście nie chodzi o przyzwyczajenie i rutynę. Tysiące rzeczy wciąż nas zaskakiwały. Chcieliśmy poznać siebie, być razem. Nie pamiętam tych dni dokładnie, ale czuję każdą ich sekundę. Byłem trochę oszołomiony. Mój wuj Ekbert osiąga ten stan przy pomocy kieliszka likieru, ale my oboje znajdowaliśmy się w tym stanie bez żadnych środków. Nie wzięliśmy nawet pigułek czasowych. Wtedy jeszcze nie. Byliśmy po prostu szczęśliwi - zapomniałem już, co to znaczy. Bywałem zafascynowany, zadowolony czy rozbawiony - ale nie szczęśliwy. Nie oglądaliśmy telewizji, nie czytaliśmy gazet. Tylko czasem Mary czytała na głos stare książki zostawione mi przez dziadka. Ale to w żaden sposób nie przybliżało nas do świata. Przeciwnie. Któregoś dnia zeszliśmy w dół do wsi, chciałem pokazać ją Mary. Ludzie myśleli, że

jestem pisarzem, postarałem się utwierdzić ich w tym przekonaniu, zatrzymując się, by kupić taśmy do pisania i trochę papieru. Wdałem się w rozmowę o pasożytach ze sprzedawcą.

Opowiedział mi o fałszywym alarmie w sąsiedniej wsi, gdzie jeden z mieszkańców został postrzelony przez policjanta za bezmyślne chodzenie po ulicy w marynarce. Sprzedawca wyglądał na oburzonego. Sugerowałem, że była to wina przechodnia, gdyż takie są warunki i konsekwencje wojny.

Potrząsnął głową.

- Ja myślę, że nie mielibyśmy kłopotów, gdybyśmy zajmowali się swoimi sprawami. Bóg nie stworzył ludzi po to, by wybierali się w kosmos. Powinniśmy zapomnieć o stacjach kosmicznych i zostać w domu. Wtedy wszystko będzie w porządku.

Powiedziałem, że pasożyty przybyły tu na własnych statkach. W tym momencie Mary dała mi znak, żebym nie mówił za dużo. Sprzedawca oparł ręce na ladzie, pochylił się.

- Nie mieliśmy żadnych kłopotów do czasu rozpoczęcia podróży kosmicznych. Przyzna mi pan rację - wyszeptał.

Chyba ją miał. Nie umiałem zaprzeczyć.

- Więc? - zapytał triumfalnie. Zamknąłem się. Co mógłbym powiedzieć?

Po tej rozmowie odechciało nam się spacerów po mieście. Z nikim już nie rozmawialiśmy. W drodze powrotnej przechodziliśmy blisko chaty Johna Kortona, miejscowego pustelnika. Niektórzy twierdzili, że ma on hodowlę kóz. Tego nie wiedziałem, ale rzeczywiście czuć było od niego zapach tych zwierząt. Pilnował trochę mojego domu, szanowaliśmy się nawzajem. Ale widywałem go tylko wtedy, gdy było to naprawdę konieczne i tak krótko, jak to możliwe. Ale tym razem, widząc go, ucieszyłem się.

Pomachał do nas ręką na powitanie. Był ubrany jak zwykle w starą wojskową koszulę, spodnie i sandały. Pomyślałem, czy może go nie ostrzec, że człowiek został zabity za nieprzestrzeganie nakazu odkrywania pleców, ale zdecydowałem się tego nie robić. John był absolutnym anarchistą. Moje ostrzeżenie mogłoby wzbudzić jego nieufność.

- Wypuść Pirata! - krzyknąłem.

- Kto to jest Pirat, kochanie? - zapytała Mary.

Zobaczysz.



Jak tylko wróciliśmy do domu, wszedł Pirat. Miał swoje małe drzwi, przez które mógł swobodnie wychodzić i wracać, kiedy tylko chciał. Pirat to wielki kocur, rudy Pers. Wszedł dumnie i obojętnie, dając nam do zrozumienia, co myśli o ludziach, którzy wyjeżdżają na tak długo. Ale chyba mi wybaczył, bo otarł się o moje nogi. Pochyliłem się i pogłaskałem go.

Przyglądał się Mary. Klęczała i wydawała z siebie dźwięki, które prawdopodobnie były kocia mowa. Jednak Pirat patrzył na nią podejrzliwie. Nagle wskoczył jej na ramię i zaczął głośno mruścić, jednocześnie ocierając się o jej policzek.

Odetchnąłem z ulgą.

- Co za szczęście - oznajmiłem. - Przez moment myślałem, że nie mógłbym pozwolić ci zostać tutaj.

Mary podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się.

- Niepotrzebnie się martwiłeś. Uwielbiam koty. Sama w dwóch trzecich jestem kotem.

- A pozostała jedna trzecia? Mary spojrzała na mnie.

- Sam się przekonasz.

Głaskała delikatnie Pirata, a on wyciągał grzbiet, przyjmując pieszczoty z wyraźną przyjemnością. Dostrzegłem, że jej włosy i kocie futro prawie nie różnią się kolorem.

- Stary John zajmuje się nim, kiedy wyjeżdżam - wyjaśniłem - ale Pirat należy do mnie, a może jest odwrotnie.

- Domyślałam się - odpowiedziała Mary - ale teraz ja także należę do Pirata. - Czyż nie, Pirat?

Kot nie odpowiedział, nadal mruzczał i przeciągał się z zadowoloną miną. Było jasne, Mary miała rację. Naprawdę byłem bardzo zadowolony. Gdyby Mary była jedną z tych kobiet, które nie znoszą kotów, szczególnie w domu, chyba nie wybaczyłbym jej.

Od tego momentu, kot już był cały czas z nami. No, może raczej z Mary. Oczywiście oprócz chwil, kiedy zamykałem mu przed nosem drzwi sypialni. Nie mogłem znieść, że Mary i Pirat mieli mi to za złe. Zabieraliśmy go ze sobą nawet, gdy chodziliśmy do kanionu poćwiczyć strzelanie. Sugerowałem, że bezpieczniej będzie zostawić go w domu.

- Myślę, że nie zastrzelisz go. Ja także tego nie zrobię. Nie powiedziałem nic,

ale poczułem się dotknięty. Dobrze strzelałem, a osiągnąłem to, dzięki systematycznej pracy - treningi bez względu na okoliczności, nawet podczas miodowego miesiąca. Mary także bardzo lubiła strzelać. Zresztą robi to doskonale. Próbowała nauczyć mnie swoich sposobów, ale tego nie można przekazać. Zapytałem ją, dlaczego nosi przy sobie więcej niż jeden pistolet.

- Są sytuacje, w których potrzebuję więcej niż jednej pukawki - odpowiedziała. - Zabierz mi mój pistolet.

Podszedłem blisko żeby ją rozbroić. Umknęła mi łatwo.

- Chcesz zabrać mi broń, czy zaprosić mnie do tańca? Zrób to porządnie - krzyknęła żartobliwie.

Więc zrobiłem to porządnie, zapasy to moja specjalność. Gdyby się nie poddała, złamałbym jej nadgarstek.

Wtedy jednak poczułem, że drugi pistolet mam przystawiony do brzucha. Była to mała kobieca broń, zdolna jednak, bez załadowania, uczynić dwa tuziny żon - wdowami. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że jest odbezpieczony i wystarczy jeden ruch mojej pięknej panny młodej, żeby mi zrobić dziurę w brzuchu. Nie za dużą, ale wystarczającą.

- Skąd, na Boga, go wytrzasnąłaś? - zapytałem ze zdziwieniem.

Byłem zaskoczony, bo mógłbym przysiąc, że jedyną broń, jaką miała, niosła w swojej małej, słodkiej rączce.

- Miałam go na szyi, pod włosami - powiedziała poważnie. - Widzisz?

Rzeczywiście. Wiedziałem, że nadajnik może być tam ukryty, ale nie przypuszczałem, że także broń. Ale oczywiście, nie wziąłem pod uwagę damskiego pistoletu. Kiedy spojrzałem na nią, trzeci pistolet skierowany był w moje piersi.

- A ten skąd się wziął - zapytałem. Zachichotała.

- Jawna mistyfikacja. Cały czas był w widocznym miejscu.

Nie powiedziała nic więcej. Nigdy tego nie zrozumiałem. Pomyślałem, że mógłbym pokazać jej kilka sztuczek, aby podreperować swój autorytet. Nagie ręce są czasem bardziej przydatne niż broń. Często ratują życie. Nie twierdzą oczywiście, że Mary nie dałaby sobie rady. Jest szybka, sprytna i na pewno w każdej sytuacji byłaby górą.

Przysunęła się do mnie, zrobiła minę słabej, potrzebującej pomocy kobiety i pocałowała mnie. Jej głos stał się o oktawę niższy.

- Chyba nie myślisz, że to jest jedyna moja broń?

Wiedziałem, że nie ma w tej chwili na myśli pistoletów. Mówiła o czymś, o wiele prostszym i starszym. Oczywiście potrafiła doskonale walczyć i szanowałem ją za to, ale nie była Amazonką. Prawdziwa siła Mary tkwiła w jej kobiecości. To mi przypomniało opowieść Mary, o tym w jaki sposób zostałem uwolniony od pasożyta. Sama przeszukiwała przez wiele dni miasto, ale nie mogła mnie znaleźć. Przy okazji doskonale orientowała się, w jakim stopniu miasto opanowane jest przez pasożyty. Gdyby nie to, że umiała rozpoznawać uwieczonych ludzi, pewnie stracilibyśmy wielu agentów. I może nigdy nie zostałbym uwolniony. Dzięki informacjom zebranych przez nią, Starzec skoncentrował się na punktach wyjazdu i wjazdu do miasta. I w ten sposób mnie znalazł.

Z tego, co powiedziała Mary, wywnioskowałem, że ona i Starzec przeszukiwali wszystkie główne platformy startowe. Ale coś mi tu nie pasowało. Przecież Starzec nie zostawiłby wszystkich obowiązków, żeby poszukiwać jednego agenta. Musiałem chyba źle ją zrozumieć. Nigdy potem nie miałem szansy tego wyjaśnić. Mary nie lubiła zajmować się przeszłością. Kiedyś zapytałem, dlaczego Starzec zwolnił ją z obowiązków strażnika Prezydenta. Odpowiedziała wtedy, że przestała być potrzebna. Nic więcej. Przypuszczała pewnie, iż znam przyczynę: pasożyty zorientowały się w zróżnicowaniu płci, a Mary była właściwie bezradna wobec kobiet przez nie opanowanych. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Mary uważała, że nie jest to temat wart dyskusji. Ze wszystkich osób, jakie kiedykolwiek znałem, ona najlepiej potrafiła unikać rozwodzenia się nad problemami.

Dzięki tym wakacjom zapomniałem prawie o tej całej tragicznej sytuacji i niebezpieczeństwie.

Mary nie mówiła nic o sobie, za to pozwalała mi mówić. Kiedy byłem zrelaksowany i coraz bardziej szczęśliwy, próbowałem jej wytłumaczyć, co dręczyło mnie przez całe życie. Opowiedziałem o tym, jak zrezygnowałem z pracy w sekcji i o tym, jak potem schowałem dumę do kieszeni i wróciłem do pracy ze Starcem.

- Jestem raczej pokojowo nastawionym facetem - mówiłem - i nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi? Starzec jest jedynym człowiekiem, któremu mógłbym się podporządkować, a jednak wciąż z nim walczę. - Dlaczego Mary? Czy ze mną jest coś nie w porządku?

Objęła mnie i pocałowała.

- Wielkie nieba, chłopcze, czy ty nic nie rozumiesz? Z tobą wszystko w porządku. To dzieje się na zewnątrz.

- Ale zawsze tak było, do teraz.

- Wiem, od dziecka. Ale pomyśl sam, brak matki i przerażająco wyniosły ojciec. Tyle razy czułeś się odrzucony i samotny, że straciłeś pewność siebie.

Jej odpowiedź zaskoczyła mnie tak, że się poderwałem. Ja nie mam pewności siebie?

- Co? - zawołałem. - Jak możesz tak mówić? Jestem najbardziej zuchwałym facetem w okolicy.

- To prawda. Jesteś lub nauczyłeś się takim być. - Wstała. - Chodźmy obejrzeć zachód słońca.

- Zachód? To niemożliwe. Dopiero skończyliśmy śniadanie. - Ale miała rację, co zresztą zdarzało się często.

Szalony bieg czasu przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Mary, jak długo tu jesteśmy? Jaki dzisiaj jest dzień?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Cholernie duże. Jestem pewien, że minął więcej niż tydzień. Pewnie już niedługo odezwą się nasze nadajniki i będziemy musieli wrócić do świata.

- Moglibyśmy o tym nie myśleć?

Miała rację, ale ja nadal chciałem wiedzieć jaki to dzień. Mogłem się tego dowiedzieć, włączyłem telewizję, ale nie chciałem natknąć się przypadkiem na wiadomości. Wciąż wyobrażałem sobie, że Mary i ja jesteśmy w innym, bezpiecznym świecie, w którym nie istnieją przybysze z Tytana. Za wszelką cenę chciałem utrzymać to złudzenie.

- Mary - zapytałem zaniepokojony - ile masz pigułek czasowych?

- Żadnej.

- Ale ja mam tyle, że starczy dla nas dwojga. Mamy mało czasu ale możemy to zmienić. Zostało nam tylko dwadzieścia cztery godziny. Moglibyśmy z tego zrobić miesiąc subiektywnego czasu.

- Nie.

- Dlaczego? Te chwile nigdy się nie powtórzą. Mary! Nie skracaj naszego szczęścia.

Mary położyła rękę na moim ramieniu i spojrzała mi poważnie w oczy.

- Nie kochanie. To nie dla mnie. Ja chcę żyć tym, co przychodzi i tym, co jest, nie mam zamiaru zawracać sobie głowy tym, co nadejdzie. Jeżeli chcesz, możesz je zażyć, nie mam nic przeciwko temu, ale nie prosz mnie o to.

- Do diabła z tym! Nie wybierałbym się w taką podróż sam, to bez sensu.

Mary nie odpowiedziała, i to był ten najlepiej obalający wszystkie argument. Nie dyskutowaliśmy już więcej. Gdybym próbował, Mary jak to kilka razy się zdarzyło, po prostu uznałaby dyskusję za skończoną i jak zwykle okazałoby się, że się myliłem.

Próbowałem kilka razy dowiedzieć się czegoś więcej o niej samej. Wydaje mi się, że powinienem cokolwiek wiedzieć o kobiecie, z którą się ożeniłem. Na jedno z tych pytań Mary odpowiedziała w zamyśleniu, że często zastanawiała się, czy w ogóle miała dzieciństwo, czy może był to tylko wczorajszy sen.

Zapytałem ją także, jak ma na imię.

- Mary - odpowiedziała spokojnie.

- Czy to twoje prawdziwe imię? - Już dawno powiedziałem, jak nazywam się w rzeczywistości, ale oboje zdecydowaliśmy, że będzie do mnie mówiła Sam.

- Oczywiście, że to moje prawdziwe imię. Jestem Mary, od momentu, kiedy pierwszy raz mnie tak nazwałś.

- W porządku, masz na imię Mary, moja kochana Mary. Ale, jak nazywałaś się przedtem?

Jej oczy nabrały jakiegoś niepokojącego, zranionego wyrazu.

- Przedtem nazywano mnie Allucquere.

- Allucquere - powtórzyłem, wsłuchując się w brzmienie tego niezwykłego słowa. - Allucquere. Dziwne i piękne imię. Brzmi niepokojąco i majestatycznie. Moja ukochana Allucquere.

- Teraz mam na imię Mary.

Kiedyś, gdzieś została skrzywdzona, bardzo skrzywdzona. Miałem wrażenie, że nigdy niczego nie zdradzi mi na ten temat. Przypuszczałem, że kiedyś miała męża, było to dla mnie dziwnie oczywiste. Może ten fakt powodował jej błysk w oczach, kiedy wspominałem o jej przeszłości. Postanowiłem nie myśleć o tym. Była tereź moją żoną i czułem się szczęśliwy, mogąc rozkoszować się ciepłem jej uczuć. Dalej mówiłem do niej Mary, bo wiedziałem, że tego chce. Ale imię Allucquere zapadło mi w pamięci i wciąż je powtarzałem w myślach. I zupełnie przypadkiem trafiłem na ślad pochodzenia jej imienia. W mojej pamięci odnalazłem informację, która wydawała mi się do tej pory bezużyteczna.

Istniała kiedyś społeczność, która używała własnego, przez siebie stworzonego języka, nadawano w niej także imiona jej członkom. To był Whiteman i

anarchistyczno-pacyfistyczna społeczność, którą wyrzucono do Małej Ameryki. Pamiętam książkę napisaną przez ich proroka - „Entropia Radości”. Nie czytałem jej, tylko przejrzałem kiedyś. Pełno tam było pseudomatematycznych formuł mających zapewnić szczęście. Wszyscy są szczęśliwi i tym samym stają przeciwko złu. Praktyki kultowe owej sekty były niezwykle twarde.

Mieli przedziwne i bardzo już stare rozwiązanie problemu seksu. Rozwiązanie, które zdawało się im odpowiadać, ale które wywoływało niesamowity efekt, gdy kultura Withemanów zetknęła się z innymi wzorcami zachowań. Nawet Mała Ameryka okazała się niewystarczająco daleko. Gdzieś słyszałem, że wyznawcy tego kultu wyemigrowali na Wenus. Pewnie wszyscy już nie żyją.

Starałem się o tym nie myśleć. Jeżeli nawet Mary należała do tej społeczności, czy w niej została wychowana, to jest to tylko jej sprawa. Nie pozwolę, żeby kiedykolwiek kwestia kultu czy religii rozdzieliła nas. Jeśli nie chciała, żebym o tym wiedział, to po prostu omijaliśmy drażliwe tematy. Nie szperałem pośród tych informacji po to, by nasycić swoją ciekawość. Po prostu szukałem Mary.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy po raz drugi wspomniałem o pigułkach czasowych, już się nie sprzeciwiała. zaproponowała tylko, żebyśmy wzięli minimalną dawkę.

Przygotowałem zastrzyki, żeby zaczęło działać szybciej. Zazwyczaj, kiedy je brałem, patrzyłem na zegarek. Kiedy wskazówka pokazująca sekundy zatrzymywała się, wiedziałem, że zaczęło działać. Tutaj nie mieliśmy żadnego zegarka. Właśnie wstało słońce. Nie spaliśmy przez całą noc i leżeliśmy teraz na tapczanie przy kominku.

Po zrobieniu zastrzyków przytuliliśmy się rozmarzeni i szczęśliwi. Zastanawiałem się, czy pigułki już zaczęły działać. I wtedy spostrzegłem, że słońce zatrzymało się. Znajdowało się przez cały czas w jednym punkcie. Patrzyłem na ptaka, który przelatywał za oknem. Mogłem dostrzec ruch jego skrzydeł.

Spojrzałem na swoją żonę. Słoneczny blask odbijał się na jej pięknej, szlachetnej twarzy. Pirat leżał obok zwinięty w kłębek.

- Co ze śniadaniem? - zapytałem. - Chyba jestem głodny.

- Bardzo chętnie. Przygotuj coś, ja nie mogę się ruszyć, bo obudzę Pirata - odpowiedziała sennie Mary.

- Przysięgałaś mi miłość, szacunek i śniadanie - zażartowałem i połaskotałem ją w piętę.

Mary poderwała się. Kot wrzasnął i skoczył na podłogę.

- I widzisz, co zrobiłeś? Poruszyłam się zbyt gwałtownie i przestraszył się. Na pewno czuje się urażony.

- Nie przejmuj się kotem. To ja jestem twoim mężem.

Wiedziałem, że popełniłem błąd. Człowiek pod wpływem pigulek czasowych powinien zachowywać się wobec innych bardzo ostrożnie. Nie pomyślałem o tym. Przecież kot pomyślał sobie, że jesteśmy kompletnie pijani. Musiał się nieźle przestraszyć. Spróbowałem go przywabić. Ale nic z tego. Zaczaił się przy drzwiach i wyglądał na całkiem obrażonego. Pomyślałem, że jeśli będę próbował złapać go, przestraszę go jeszcze bardziej. Dałem spokój i poszedłem do kuchni.

Właściwie Mary miała rację. Zawiorowanie czasowe, to nie jest najlepszy pomysł na miodowy miesiąc. Ekstacyjne szczęście, które czułem dzięki przebywaniu z Mary zostało wyparte przez euforię wywołaną przez narkotyk. Wyraźnie odczuwałem różnicę i sztuczność tego, co się ze mną działo. Przeczuwałem, że coś

tracę. Zmieniłem prawdziwą magię szczęścia, na chemiczny substytut. Nie czułem się źle, ale wołałem rzeczywistość.

Wieczorem zaczęliśmy dochodzić do siebie. Odczuwałem lekkie podenerwowanie, które zawsze się pojawia, kiedy narkotyk przestaje działać. Sprawdziłem swoje reakcje - były normalne. Mary doszła do siebie jakiś czas przede mną.

- Czy chcesz wziąć jeszcze? - zapytała łagodnie. Przytuliłem ją i pocałowałem.

- Nie, kochanie. Tak bardzo cieszę się, że wróciłem.

- To dobrze - wyszeptała i pocałowała mnie w czoło. Narkotyk przestał działać i poczułem się wściekle głodny.

Powiedziałem o tym Mary.

- Może za chwilę - zaproponowała. - Chciałabym poszukać Pirata. Nie ma go już cały dzień.

- Nie przejmuj się, to mu się często zdarza.

Ale ja wiem, że on się na mnie obraził.

Jest na pewno u starego Johna. Zawsze ucieka do niego, kiedy się na mnie pogniewa. Na pewno jest bezpieczny.

- Ale jest już tak późno. Boję się o niego. Przecież jakiś kojot może go dopaść.

- Ależ kochanie tutaj nie ma kojotów.

- No to może lis, albo coś innego. - Była naprawdę zaniepokojona.

- Pójdę go zawołać. Może jest gdzieś niedaleko.

- Załóż coś na siebie - powiedziałem. - Na dworze może być teraz chłodno.

Zawahała się. Po krótkiej chwili wróciła do sypialni i założyła szlafrok. Kiedy wyszła, dołożyłem do ognia i poszedłem do kuchni. Musiała zostawić otwarte drzwi, bo kiedy próbowałem zrobić coś do jedzenia, usłyszałem jej głos.

- Niedobry kot! Zmartwiłeś swoją panią.

- Złap go i zatrzaśnij drzwi! - krzyknąłem. Mary nie odpowiedziała. Nie usłyszałem też, żeby wchodziła, więc wróciłem do salonu. Kiedy wróciła, kota z nią nie było. Chciałem już coś powiedzieć, ale zobaczyłem wyraz jej oczu. Patrzyła na mnie, a w jej spojrzeniu było coś strasznego, nie do opisanie. Przerazenie i ból.

- Mary! - krzyknąłem i podbiegłem.

Ze spazmatycznym wrzaskiem, rzuciła się w kierunku drzwi. Kiedy się odwróciła, zobaczyłem jej ramiona. Pod szlafrokiem miała pasożyta.



Nie wiem, jak długo stałem bez ruchu. Pewnie ułamek sekundy. Dla mnie to była wieczność. W końcu skoczyłem i złapałem ją za ramiona. Nie mogłem pozwolić jej uciec. Spojrzała na mnie. W jej oczach nie było już przerażenia, były puste.

Kiedy mnie kopnęła uświadomiłem sobie, że teraz jest moim przeciwnikiem i będę musiał z nią walczyć o nią samą. Wiedziałem, że do wroga podchodzi się z wyciągniętymi ramionami, ale w końcu to była moja żona. Musiałem uważać, żeby nie zrobić jej krzywdy. Tymczasem pasożyt nie miał wobec mnie żadnych skrupułów. Nie mogłem zabić Mary, nie chciałem tego. Musiałem zabić pasożyta, aby uwolnić Mary.

Uderzyłem ją z całej siły w twarz. Ale to nawet jej nie osłabiło. Upadliśmy na podłogę. Uderzyłem ją głową w twarz, żeby mnie nie gryzła. Próbowałem ją sparaliżować, uciskając odpowiednie punkty na jej ciele. Nie pozostało mi nic innego, jak usunąć pasożyta. Wiedziałem jaki szok to powoduje, miałem nadzieję, że to nie zabije Mary, chociaż na pewno zrani dotkliwie. Chciałem pozbawić ją przytomności, a potem delikatnie go usunąć. Mogłem to zrobić przy pomocy ognia, tylko, że to było bardzo bolesne.

Nie miałem czasu na zastanowienie. Mary właśnie zatopiła zęby w moim uchu. Złapałem jedną ręką władcę. Nic się nie stało. Nie był miękki, jak zazwyczaj, ale twardy, jakby pokryty pancerzem. Wtedy uderzyłem go z całej siły. Mary wrzasnęła straszliwie i odgryzła mi kawałek ucha. Ale pasożyt żył nadal. Próbowałem go podważać, lecz przylegał do jej ciała tak mocno, że nie mogłem wcisnąć pod niego nawet palca.

Dowlokłem Mary do kominka. W pewnym momencie mało mi nie uciekła. Walczyła jak lwica. Ale złapałem ją za włosy i zbliżyłem jej ramiona do ognia. Chciałem tylko przypalić pasożyta, ale Mary szarpnęła się tak gwałtownie, że upadłem uderzając się o róg kominka. Wpadła prosto na rozżarzone węgle.

Krzyknęła z bólu i zerwała się. Jeszcze nie całkiem przytomny po uderzeniu, zobaczyłem, że jej piękne włosy płoną. Także szlafrok. Zerwałem się i zacząłem gasić płomienie. Dostrzegłem, że nie ma pasożyta. Rozejrzałem się po pokoju. Zobaczyłem go na podłodze przy kominku. Pirat stał obok i prychał.

Wynoś się stąd Pirat - wrzasnąłem. - Uciekaj!

Kot spojrzał na mnie, ale nie zareagował. Nie mogłem zostawić Mary, dopóki nie byłem pewien, że ogień jest ugaszony. Kiedy zgasł, rzuciłem się w kierunku kominka. Złapałem szufelkę do węgla. Nie miałem zamiaru dotykać tej bestii gołymi rękami.

Ale pasożyta nie było już na podłodze. Zdążył dopaść Pirata. Kot stał sztywno, na szeroko rozstawionych łapach. Złapałem go i próbowałem przysunąć go do ognia. Szarpał się strasznie. Nie mogłem sobie z nim dać rady. Co chwilę jego pazury orały mi skórę. Nie zważając na wycie Pirata, trzymałem go nad ogniem. Jego futro płonęło, moje ręce także. Ale wytrzymałem, dopóki pasożyt nie wpadł do paleniska. Położyłem kota na podłodze. Był w bardzo ciężkim stanie. Sprawdziłem, czy nie płonie jego sierść i wróciłem do Mary.

Nadal była nieprzytomna. Klęknąłem przy niej i płakałem.

Przez następną godzinę starałem się zrobić dla Mary, co tylko mogłem. Miała prawie całkiem spalone włosy z lewej strony, poparzone plecy i szyję. Ale serce biło miarowo i oddychała normalnie. Nie straciła też zbyt dużo krwi. Opatrzyłem rany i zrobiłem zastrzyk przeciwbólowy i nasenny. Potem zająłem się Piratem.

Wciąż leżał na podłodze. Nie wyglądał dobrze. Pasożyt wykończył go jeszcze bardziej niż Mary. A poza tym ogień. Już myślałem, że nie żyje, ale kiedy dotknąłem go podniósł głowę.

- Przepraszam stary - wyszeptalem. Wydawało mi się, że zamiauczał. Opatrzyłem go. Nie dałem mu tylko środka nasennego i obejrzałem siebie.

Ucho przestało krwawić, ale martwiły mnie dłonie. Kiedy włożyłem je do wody, myślałem, że oszaleję z bólu. Tak samo, kiedy próbowałem wysuszyć je pod suszarką. Nie potrafiłem ich zabandażować, a poza tym były mi potrzebne.

W końcu wzięłem plastikowe rękawiczki, wypełniłem je maścią na oparzenie i założyłem. Maść znieczulała, jakoś mogłem wytrzymać. Połączyłem się z miejscowym lekarzem.

Mam przyjść do pana w nocy? - zapytał. - Pan chyba żartuje. Próbowałem go przekonać, że nie mam nastrojów do żartów.

- Moja żona może umrzeć.

- Człowieku! - odpowiedział. - To czwarty alarm tej nocy. Ale nikt nie wychodzi w nocy na ulicę. Rano do pańskiej żony przyjadę w pierwszej kolejności.

Powiedziałem mu, żeby rano w pierwszej kolejności poszedł do diabła i wyłączyłem się.

Pirat umarł zaraz po północy. Pochowałem go natychmiast, żeby Mary tego nie widziała. Pożegnałem się z nim i wróciłem do domu. Mary leżała cicho. Przystawiłem sobie krzesło do jej łóżka i czuwałem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nad ranem Mary zaczęła jęczeć. Położyłem rękę na jej czole.

- W porządku kochanie. To ja, Sam. Już dobrze. Otworzyła oczy i przez moment zobaczyłem w nich to samo przerażenie, co wczoraj. Kiedy mnie zobaczyła, uspokoiła się.

- Sam, kochanie jak dobrze, że jesteś. Miałam taki straszny sen!

- Już w porządku - powtórzyłem.

- Dlaczego masz na sobie rękawiczki? - Popatrzyła na swoje rany i bandaże, i przestraszyła się. - Sam, to nie był sen!

- Nie, najdroższa, to nie był sen. Ale już wszystko w porządku. Zabiłem to.

- Zabiłeś? Jesteś pewien, że to nie żyje?

- Na pewno.

- Sam, proszę, przytul mnie mocno.

- Będą cię bolały ramiona - powiedziałem.

- Przytul mnie!

Objąłem ją delikatnie, by nie sprawić bólu. Po chwili uspokoiła się i przestała drżeć.

- Wybacz mi kochanie, że reaguję po babsku. Jestem słaba.

- Nie martw się tym, ja zachowywałem się podobnie.

- Opowiedz mi teraz, co się stało. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, to to jak próbowałeś mnie wciągnąć do kominka.

- Wiesz, że nie mogłem inaczej. Musiałem go jakoś zdjąć. Objęła mnie i przyciągnęła do siebie.

- Wiem, wiem i dziękuję ci. Znowu zawdzięczam ci życie. Rozplakaliśmy się oboje.

- Nie odpowiadałaś, kiedy cię wołałem.

- Pamiętam. Kochanie, tak się starałam. Popatrzyłem na nią uważnie.

- Wiem. Ale przecież jeżeli dopadnie cię pasożyt nie ma możliwości z nim walczyć.

- Tak, dlatego przegrałam, ale starałam się ze wszystkich sił.

Mary w jakiś nieznan mi sposób próbowała walczyć z pasożytem. Ja tego nie potrafiłem. Zrozumiałem, że jest silniejsza ode mnie. Gdyby tak nie było, nie wytrzymałaby tego. A i ja nie dałbym sobie rady.

- Powinnam była wziąć latarkę - powiedziała. - Ale ja nigdy tutaj nie czułam strachu.

Wiedziałem o czym mówi. To było bezpieczne miejsce jak miękkie ciepłe posłanie, albo czyjeś silne ramiona.

Pirat przybiegł do mnie, gdy tylko go zawołałam. Nie widziałam pasożyta, poczułam go dopiero, kiedy go dotknęłam. Ale wtedy było już za późno. - Usiadła nagle. - Gdzie on jest Sam? Nic mu się nie stało? Zawołaj go.

Musiałem jej powiedzieć o Piracie. Patrzyła na mnie ze smutkiem. Później już nigdy tego nie wspomniała.

- Teraz, kiedy już czujesz się lepiej, zróbmy jakieś śniadanie.

Najwyraźniej chciała wstać.

- Zostań! - zawołałem.

- W żadnym razie. Zejdę na dół i zrobię ci śniadanie.

- Nie, nie zgadzam się. Ty zostaniesz w łóżku jak grzeczna dziewczynka.

- No to zdejmij te rękawiczki i pokaż mi swoje dłonie. - Nie zdjąłem ich. Nie chciałem nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby znieczulenie przestało działać chociaż na chwilę. Mary westchnęła.

- Tak myślałam. Jesteś bardziej poparzony niż ja. Poszła robić śniadanie. Wypiłem tylko filiżankę kawy. Ją także namawiałem, żeby dużo piła. Rozległe poparzenia to nie żarty. Nagle Mary odsunęła talerz.

Przykro mi, że to wszystko się wydarzyło, ale teraz wiem, co wtedy czuleś. Byliśmy tam oboje.

Westchnąłem. Wiedziałem, że miała rację. Wspólne przeżywanie szczęścia to nie wszystko.

- Musimy już iść - wyszeptała Mary i wstała.

- Tak, czas najwyższy - zgodziłem się. - Muszę jak najszybciej zabrać cię do lekarza.

- Nie to miałam na myśli.

- Wiem, że nie. - Nie było czasu na dyskusje. Oboje mieliśmy świadomość, że czas wakacji się skończył. Trzeba było wracać do pracy. Wehikuł, którym przylecieliśmy, wciąż stał na lądowisku niedaleko domu. W ciągu trzech minut uprzątnęliśmy pokój i byliśmy gotowi do drogi.

Ze względu na moje poparzone ręce prowadziła Mary.

- Polecimy prosto do biura Sekcji. Dowiemy się, jak wygląda sytuacja. Czy

może wolałbyś najpierw do lekarza?

- Do Sekcji - zdecydowałem. Ręce bolały mnie straszliwie, ale nie zniósłbym następnej godziny niepewności, a poza tym chciałem już wrócić do pracy. Poprosiłem Mary, żeby włączyła ekran i znalazła wiadomości. Ale wyposażenie tego wraka nadawało się na złom. Nie mogliśmy złapać nawet fonii. Na szczęście, przynajmniej zdalne sterowanie działało.

Od dłuższego czasu zastanawiałem się nad jedną rzeczą.

- Jak to możliwe, że pasożyt znalazł się na kocie. Przecież zwierzę nie mogło być mu do niczego potrzebne. To dziwne.

- Masz rację.

- Niemożliwe, żeby to był przypadek. Wszystko, co robią te bestie ma swój sens, upiorny, ale logiczny.

- W ten sposób złapali człowieka.

- No tak. Ale jak mogły to zaplanować. Przecież chyba nie ma ich tyle, żeby ryzykować nikłą szansę złapania człowieka przez kota. A może jest ich aż tyle?

Przypomniałem sobie, w jakim tempie z jednego pasożyta robią się dwa, Kansas City zostało zalane pasożytami. Zadrzałem.

- Nie pytaj mnie o to. Nie potrafię odpowiedzieć. Do tego trzeba mieć komputer zamiast mózgu.

Miała trochę racji. Jej umysł nie był maszyną analityczną. Nie jest to żaden powód do zmartwienia. Mary jest doskonała w myśleniu logicznym, a poza tym ta jej intuicja.

- Nie zakładaj nic od razu. Pomyśl. Skąd mógł się wziąć ten pasożyt? Nie może chodzić, więc musiał zejść z innego żywiciela i dopadł Pirata. Kto to mógł być? Myślę, że nasz stary John Korton.

- John? Nie wiem, czy był żywicielem, nie podchodziłem nigdy do niego blisko.

- To nie ma znaczenia. To jest jedyna możliwość. John był jedyną osobą w okolicy, która nie podporządkowała się nakazowi chodzenia z odsłoniętymi plecami. Ale, po co pasożyt miałby przybywać aż tutaj w góry.

- Żeby złapać ciebie.

- Mnie?

- To znaczy, złapać cię znowu.

To miało sens. Może ludzie, którzy kiedykolwiek byli żywicielami są jakby

naznaczeni. Może stwory te próbują ich odzyskać. W takim razie tych dwunastu kongresmenów, których uratowaliśmy, jest w niebezpieczeństwie. Pomyślałem, że dobrze byłoby przekazać te dane do analizy.

Z drugiej strony, mogłem być im potrzebny. Konkretnie ja. Tylko do czego? Byłem w końcu tajnym agentem. Mój pasożyt wiedział wszystko o mnie, a więc i o Starcu. To właśnie mógł być powód. Byłem blisko Starca, a on jest głównym przeciwnikiem pasożytów. To także mogli znaleźć w moim mózgu.

Ten pasożyt nawet z nim rozmawiał. Ale zaraz, zaraz on przecież nie żyje. Znowu cała moja teoria wzięła w łeb. Ale zaraz potem znowu wydało mi się to dziwnie logiczne i konsekwentne.

- Mary? - zapytałem. - Czy byłeś w swoim mieszkaniu od czasu, kiedy jedliśmy tam razem śniadanie?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Pod żadnym pozorem tam nie jedź. Przypominam sobie, że kiedy byłem żywicielem miałem zamiar tam zastawić pułapkę.

- Ale przecież nie zrobiłeś tego.

- Nie. Ja nie, ale ona może już tam być. Może czekają tam na ciebie albo na mnie. - Wyjaśniłem jej teorię „zbiorowej pamięci” McIlvaine'a.

Wtedy myślałem, że to jakieś bajeczki wymyślone przez szalonego naukowca. Teraz to jedyny sposób wyjaśnienia tych wszystkich zdarzeń i wszystko do siebie pasuje. Chyba, że założymy, iż stwory są głupie i jest im wszystko jedno czy łapią ludzi, czy ryby w strumieniu. To chyba niemożliwe.

- Poczekaj chwilę. Ta teoria mówi, że doświadczenie czy informacja jaką zdobędzie jeden pasożyt, jest udziałem wszystkich innych? Czyli to, co złapało mnie wczoraj było jednocześnie tym, co ty nosiłeś na plecach? Nieprawdopodobne.

- To tylko podstawowe założenie. Każdy z nich jest jednocześnie indywidualnym istnieniem. Ich zapas pamięci i doświadczeń zostaje wymieniany podczas bezpośrednich kontaktów. To, co mają w pamięci miesza się i przestają się od siebie różnić. Na przykład, ten wczorajszy, jeśli miał kontakt z moim władcą - wie wszystko o mnie. Nie musiał mieć nawet kontaktu z moim pasożytem, wystarczyło jeśli skontaktował się z jakimś innym, któremu ten mój przekazał wszystkie informacje. Jeśli McIlvaine miał rację i jeśli są ich setki, tysiące, to wiedzą kim jesteśmy, jak wyglądamy, znają nasze nazwiska, wiedzą o naszym mieszkaniu, o tym domku w górach...o wszystkim...

- To... - powiedziała Mary przestraszonym głosem - to straszne. Ale skąd oni mogli wiedzieć, że tu będziemy. Nikomu przecież o tym nie mówiliśmy. Czyżby przybyli tu wcześniej i czekali?

- Możliwe. Nie wiem, czy dla nich istnieje takie pojęcie jak czekanie. Czas dla nich może oznaczać coś zupełnie innego.

- Tak, jak dla ludzi na Wenus - potwierdziła Mary. Rzeczywiście, człowiek na Wenus może poślubić swoją praprapraprawnuczkę i jeszcze być od niej młodszy. Wszystko zależy od sposobu rozumienia czasu.

- Przekażemy te wszystkie przypuszczenia - odrzekłem. - Może ci od analizy coś z tym zrobią.

Właśnie chciałem powiedzieć Mary, że tak naprawdę w największym niebezpieczeństwie jest Starzec, ze względu na swoją funkcję, dopiero potem my, kiedy po raz pierwszy od naszego wyjazdu odezwał się mój nadajnik.

- Zgłoś się osobiście! - usłyszałem głos Starca.

- Jesteśmy już w drodze - wyjaśniłem - będziemy za pół godziny.

- Pospieszcie się. Ty przez wejście numer pięć, Mary przez jedynekę.

Wyłączył się, zanim zdążyłem zapytać skąd wie, że Mary jest ze mną.

- Słyszałaś? - spytałem.

- Tak. Chyba rzeczywiście musimy się pośpieszyć.

- Zdaje się, że zabawa właśnie się zaczyna.

Jeszcze przed dotarciem do biura Sekcji przekonaliśmy się, jak drastycznie zmieniła się sytuacja. Wiedzieliśmy o rozkazie chodzenia z odsłoniętymi plecami, okazało się, że akcja została posunięta dalej. Po drodze zatrzymało nas dwóch policjantów. Wsiedliśmy z wozu.

- Nie ruszajcie się z miejsc! - krzyknął jeden z nich. - Żadnych gwałtownych ruchów!

Trudno było się domyślić, że byli to policjanci. Mieli na sobie tylko przepaski na biodrach i pasy z bronią, z przypiętymi odznakami.

- A teraz koleś, ściągnij spodnie! - zawołał jeden z nich. Chyba nie ruszałem się wystarczająco szybko.

- Szybciej! - warknął. - Dzisiaj zginęło już dwóch podczas próby ucieczki, chcesz być trzeci?

- Pośpiesz się Sam - powiedziała cicho Mary. Po chwili zostałem tylko w butach i rękawiczkach. Czułem się jak idiota. Ale przynajmniej udało mi się ukryć

odbiornik i pistolet. Wtedy kazali mi się odwrócić.

- Jest czysty.

Zacząłem nakładać spodenki, kiedy gliniarz popchnął mnie.

- Hej, ty! Szukasz kłopotów? Zostaw je w spokoju.

Nie mam zamiaru być zgarnięty za obrazę moralności - powiedziałem poważnie.

Najpierw spojrział na mnie zdziwiony, a potem zaczął się śmiać. Odwrócił się do swojego kumpla.

- Słyszałeś? Za obrazę moralności! Drugi gliniarz był bardziej cierpliwy.

- Słuchaj - mówił łagodnie - musisz się podporządkować. Takie są zasady. Dla mojej przyjemności możesz paradować w futrze. Za obrazę moralności nikt cię nie zwinie, a jeśli się ubierzesz Strażnicy załatwią cię, zanim się zorientujesz. Oni są strasznie szybcy w używaniu broni. - Zwrócił się do Mary. - Teraz jeśli pani pozwoli...

Mary bez słowa zaczęła zdejmować krótkie spodenki. Gliniarz jednak zatrzymał ją grzecznie.

To nie jest konieczne proszę pani. Te spodenki są tak uszyte... Proszę się tylko powoli odwrócić.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Rzeczywiście strój Mary był dość skąpy. Było oczywiste, że nie mogła niczego ukryć.

- A co z tymi bandażami? - zapytał pierwszy gliniarz, ten bardziej gwałtowny.

- Ona jest poważnie poparzona! - Zdenerwowałem się. - Nie widzicie?

Policjant popatrzył z powątpiewaniem na nieudolnie zrobione opatrunki.

- No... jeżeli rzeczywiście jest poparzona...

- Oczywiście, że jest poparzona! - Straciłem panowanie nad sobą. Jako mąż byłem idealny: nieobliczalny, jeśli chodzi o żonę. - Do diabła, człowieku popatrz na jej włosy! Czy zrobiłaby coś takiego, by cię oszukać?

- Jeden z „nich” mógłby to zrobić - powiedział policjant ponuro.

- Spokojnie Karl. Przykro mi proszę pani, musimy zdjąć te bandaże - odezwał się drugi gliniarz.

- Nie możecie tego zrobić! - wrzasnąłem. - Jedziemy do lekarza. Przecież...

- Pomóż mi, Sam - przerwała mi Mary spokojnie. Zamilkłem i zacząłem zdejmować bandaże. Ręce mi się trzęsły.

- Wystarczy, rzeczywiście nie wygląda to najlepiej. Jak myślisz Karl?



- Jasne. Przykro mi, co się pani stało, do diabła?

- Powiedz im Sam - odrzekła Mary, wciąż zupełnie spokojna.

Opowiedziałem. Policjanci słuchali uważnie.

- Udało się pani - odezwał się jeden. - Proszę się nie gniewać, ale miała pani szczęście. Więc, teraz przerzucili się na koty? Słyszałem już o psach i koniach. Ale koty? Nie pomyślałbym, że to świństwo może być na zwyczajnym kocie. - Twarz mu się nagle zachmurzyła. - Mamy w domu kota. Będę musiał się go pozbyć. Nie przypuszczam, żeby się to podobało moim dzieciakom.

- Przykro mi - wyszeptała Mary.

- Tak, to kiepskie czasy dla wszystkich. W porządku, możecie już iść.

Ruszyliśmy w kierunku wozu.

- Chwileczkę! - zawołał za nami gliniarz i zwrócił się do kumpla. - Przecież, jeśli ona pokaże się na ulicy z tymi bandażami na plecach, zabiją ją po kilku krokach.

- To prawda - odrzekł drugi. - A przecież nie może pani tego zdjąć. Musimy dla was wykombinować wóz patrolowy.

Tak też zrobili. Musiałem słono zapłacić za wynajęcie tego grata. Ale dzięki temu udało nam się bezpiecznie dostać na miejsce. Podjechałem najpierw do wejścia, którym Mary miała dostać się do biura. Żeby uniknąć podejrzeń wsiadłem do windy z Mary i wysiadłem zanim zjechaliśmy poniżej poziomu, jaki wskazywały przyciski. Bardzo chętnie pojechałbym razem z nią, ale rozkaz Starca był dość wyraźny. Miałem też ogromną ochotę założyć z powrotem spodnie. Podczas krótkiego spaceru do wozu, pod ochroną policji pilnującej, żeby nikt nie strzelił do Mary nie przejmowałem się tym. Jednak teraz miałem wyjść nago na ulicę sam. Okazało się, że moje obawy były zupełnie nieuzasadnione. Ten krótki dystans jaki miałem do pokonania przekonał mnie, że zwyczaje dotyczące ubioru uległy radykalnej zmianie. Większość mężczyzn miała na sobie tylko przepaski na biodrach i buty. Niektórzy, tak jak ja, byli w samych butach. Jednego zapamiętałem szczególnie dobrze. Stał na rogu ulicy i przeszywał zimnym spojrzeniem każdego przechodnia. Był nagi, a w rękę trzymał wielostrzałowy karabin. Na ramieniu miał przepaskę z napisem Straż.

Zanim dostałem się do biura spotkałem jeszcze takich trzech. Czułem się bardziej bezpieczny, niosąc swoje spodnie w rękę.

Niektóre kobiety były nagie. Inne miały na sobie skąpą bieliznę, często przezroczystą. Moim pierwszym wrażeniem było pragnienie, żeby większość z nich założyła togi. To, co widziałem, na pewno nie obudziłoby bestii w żadnym

mężczyźnie. Wkrótce przestałem na to zwracać uwagę. Ludzie o brzydkich ciałach nie rzucali się w oczy bardziej niż brzydkie samochody. Wydawało się, że wszyscy na ulicy przestali zupełnie reagować na nagość. Przechodzili obok siebie bez specjalnego zainteresowania. Po chwili zauważyłem, że przestała mi także przeszkadzać moja nagość. Czułem się przeźroczysty i swobodny. W końcu ciało, to tylko ciało.

Do gabinetu Starca zostałem wpuszczony natychmiast.

- Spóźniłeś się.

- Gdzie jest Mary? - zapytałem, pomijając tę uwagę.

- Zajęli się jej poparzeniami, a poza tym dyktuje swój raport. Pokaż mi ręce.

- Dzięki, ale pokażę je lekarzowi - odpowiedziałem. Nie miałem zamiaru zdejmować rękawiczek. - Lepiej powiedz mi, co się dzieje.

- Szkoda, że przez ten cały czas nie obejrzałeś ani razu wiadomości - mruknął. - Wiedziałbyś.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Byłem zadowolony, że wraz z Mary nie interesowaliśmy się wiadomościami. Gdyby było inaczej, na pewno nasz cudowny miodowy miesiąc nie udałby się. Podczas, gdy obydwójce pławiliśmy się w szczęściu i rozkoszy, wojna z pasożytami została prawie przegrana. Moje podejrzenia, że te ohydne stworzenia mogą żyć na każdej części ciała człowieka okazały się słuszne. Sprawdzono to, przeprowadzając eksperymenty w zoo, zanim jeszcze Mary i ja wybraliśmy się w góry. Nie wiedziałem wtedy o tym. Przypuszczam, że Starzec już wiedział; także Prezydent i reszta rządu.

Rozkaz chodzenia z odsłoniętymi plecami zamieniono na nakaz rozebrania się do naga.

I o dziwo wszyscy zaczęli się rozbierać i to szybko. Co zadziwiające, cała sprawa była ściśle tajna, nawet kiedy doszło już do rozruchów w Scranton. Ludzie domagali się radykalnych działań ze strony rządu, który niestety ma dziwny zwyczaj traktowania społeczeństwa jako niedorozwiniętego dziecka. Decyduje się nie mówić mu o sprawach, których może mógłby nie zrozumieć. System: Nie-Martwcie-Się-My-Wiemy-Lepiej. Moim zdaniem, to bzdura, a do tego pachnie utopią.

Rozruchy w Scranton przekonały wszystkich, że pomimo nakazu odsłaniania pleców pasożyty pojawiły się także w zielonej strefie.

Trzeciego dnia naszego miodowego miesiąca miał miejsce fałszywy alarm przeciwlotniczy. Wyłączono też dopływ prądu. Ogarnęło mnie przerażenie, kiedy pomyślałem o tych wszystkich ludziach zgromadzonych w ciasnych schronach przeciwbombowych. A pośród nich ludzkie automaty, spokojnie nakładające im na ramiona pasożyty. W niektórych schronach opanowali sto procent zebranych.

Następnego dnia rozruchy wybuchły w wielu miejscach. Na ulicach panował terror i panika. Oficjalna Straż Obywatelska została zorganizowana dopiero, kiedy jeden zdesperowany mieszkaniec Albany wycelował broń w policjanta, sierżanta Malcolma MacDonalda. Policjant zastrzelił go, ale zaraz potem sam zginął razem ze swoim władcą rozszarpany przez tłum. Ale straż naprawdę skutecznie zaczęła działać, kiedy jej organizacją zajęła się ochrona przeciwlotnicza.

Część ludzi z ochrony przeciwlotniczej uciekła w panice po wydarzeniach w schronach, ale ci co pozostali wzięli się ostro do roboty. Nadzy mężczyźni z karabinami pojawili się na ulicach. Mieli odznakę obrony przeciwlotniczej albo opaskę z napisem Straż. Strzelali bez ostrzeżenia do każdej istoty, która miała na

sobie niezidentyfikowaną narośl.

Kiedy opatrzono moje ręce i czułem się lepiej, lekarz dał zastrzyk krótko działającej substancji czasowej. Dla mnie miało to być trzy dni, choć obiektywnie trwało godzinę. Cały ten czas spędziłem, oglądałem filmy wyświetlane w przyspieszonym tempie. Nigdy nie pokazano tego urządzenia publicznie. Choć słyszałem, że było przemycane kilka razy do colleg'ów podczas sesji egzaminacyjnych. Trzeba je nastawić na subiektywną szybkość przeżywania czasu i dopasować częstotliwość dźwięków, aby były czytelne. Jest to bardzo szkodliwe dla oczu i w efekcie następuje nieznośny ból głowy, ale w moim zawodzie jest to niezbędne.

Aż trudno mi było uwierzyć, że tak wiele się wydarzyło, w tak krótkim czasie. Chociażby sprawa psów. Członkowie straży musieli zabijać psy, nawet jeśli nie miały one na sobie pasożytów. Było oczywiste, że w każdej chwili mogą stać się żywicielami i zaatakować człowieka. Niech diabli wezmą świat, w którym nie można ufać psom!

Kotów raczej nie używali, prawdopodobnie ze względu na ich niewielkie rozmiary. Biedny Pirat był wyjątkiem.

Od tej pory w zielonej strefie nie widywano psów, przynajmniej za dnia. Pod osłoną nocy przedostawały się do czerwonej strefy i tam się ukrywały. Wiadomo było jednak, że jest ich jeszcze wiele. Czasem widywano je nawet na wybrzeżu. Wszystko to przypominało trochę legendy o wilkołakach. Teraz doskonale rozumiałem lekarza ze wsi, który nie chciał przyjechać do Mary w nocy. Byłby idiotą, gdyby to zrobił.

Obejrzałem dziesiątki filmów zrobionych w czerwonej strefie. Można je było podzielić na trzy grupy. Pierwsze pochodziły z okresu masakry, kiedy pasożytom udawało się stwarzać pozory spokoju i normalności. Potem mogłem obejrzeć krótki okres propagandy, kiedy najeźdźcy próbowali przekonać mieszkańców zielonej strefy, że rząd zwariował. I najnowsze doniesienia, które pokazywały, że przestano wreszcie udawać.

Według doktora McIlvaine'a mieszkańcy Tytana nie mają nawet własnej kultury. Przejmują ją od żywicieli. Nie wiem, czy miał rację, ale w czerwonej strefie tak właśnie się zachowywali. Podtrzymywali podstawową działalność gospodarki, bo musieli przecież utrzymać przy życiu swoich żywicieli. Oczywiście dokonali pewnych zmian, ale były one przerażające. Na przykład: uśmiercali ludzi niepełnosprawnych i z ich punktu widzenia zbędnych, przetwarzając ich na nawóz.

Zazwyczaj jednak ludzie pełnili te same funkcje, co przedtem. Ale dlaczego nie porzucili ludzkich rozrywek? Czyżby pragnienie zabawy było aż tak uniwersalne? A może po prostu nauczyli się tego od ludzi? Tutaj także dokonywali przedziwnych ulepszeń. W Meksyku, podczas corridy wprowadzili dla byków przerwę na odpoczynek, jak dla matadorów.

Większość ich wspaniałych pomysłów była gorsza i przyprawiała mnie o mdłości. Nie będę tego opowiadał. Byłem jednym z niewielu, którzy widzieli te filmy, taki był mój zawód. Wolałbym jednak tego wszystkiego nie widzieć. Mam nadzieję, że Mary nie musiała na to patrzeć, chociaż podejrzewam, że gdyby nawet to widziała, to nie wspomniałaby o tym.

Jedną z ohydnych rzeczy, jaką mogłem ujrzeć był „mecz bokserski” nadany przez stację telewizyjną w czerwonej strefie. Zbudowano prawdziwy ring. Przybył komentator i dwoje zawodników. Byli także widzowie. Walczyli - kobieta i mężczyzna! To była prawdziwa jatka. Mężczyzna oczywiście zwyciężył. Swoją triumf dopełnił orgią, przy której sabat czarownic byłby niewinną zabawą.

Jednak najgorszą rzeczą jaką zobaczyłem na tych taśmach było coś, co oprócz przerażenia wprawiło mnie w zdziwienie. To było tak niegodziwe, że aż waham się o tym wspominać. Chyba jednak powinienem to zrobić. Pośród pasożytów byli ludzie, którzy pomagali im z własnej woli, zdrajcy...

Nienawidzę pasożytów, ale powstrzymałbym się od zabicia jednego z nich, gdybym mógł zabić takiego zdrajcę-człowieka. Podejrzewano, że byli to wyznawcy Szatana. Myślę, że bez względu na to, czy była to prawda, ich działanie było bliskie złu.

Wielu ludzi nie wierzyło, że istnieją kolaboranci, którzy mogliby współpracować z tymi stworami. Szkoda, że nie mogli zobaczyć tych filmów, nie mieliby wątpliwości.

Traciliśmy nadzieję. Nasze metody mogły najwyżej powstrzymać pasożytów, a i to niespecjalnie się udawało. Gdybyśmy sprowokowali bezpośrednią wojnę, walczylibyśmy z własnymi ludźmi, zrzucalibyśmy bomby na własne miasta, a i tak nie byłoby pewności, że ich zniszczymy. Potrzebowaliśmy selektywnego środka, który zabijałby pasożyty a nie ludzi. Albo przynajmniej pozbawiał żywicieli przytomności, by móc uwolnić ich od władzy. Wciąż nie mieliśmy nic takiego, chociaż naukowcy pracowali bez wytchnienia. Dzisiaj mogę stwierdzić, że doskonały byłby gaz usypiający, ale wtedy nie został jeszcze wymyślony. Może to lepiej.

Przecież mógł być wykorzystywany przeciw nam. W końcu trzeba pamiętać, że te potwory, przez cały czas, miały dostęp do wszystkich środków militarnych, jakimi dysponowały Stany Zjednoczone.

Znajdowaliśmy się prawie w sytuacji bez wyjścia, a czas pracował na ich korzyść. Jacyś idioci wpadli na pomysł, żeby zrzucić bomby wodorowe na dolinę Missisipi i zetrzeć ją z powierzchni ziemi. Świetny pomysł, jeśli boli cię ząb, odetnij sobie głowę. Byli też tacy, którzy nigdy nie widzieli pasożytów i nie wierzyli w nie. Twierdzili, że to całe zamieszanie zostało wymyślone przez szaleńców z Waszyngtonu i służy im tylko znanym celom politycznym. Nie podporządkowali się nakazowi chodzenia po ulicach nago. Najczęściej nie mieli już czasu zmienić zdania. Członkowie straży byli cholernie szybkimi strzelcami. Była też inna grupa: rozsądni i myślący obywatele, którzy uważają, że wszystko można osiągnąć za pomocą negocjacji. Chcieli zrobić „biznes” z pasożytami. Założyli specjalny komitet i wybrali spośród siebie delegację. Byli to zresztą członkowie partii opozycyjnej. Nie informując Departamentu Stanu skontaktowali się z gubernatorem Missouri i pojechali negocjować. Dostali zresztą od pasożytów gwarancję bezpieczeństwa, naiwni! Nigdy nie wrócili. Po jakimś czasie przysłali informację: „Chodźcie za nami! To nie jest takie złe.” Trzeba było szaleńca, by wierzyć, że zwierzęta mogą liczyć na układ z rzeźnikiem.

Ameryka Północna była wciąż jedynym znanym centrum inwazji wroga. Jedynym posunięciem ONZ, oprócz oddania nam stacji kosmicznych do dyspozycji, było przeniesienie się do Genewy. Tymczasem kraje członkowskie potraktowały inwazję jako nasze wewnętrzne niepokoje społeczne. Nie uważały, żeby sytuacja wymagała jakiejś interwencji z zewnątrz. Zapowiedziano nam jednak, że możemy oczekiwać pomocy jakiej zażądamy. Byliśmy w idiotycznej sytuacji. Sami nie wiedzieliśmy, czego żądać.

Cała sytuacja przypominała wojnę podjazdową. Pasożyty działały z ukrycia i z zaskoczenia. Bitwy były przegrane zanim jeszcze się o nich dowiedzieliśmy. Broń konwencjonalna okazała się praktycznie bezużyteczna. Korzystały z niej tylko patrole w strefie pomarańczowej - wciąż ziemi niczyjej. W dzień kontrolowały ją nasze patrole, w nocy przechodziły przez nią psy i inne zwierzęta, przenosząc pasożyty.

Raz jednak użyto bomby atomowej, zrzuciono ją na latający talerz, który wylądował w pobliżu San Francisco. Krytykowano to posunięcie twierząc, że powinien być oddany do zbadania. Ja należałem do tych, którzy woleli najpierw

strzelać do pasożytów, a potem sprawdzać, czy nie zostało coś, co można by zbadać.

Kiedy pigułki czasowe przestały działać, miałem w głowie obraz Stanów Zjednoczonych bardziej przygnębiający niż wtedy, kiedy penetrowałem opanowane przez pasożyty Kansas City. Był to kraj, w którym rządzi strach. Przyjaciel był gotów zabić przyjaciela, a żona męża. Każda plotka o pasożycie wywoływała panikę, na ulicach pojawił się tłum i dokonywał linczu. Pukać do kogoś w nocy oznaczało tyle samo, co prosić o śmierć. Nikt nie chodził po ulicach w nocy, obawiając się psów.

Fakt, że większość plotek o odkrywanych pasożytach była pomyłką, nie powstrzymało to rozszalałego tłumu. Nie było też nic z ekshibicjonizmu w tym, że ludzie woleli zupełną nagość od dozwolonej skąpej bielizny. Jakikolwiek ubranie ściągało na właściciela długie, podejrzane spojrzenia i często był obiektem zbyt gwałtownych reakcji. Nie noszono już metalowej ochrony na ramiona i kręgosłup, szybko bowiem okazało się, że pasożyty skopiowały je i w ten sposób były jeszcze bardziej bezpieczne. Jednym z dziwniejszych był przypadek dziewczyny z Seattle. Szła po ulicy ubrana tylko w sandały, a na ramieniu miała wielką torbę. Strażnik, który prawdopodobnie był już wyczulony na pasożyty poszedł za nią i dostrzegł, że nigdy nie zdejmuje torby zarzuconej na plecy, nawet gdy miała płacić za zakupy.

Przeżyła, chociaż strażnik odstrzelił jej dłoń, potwór którego miała w torbie nie przeżył.

Kiedy oglądałem ten film, środek uśmierzający przestał działać. Dłonie zaczęły mnie boleć nieznośnie. Zgłosiłem się do pielęgniarki.

- Proszę się nie martwić - powiedziała. - Teraz jest pan już gotów do zabiegu. Proszę rozluźnić mięśnie rąk.

Rozluźniłem się, a doktor i pielęgniarka pokryli moje dłonie nową skórą.

- Proszę zakładać rękawiczki do cięższych prac - ostrzegł lekarz. - I chciałbym to obejrzeć w przyszłym tygodniu.

Podziękowałem i poszedłem szukać Mary, która prawdopodobnie odwiedziła Sekcję Kosmetyczną.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Jak ręce? - zapytał Starzec, kiedy wszedłem do niego.

- W porządku. Na razie mam sztuczną skórę. Jutro zrekonstruują mi ucho.

Wiedziałem, że jest zdenerwowany.

- Nie wiem, czy będziesz miał czas na robienie przeszczepu. Będą musieli ci zrobić sztuczne.

- Nie ma sprawy. Ucho jest nieważne. Czyżbyś miał dla mnie jakąś robotę?

- Zobaczmy, na razie powiedz, jakie są twoje wnioski po tym, co zobaczyłeś.

- Jest niedobrze - przyznałem. - Wszyscy szpiegują się nawzajem. Trochę to przypomina Rosję. Komunistę zazwyczaj można przekupić, ale jaką łapówkę można zaproponować tym stworom?

- Hmm... - mruknął - to interesująca myśl. Ale wracając do Rosji. Jak myślisz, łatwiej byłoby nadzorować Rosję czy czerwoną strefę? Gdybyś musiał wybierać, co byś zrobił?

- Ty coś knujesz. Od kiedy to pozwalasz swoim ludziom wybierać robotę.

- Pytam ciebie tylko o opinię, jako zawodowca.

- Nie wiem - odrzekłem po namyśle, zastanawiając się jednocześnie o co mu chodzi. - Przecież nie mamy wystarczających danych. Powiedz mi, czy pasożyty są w Rosji?

- To właśnie to, czego musimy się dowiedzieć - odpowiedział.

W tym momencie przypomniałem sobie słowa Mary. Miała rację - agenci nie powinni się żenić. Jeśli to się kiedyś skończy, zajmę się czymś zdecydowanie spokojniejszym.

- O tej porze roku, mógłbym się tam dostać tylko przez Kanton - powiedziałem. - Chyba, że myślałeś o rzucie.

- Dlaczego myślisz, że chcę abyś tam pojechał? - zapytał. - Myślę, że szybciej i łatwiej można się tego dowiedzieć w czerwonej strefie.

- Jak? - Byłem zaskoczony.

- Bardzo prosto. Jeśli Rosja jest opanowana, to pasożyty żerujące tutaj muszą o tym wiedzieć. Po co mamy jechać przez pół globu?

Szybko zapomniałem o planach które już snułem. Na przykład: Hindus z żoną, podróżujący w sprawach handlowych. To był niezły sposób dostania się za kurtynę.

- Jak do diabła chcesz się teraz tam dostać? - zapytałem. - Mam założyć



plastykową imitację pasożyta? Złapią mnie przy pierwszej próbie bezpośredniego kontaktu.

- Nie bądź defetystą. Już wysłałem czterech agentów.

- I co? Wrócili?

- No niezupełnie...

- A ty chcesz, żebym był piątym? Może przyszło ci do głowy, że płacisz mi za obijanie się?

- Myśle, że tamci zastosowali złą taktykę...

- No pewnie! - zgodziłem się. - Dać się tam wysłać, to nie jest najlepsza taktyka.

- Musiałbyś przekonać pasożyty, że jesteś renegatem. Co ty na to?

Zaskoczył mnie ten pomysł. Nie odpowiedziałem od razu.

- Słuchaj, a może po prostu będę udawał burdel-mamę z Panamy? -  
wybuchnąłem - albo mordercę poszukiwanego listem gończym? To by im chyba odpowiadało, jak myślisz?

- Spokojnie - powiedział. - To mogłoby nie wyjść w praktyce...

- Słuchaj... - Już miałem mu wyjaśnić, co o tym wszystkim myślę, ale przerwał mi.

- Chociaż tobie to mogłoby się udać. Masz dużo doświadczenia w walce z pasożytami. Jesteś już wypoczęty. Tylko te twoje niewielkie poparzenia na dłoniach...  
A może jednak zrzucimy cię gdzieś pod Moskwą, przyjrzyj się wszystkiemu osobiście. Przemyśl to. Ale jeszcze przez jeden dzień możesz być spokojny.

Po chwili uspokoiłem się.

- Dzięki. Co zaplanowałaś dla Mary? - zmieniłem temat.

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Jestem jej mężem.

- No i co?

- Na miłość boską, mógłbyś chociaż życzyć nam szczęścia!

- Jasne, życzę wam wszystkiego, co najlepsze. A swoją drogą, zadziwiasz mnie, masz wszystko czego potrzebuje człowiek, żeby być szczęśliwym. Czy ty przynajmniej o tym wiesz?

- Wiem i dziękuję.

Zamyśliłem się. Przyszło mi do głowy, że Starzec mógł mieć coś wspólnego z naszymi urlopami, które tak szczęśliwie nałożyły się na siebie.

- Tato...

- Tak?

Już drugi raz w ciągu tego miesiąca tak go nazwałem, nie odbiera tego najlepiej.

- Już dawno zaplanowałeś sobie, że ja i Mary pobierzemy się?

- Nie bądź śmieszny! Wierzę w wolny wybór i ludzką wolę, synu.

- Wiem. Nie przejmuj się, nie narzekam. Ale nie lubię czuć, że ktoś decyduje za mnie, szczególnie w tak ważnych dla mnie sprawach.

- Nic takiego nie zrobiłem. Przyrzekam. Wiem tylko, że nawet w takich warunkach jak te, ludzie muszą się kochać i rodzić. Wszystko inne to dodatek.

- Tak? Więc wysłałeś dwoje agentów na urlop podczas rozgrywającej się bitwy, po to, by sobie zapewnić wnuka? - stwierdziłem.

Zmieszał się.

- Nie wiem, o czym mówisz. Należał się urlop. Reszta to przypadek.

- Takie przypadki się nie zdarzają. Ale chcę, żebyś wiedział, że jestem zadowolony z wyniku. A co do tej misji, to jeżeli rzeczywiście chcesz, żebym ją spełnił, muszę się nad tym dobrze zastanowić. Powinienem też wyleczyć to piekielne ucho.

Wracając z gabinetu zabiegowego spotkałem Mary.

- Kochanie, już po wszystkim? - krzyknąłem na jej widok uradowany.

Obróciła się powoli dookoła, bym mógł się jej przyjrzeć.

- Dobra robota, czyż nie?

Rzeczywiście, to była bardzo dobra robota. Nigdy bym nie powiedział, że jej włosy były spalone. Oczywiście na ramionach i plecach nie było śladu po oparzeniach, ale tego się spodziewałem. Najbardziej zadziwiły mnie te włosy. Dotknąłem ich z lewej strony, tam gdzie były spalone.

- Teraz twój ulubiony pistolet znalazł się znów na miejscu - powiedziałem i uśmiechnąłem się.

- Ten? - uśmiechnęła się także i w jej dłoni błysnął pistolet. Chwilę potem miała już dwa. Zupełnie nie wiem, skąd wziął się ten drugi.

- Dobre dziecko, schowaj to. Jeśli kiedykolwiek będziesz w kłopotach finansowych, zawsze możesz założyć nocny klub ze sztuczkami magicznymi, jako główną atrakcją. Ale nie próbuj tych numerów ze strzelcami straży.

- Jeden na pewno mnie nie dostanie - zapewniła mnie. Poszliśmy do klubu i

zaszyliśmy się w cichym miejscu, żeby porozmawiać. Nie zamawialiśmy żadnych drinków. Nie potrzebowaliśmy tego. Zastanawialiśmy się wspólnie nad sytuacją. Nie opowiedziałem Mary o moim nowym zadaniu. Ona, jeśli także jakieś dostała, też niczego nie zdradziła. W końcu znaleźliśmy się z powrotem w pracy. Trudno zmienić stare przyzwyczajenia.

- Mary? - zapytałem nagle. - Czy jesteś w ciąży?

- Chyba jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić, kochanie - odpowiedziała.

Patrzyła mi uważnie w oczy. - A chciałbyś tego?

- Tak.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ostatecznie zdecydowano przedostać się do czerwonej strefy i zasięgnąć informacji. Teraz jedynym naszym problemem było zagranie roli renegata. Chłopcy od analiz stwierdzili, że nie ma takiej możliwości. Ale to nie mogło powstrzymać Starca. Zastanawialiśmy się, dlaczego pasożyty ufają niektórym ludziom na tyle, że pozwalają im żyć wśród nich, bez władców. Odpowiedź nasunęła się sama. Jeśli pasożyt, władający mózgiem człowieka przekonuje się, że jest on na tyle przekupny czy niegodziwy, że zgodziłby się na współpracę bez kierowania nim przez pasożyta wtedy uwalniają go. Renegat mógł być bardziej przydatny niż żywiciel - mógł być szpiegiem wśród wolnych ludzi. Jednak najpierw pasożyty musiałyby spenetrować świadomość renegata, żeby całkowicie się upewnić, co do jego zamiarów.

Oczywiście, że było to prawdopodobne z punktu widzenia ludzkiej logiki, a pasożyty nie wykorzystują innej. Nie było więc w takiej sytuacji żadnej możliwości, żebym udawał renegata. Zostałem w ten sposób uwolniony od konieczności wyznawania Starcowi, że nie mam ochoty dać się opanować przez jednego z tych potworów. Nie nadawałem się do roli tajnego szpiega.

Mieliśmy świadomość, że pasożyty wysyłają swoje uwolnione ofiary do zielonej strefy. Ale nic nie mogliśmy na to poradzić. Jak można rozróżnić na ulicy zwykłego faceta od skończonego łajdaka?

Zdecydowano, że spróbuję się dostać za kurtynę. Rozpocząłem przygotowania. Pod hipnozą odświeżyłem znajomość języków, które mogłyby być mi potrzebne. Dowiedziałem się wszystkiego na temat mojej nowej osobowości i zostałem zaopatrzony w odpowiednią ilość pieniędzy. Wiedziałem, że szantaż i przekupstwo są charakterystyczne dla stosunków międzyludzkich Rosji.

Jeśli zostałbym zdemaskowany, miano wysłać za mną następnego agenta. Tak przypuszczałem.

Dostałem sprzęt zupełnie nowego typu. Ultramikrofalowy nadajnik i zasilacz, nie większy od filiżanki do kawy. Wszystkoostało dobrze ukryte.

Miałem wyskoczyć na terenie objętym kontrolą radarów, ale pod osłoną „okna” antyradarowego, żeby doprowadzić ich techników do szału. Będą wiedzieli, że coś zostało zrzucone, ale nie dowiedzą się, co i gdzie.

Miałem jak najszybciej dowiedzieć się, czy pasożyty opanowały Rosję i przekazać raport najbliższej bazie kosmicznej. Po złożeniu raportu powinienem na

własną rękę wydostać się stamtąd. Wszystko jedno, czy będę szedł, pełzał czy jechał, nikogo to już nie obchodziło. W końcu jednak wszystkie te przygotowania nie zostały wykorzystane. Wylądował bowiem następny latający talerz na Przełęczy Christiana.

To był dopiero trzeci statek pasożytów, który został dostrzeżony przed lądowaniem. Pierwszy, w Grinnell, udało się im ukryć, ten w Burlingame był tylko radioaktywnym wspomnieniem. Dopiero za trzecim razem udało się go wytropić. Zrobiła to baza kosmiczna Alfa, chociaż najpierw potraktowali go jako niezwyklej wielkości meteoryt. Błąd w rozpoznaniu spowodowany był jego ogromną szybkością. Dopiero później okazało się, że to jest statek kosmiczny.

Latające talerze mogą być zarejestrowane przez radary. Te stare, z lat sześćdziesiątych często je wylapywały. Ale te nowsze, usprawnione nie widziały już talerzy. Elektroniczne instrumenty stają się coraz bardziej selektywne. Widzą tylko to, do czego zostały przeznaczone. Gładki ekran radaru rejestruje wszystko, co porusza się w zakresie pewnej prędkości. Od szybkości atmosferycznej do pocisków orbitujących z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę. Ekran chropowaty ma jeszcze większy zasięg. Pokazuje pociski lecące z minimalną prędkością aż do tych, które osiągają szesnaście kilometrów na sekundę. Są inne urządzenia radarowe mające jeszcze większą selektywność, ale żadne z nich nie wychwytyje obiektów poruszających się szybciej niż szesnaście kilometrów na sekundę. Z jednym wyjątkiem w bazach kosmicznych zanotowano radary do wykrywania meteorów.

Talerz z Przełęczy Christiana dostrzeżono także podczas lądowania. Podwodny krążownik „Robert Fulton”, który wypłynął z Mobile, by patrolować czerwoną strefę był właśnie szesnaście kilometrów od Gulfport, kiedy statek kosmiczny wylądował. Pokazał się na ekranie radaru, gdy zmniejszył prędkość z osiemdziesięciu pięciu kilometrów na sekundę. Pojawił się na ekranie, wyhamował do zera i zniknął. Kapitan okrętu był zdezorientowany. Nie przypuszczał, że statki kosmiczne mogą hamować w ten sposób, przy takiej sile grawitacyjnej. Ale kiedy się wynurzył i rozejrzał, wszystko stało się jasne.

Jego pierwszy meldunek brzmiał: „Na plaży, na zachód od przełęczy Christiana wylądował statek kosmiczny.” Po chwili przekazał następny: „Podpływam do plaży. Będę walczył.”

Właśnie wtedy byłem w budynku stacji. Mój nadajnik jak zwykle o mało co, nie rozsadził mi czaszki. Usłyszałem głos Starca.

- Natychmiast do mnie! - zawołał.

Znowu byliśmy w tym samym składzie, co na początku: on, Mary i ja. Lecieliśmy na południe z alarmową szybkością, nie zwracając uwagi na bloki kontrolne. Dopiero w powietrzu opowiedział nam, co się stało.

- Więc dlaczego lecimy tam w trójkę? - zapytałem zdziwiony. - Potrzebujesz armii powietrznej?

- Już jest na miejscu - odpowiedział ponuro. A potem zobaczyłem na jego twarzy znajomy złośliwy uśmiech. - A co, nie podoba ci się praca w gronie rodzinnym?

- Jeśli tym razem mam być jej bratem, powinienes wziąć innego chłopaka - odrzekłem.

- Teraz obowiązuje ciebie tylko ta część umowy, która mówi o ochronie Mary przed psami i obcymi mężczyznami - poinformował spokojnie. - I to nie jest żart. Zdaje się, że będziesz mógł wyrównać rachunki, synu.

Chciałem go jeszcze o coś zapytać, ale odwrócił się i przyjmował meldunki. Spojrzałem na Mary.

- Witaj braciszku - zażartowała.

- Nie mów tak do mnie, bo ktoś tu oberwie - mruknąłem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca lądowania, o mały włos a zlikwidowaliby nas strzelcy. Potem dali nam eskortę do samego okrętu, z którego dowodził akcją marszałek Rexton.

Rexton zobaczył nas, wściekł się i kazał nam wracać skąd przyszliśmy. W końcu byliśmy cywilami. Jednak Starzec tak łatwo nie dał się odesłać do domu. Ostatecznie pozwolili nam wylądować na tamie niedaleko przełęczy. Walka trwała. Artyleria przeciwlotnicza waliła bez przerwy, ale w pobliżu statku kosmicznego cały czas panowała niepokojąca cisza.

Znajdował się jakieś pięćdziesiąt jardów od nas. Nie wyglądał tak zabawnie jak plastikowa makieta w Iowa. Był ogromny, miał kształt dysku i przechylał się trochę w naszą stronę. Wylądował i oparł się na starym dworku, znajdującym się blisko plaży. Przez to, że był przechylony mogliśmy zobaczyć jego górną powierzchnię. Na środku dostrzegliśmy coś, co z pewnością było komorą powietrzną. Była to metalowa półkula o średnicy trzech metrów. Nie widziałem, co ją podtrzymywało, ale przypuszczam, że znajdował się tam jakiś główny trzon. Wyglądała trochę jak zawór stożkowy.

Było jasne, dlaczego statek widząc zagrożenie nie wystartował. Komora powietrzna wyglądała na uszkodzoną - została zablokowana przez jeden z tych przypominających amfibie małych czołgów, jakie miał na swoim wyposażeniu „Fulton”. Później dowiedziałem się, że dowodził nim podporucznik Gilbert Calhoun, a załogę tworzyli: Florense Berzowski - ładowniczy i strzelcy: T. Broocker, W Johnson. Wszyscy oczywiście zginęli podczas tego ataku na statek.

Kiedy wylądowałem, natychmiast otoczyło nas wojsko. Dowodził jakiś młody chłopak, który najwyraźniej miał za dużo energii. Nie pozwolił nam zbliżyć się do talerza, dopóki nie uzyskał zgody z pokładu „Fultona”. Nie czekaliśmy długo, zważywszy że Rexton prawdopodobnie konsultował się z Waszyngtonem.

Czekając na pozwolenie, przyglądałem się bitwie. Byłem szczęśliwy, że nie biorę w niej udziału. Zginęło wielu ludzi. Tuż obok naszego wozu leżało ciało chłopca, miał najwyżej czternaście lat. Wciąż ścisnął wyrzutnię raketową, a na ramionach czerwienił się ślad po pasażerze. Potwora jednak nigdzie nie było.

Zastanawiałem się czy zdycha gdzieś, czy też udało mu się przerzucić na tego, który przebił chłopca bagnetem.

W czasie, kiedy ja przyglądałem się ciału, Mary z oficerkiem wyszła na autostradę. Pomyślałem, że przecież równie dobrze ten pasożyt może gdzieś tu być i czeka na ofiarę.

- Wracaj do wozu! - wrzasnąłem do niej. Podeszła do mnie. Spojrzała jeszcze raz na zachód.

- Myślałam, że będę mogła trochę postrzelać.

- Tu jest bezpiecznie - uspokoił mnie oficer - trzymamy ich kawałek od drogi.

Słyszałaś co powiedziałem, ty mała żądna krwi diablico? Wracaj do wozu, bo ci połamię kości. - Byłem wściekły.

- Dobrze Sam - zgodziła się Mary spokojnie i skierowała się do wozu.

Popatrzyłem na młodego dowódcę.

- Co się tak gapisz? - zapytałem opryskliwie. Czulem smród pasożytów i to czekanie wyprowadzało mnie zupełnie z równowagi.

- Tak sobie - odparł, przyglądając mi się uważnie. - Tam, skąd pochodzę nie traktuje się kobiet w ten sposób.

- To wracaj do cholery tam, skąd pochodzisz i nie denerwuj mnie! - warknąłem i ruszyłem w kierunku wozu.

Z zachodu nadjechała karetka i zahamowała tuż obok mnie.

- Czy droga do Pascaguola jest już otwarta? - zapytał kierowca.

Rzeka Pascaguola oddalona była o pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie wylądował talerz. Miasto o tej nazwie leżało u ujścia rzeki i znajdowało się już w zielonej strefie. Natomiast sto kilometrów na zachód od nas leżał Nowy Orlean - największe skupisko pasożytów w St. Louis.

- Nie wiem - powiedziałem do kierowcy. Chyba trochę się zmartwił, podrapał się po głowie.

- No cóż, przejechałem raz, może uda mi się dostać tam z powrotem.

Nie zwróciłem uwagi, kiedy odjechał. Szukałem Starca.

Walka na ziemi odbywała się daleko od nas, ale samoloty przelatywały prawie nad naszymi głowami. Zastanawiałem się, jak oni się rozpoznają. Przecież z daleka nie widać, czy ktoś ma na plecach pasożyta, czy nie.

Wreszcie spostrzegłem Starca. Rozmawiał z dowódcą. Podeszedłem do nich.

- Powinniśmy się stąd wynosić, szefie. Mieli zbombardować to miejsce już dziesięć minut temu - wysapałem.



- Spokojnie - odpowiedział dowódca - to się nie stanie. Już chciałem go zapytać skąd ma takie szczegółowe informacje, ale powstrzymałem się.

- Ona ma rację, synu - odezwał się Starzec. Wziął mnie za ramię i poszliśmy w kierunku wozu. - Ma rację, tylko nie wie, dlaczego.

- Wyjaśnij to.

- Zastanów się, dlaczego nie zbombardowaliśmy miast, które są w ich rękach? Oni nie zniszczą tego miejsca, bo tutaj jest statek. I to jego nie chcą zniszczyć, pragną go odzyskać. Wracaj do Mary i uważaj na nią.

Nie pytałem już o nic, ale nie czułem się przekonany. Raczej spodziewałem się ataku bombowego. Pasożyty walczyły dość lekkomyślnie. Może dlatego, że nie były jednostkowymi istnieniami? Nie zależało im na życiu. Dlaczego więc miałyby im zależeć na jednym statku? Myślę nawet, że wolałyby go zniszczyć, niż dopuścić, by dostał się w nasze ręce.

Właśnie podchodziłem do wozu, kiedy do Starca podbiegł zdyszany oficer.

Dowódca kazał mi powtórzyć, że może pan robić, co uważa za konieczne, i że mamy zapewnić panu każdą pomoc.

Z jego zachowania wynikało, że ten rozkaz wydano z Waszyngtonu.

- Dziękuję, panie poruczniku - powiedział spokojnie Starzec. - Chcemy tylko przeszukać ten statek.

- Tak jest. Proszę za mną.

Ale to on poszedł za nami. Wahał się czy eskortować Starca, czy Mary. Zdecydował się na Mary. Ruszyłem na końcu, starając się mieć wszystko na oku. Wybrzeże dookoła porośnięte było właściwie dżunglą. Talerz utknął właśnie w gąszczu roślin. Starzec zdecydował się iść na skróty.

- Proszę uważać - ostrzegł oficer - i ostrożnie stawiać stopy.

- Pasożyty? - zapytałem.

- Wężę.

W tym momencie każdy, najbardziej jadowity wąż wydawał mi się słodkim zwierzątkiem. Ale idąc dalej, patrzyłem pod nogi.

Usłyszałem krzyk, trzask gałęzi i nagle wybiegł prosto na nas rozszalały tygrys. Pierwsza strzeliła Mary. Ja wypaliłem razem z młodym oficerem. Ostatni był Starzec. Chyba wszystkim udało się trafić. Bestia padła bez życia. Ale pasożyt na niej był nietknięty. Podszedłem i zastrzeliłem go. Oficer popatrzył bez zdziwienia.

- A ja myślałem, że tę partię wykończyliśmy.

- O czym ty mówisz?

- To był jeden z pierwszych transportów jakie przysłali. To wyglądało prawie jak Arka Noego. Musieliśmy strzelać do wszystkiego, od goryli po niedźwiedzie polarne, a nawet bawoły.

- To straszne - wyszeptała Mary.

- To nie było najgorsze - najtrudniej jest z psami - powiedział oficer. Kiedy spojrzałem na niego, dostrzegłem, że patrzy na pasożyta zupełnie nie poruszony.

Szybko poszliśmy dalej i po chwili stanęliśmy przed statkiem. Wcale mnie to nie uspokoiło. Przeciwnie, czułem coraz większe podniecenie.

W wyglądzie statku było coś przerażającego. Od razu zorientowałem się, że nie wykonali go ludzie. Dlaczego? Sam nie wiem. Jego powierzchnia była zbyt gładka i lśniąca. Nie było na niej żadnego zadrapania, żadnego śladu łączenia poszczególnych elementów. Wyglądała zupełnie jak powierzchnia lustra. Nie potrafiłem także powiedzieć z czego talerz został wykonany. Z metalu? Wyglądał jakby był bardzo zimny, albo straszliwie gorący. Dotknąłem go i nie poczułem nic, ani ciepła, ani zimna. Nagle przyszło mi coś do głowy. Przecież przy takiej wielkości, lądując powinien pozostawić jakieś ślady dookoła. Ale nie, wszędzie w pobliżu rosły krzewy i drzewa, żadne z nich nie zostało uszkodzone.

Zbliżyliśmy się do komory powietrznej. Została uszkodzona przez czołg, który znajdował się obok i był zgnieciony jak tekturowe pudełko. Te pojazdy są przystosowane do schodzenia sto pięćdziesiąt metrów pod wodę - są naprawdę mocne.

- Zostań tutaj z Mary - zwrócił się do mnie Starzec.

- Chcesz tam wejść?

- Tak. Możemy mieć bardzo mało czasu.

- Pójdę z panem. Taki był rozkaz - odezwał się oficer,

- Bardzo dobrze - zgodził się Starzec. - Chodźmy. Zajrzał do środka, ukląkł i po chwili zniknął we wnętrzu statku. Oficer poszedł za nim. Byłem wściekły, ale wiedziałem, że nie było sensu protestować.

- Nie podoba mi się to. Boję się - powiedziała Mary.

Zaskoczyło mnie to. Sam się bałem, ale nie przypuszczałem, że ona także.

- Nie bój się, jestem przy tobie.

- Czy musimy tutaj zostać? Starzec nic o tym nie mówił - zapytała.

Zastanowiłem się.

- Jeśli chcesz wrócić do wozu, odprowadzę cię - zdecydowałem.
- Nie... myślę, że powinniśmy jednak tu zostać. Przysuń się do mnie bliżej.

Objąłem ją, drżała.

Nie wiem jak długo ich nie było. Czas dłużył się w nieskończoność. Wreszcie wyszedł oficer. Potem zobaczyłem Starca.

- Chodźcie - zawołał do nas - chyba nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Oficer miał zostać na zewnątrz.

- Do diabła... - mruknąłem, wcale nie miałem ochoty tam wchodzić. Ale nie znalazłem innego rozwiązania. Mary zaczęła już wchodzić.

- Uważajcie na głowę, pełno tu niskich, wąskich korytarzy i pomieszczeń - ostrzegł nas. To oczywiste, że pozaziemskie istoty budują pozaziemskie obiekty. Niewielu ludzi widziało, na przykład: labirynty budowane przez mieszkańców Wenus, jeszcze mniej mogło zobaczyć ruiny na Marsie. Ja to wszystko widziałem. A jednak wewnątrz statku mnie zaskoczyło. Nie wiem, czego się spodziewałem. Pozornie w środku było normalnie, a jednak coś mnie niepokoiło. Patrzyłem na to oczami człowieka i oceniałem ludzkim umysłem. To, co ujrzałem, było jednak stworzone przez pozaziemskie umysły, umysły, które albo nigdy nie słyszały o liniach i kątach prostych, albo ich nie potrzebowały. Znajdowaliśmy się w małym spłaszczonym pomieszczeniu i stamtąd czołgaliśmy się rozświetlonym na czerwono tunelem, o grubych ścianach, który prawdopodobnie prowadził do właściwego statku. Tunel wydzielał dziwną i przygnębiającą woń przypominającą gaz błotny. Mieszała się z odorem martwych ciał pasożytów. To wszystko powodowało, że czołgając się miałem wrażenie, że jestem we wnętrzu jakiegoś wielkiego potwora. Nie wpływało to najlepiej na moje samopoczucie.

Nagle tunel się rozgałęził i zobaczyliśmy na podłodze ciało stworzenia z Tytana. Leżał na plecach i przypominał trochę śpiące dziecko. Głowę miał ułożoną na pasażerze jak na poduszce. Na twarzy rysował się delikatny uśmiech. Wcale nie wyglądał na martwego.

Na pierwszy rzut oka łatwiej było dostrzec podobieństwa między nim, a człowiekiem. Zazwyczaj na to, co widzimy wpływa świadomość tego, co chcemy zobaczyć. Przecież nie wiedziałem, czy te jego małe usta, to organ oddechowy.

Ale kiedy przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem jak bardzo różni się jego ciało od ludzkiego. Dziwna istota mogła kojarzyć się z Elfami. Elf z księżycy Saturna. Na wszelki wypadek wyciągnąłem pistolet.

- Spokojnie, on nie żyje - powstrzymał mnie Starzec. - Wszyscy są martwi.  
Udusili się tlenem, kiedy czołg uszkodził komorę powietrzną.

Nie schowałem jednak broni.

- Chcę zabić tego pasożyta - krzyknąłem - może być jeszcze żywy.

Ten był inny, niż te do których ostatnio przywykliśmy. Nie miał twardej pokrywy na ciele, był nagi i obrzydliwy.

- Nie musisz, on też jest na pewno martwy. Nie może żyć na żywicielu oddychającym tlenem.

Przeczołgał się do tej małej istoty, nie dając mi możliwości strzału, nawet gdybym się zdecydował. Mary zazwyczaj szybka w wyciąganiu broni, tym razem nie myślała o tym. Przyłgnęła do mnie i szlochała. Starzec zatrzymał się.

- Idziesz Mary? - zapytał.

- Chodźmy stąd. Chcę się stąd wydostać - zaszlochała.

- Ona ma rację - powiedziałem - nie mamy tu nic do roboty. Tutaj potrzebni są ludzie ze specjalistycznym sprzętem.

Nie zwrócił na mnie uwagi.

- Musimy to zrobić, Mary. Wiesz o tym. Musisz to zrobić.

- Dlaczego akurat ona? - Byłem wściekły i niewiele rozumiałem.

Starzec znowu mnie zignorował.

- Mary, musisz! - przemówił do niej z naciskiem.

Wiadć było, że Mary próbuje się pozbierać. Odetchnęła głęboko, jej twarz wyglądała już spokojnie. Zaczęła się czołgać za Starcem. Ruszyłem za nimi z pistoletem w pogotowiu, chociaż krępował mi ruchy.

Dotarliśmy do większego pomieszczenia. Możliwe, że była to kabina nawigacyjna. Leżało tam pełno martwych ciał niewielkich istot. Wkłęśłe ściany pomieszczenia oświetlały lampy jaskrawym blaskiem. Na powierzchni ścian zachodziły jakieś dziwne procesy. Przypominało to wszystko trochę wnętrze mózgu i znów poczułem, że znajduję się w środku ogromnego organizmu.

Starzec podszedł do następnego tunelu i zaczął do niego wpełzać. Ruszyliśmy za nim. Znow ściany korytarza zalało to czerwone światło. Droga wiła się, a Starzec wciąż szedł do przodu. Tunel powiększał się, w końcu miał ze trzy metry szerokości. Prawie mogliśmy się wyprostować. Moją uwagę zwrócił fakt, że ściany nie były już pochyle. Za to stały się przezroczyste i przypominały coś, na kształt wielkiego akwarium. W nim, w przezroczystych membranach pływały, wiły i unosiły się na

powierzchni pasożyty. Było ich tysiące. Każdy ze zbiorników oświetlano od wewnątrz. Patrzyłem na tę pulsującą masę i chciało mi się krzyczeć. Cały czas trzymałem pistolet gotowy do strzału. Starzec podszedł do mnie i położył rękę na lufie.

- Nie rób tego - wyszeptał. - Nie chcesz ich chyba wypuścić? Te są przeznaczone dla nas.

Spojrzałem na Mary. Wyglądała jakby nie była do końca świadoma tego, gdzie jest i co widzi. Popatrzyłem jeszcze raz na to upiorne akwarium.

- Chodźmy stąd. Niech to zbombardują, tak żeby zniknęło z powierzchni ziemi - powiedziałem nerwowo.

- Jeszcze nie - odparł Starzec cicho. - Chodźmy dalej.

Znowu poruszaliśmy się w tunelu, który zwęził się i musieliśmy się czołgać. Po chwili znaleźliśmy się w następnym pomieszczeniu. Było trochę mniejsze, ale ściany stanowiły szyby akwarium. Nagle krzyknąłem z przerażenia. Musiałem spojrzeć raz jeszcze, by uwierzyć w to, co zobaczyłem. W akwarium pływało ciało człowieka! To była istota ziemską, mężczyzna może czterdziestoletni. Ręce miał złożone na piersiach i podciągnięte do góry kolana. Wyglądał jakby spał. Patrzyłem na niego i czułem jak rośnie moje przerażenie. On nie był sam. Tam pływały bezwładnie pełno ludzi - kobiety, mężczyźni, dzieci... Przyjrzałem się jeszcze raz mężczyźnie i wtedy zobaczyłem, że porusza ustami... On żył!

Mary w tym czasie zachowywała się bardzo dziwnie. Miotła się po pomieszczeniu jakby była pijana, albo czymś odurzona. Podchodziła do ścian, dotykała ich, widziałem też, że porusza ustami. Nie wiedziałem, co się z nią dzieje. Starzec patrzył tylko na nią.

- I jak Mary? - zapytał łagodnie.

- Nie mogę ich znaleźć... - powiedziała łagodnie. Jej głos brzmiał jak głos małej dziewczynki. Nagle zerwała się jakby chciała uciekać. Starzec chwycił ją za ramię.

- Może szukasz w niewłaściwym miejscu - powiedział stanowczo. - Wróć i poszukaj jeszcze raz. Spróbuj sobie przypomnieć.

- Nie pamiętam... - Mary prawie jęczała.

- Musisz sobie przypomnieć! To jedyna rzecz jaką możesz dla nich zrobić. Musisz ich szukać.

Mary zamknęła oczy, po jej policzkach płynęły łzy. Łkała cicho. Stała

między nimi.

- Przestań! Co ty jej zrobiłeś? Odepchnął mnie.

- Nie synu - zawołał - trzymaj się z daleka. Nie możesz się do tego wtrącać.

- Ale...

- Nie! - Puścił Mary i zaprowadził mnie w kąt pomieszczenia. - Zostań tutaj! I jeśli naprawdę kochasz swoją żonę, a nienawidzisz pasożytów, nie wtrącaj się. Nie zrobię jej krzywdy, obiecuję ci.

- Co masz zamiar zrobić? - Nie odpowiedział, odwrócił się i podszedł do Mary. Byłem wściekły, ale zostałem na miejscu. Nie chciałem się wtrącać do czegoś, czego nie rozumiałem.

Mary osunęła się na podłogę. Siedziała tak z twarzą ukrytą w dłoniach. Stary ukląkł i dotknął jej delikatnie.

- Spróbuj wrócić tam gdzie to wszystko się zaczęło - mówił cicho.

Usłyszałem szept Mary.

- Nie...nie...

- Ile miałaś wtedy lat? Wyglądałaś na siedem lub osiem lat kiedy cię znaleźli.

Co było przedtem?

- Tak... tak, to było przedtem zanosła się płaczem i upadła na podłogę. -  
Mamo! Mamusiu!

- Co mówi twoja mama? - zapytał Starzec łagodnie.

- Nic nie mówi, patrzy na mnie tak dziwnie. Ona ma coś na plecach. Tak bardzo się boję. Boję się...

Podbiegłem do nich. Starzec cały czas patrząc w oczy Mary, pokazał mi, żebym się cofnął. Zawahałem się.

- Wracaj! - rozkazał. - Odejdź! Posłuchałem.

- Tam był statek... wyszeptala Mary. - Wielki błyszczący statek.

Starzec przekazał coś Mary, ale nie słyszałem ich. Odsunąłem się aby nie przeszkadzać. Ufałem, że nie zrobi jej żadnej krzywdy. Czułem, że dzieje się coś ważnego. Starzec ciągle mówił do Mary kojąco, ale stanowczo. Mary odzywała się coraz ciszej, aż w końcu wydawało się, że zapadła w letarg. Słyszałem, że wciąż odpowiada na pytania Starca. Po chwili jakby się obudziła i zaczęła mówić bardzo szybko, nie mogąc opanować emocji.

Usłyszałem, że ktoś idzie tunelem. Odwróciłem się i wycelowałem. Już miałem strzelać, kiedy okazało się, że to młody oficer.

- Musicie wychodzić i to szybko - zawołał, był zdenerwowany.

Starzec prawie wpadł w szal.

- Zamknij się pan i nie przeszkadzaj mi - krzyknął.

- Musicie! - upierał się oficer. - To rozkaz dowódcy. Cofamy się. W każdej chwili mogą zbombardować to miejsce. Jeśli nie wyjdziecie natychmiast, może być po nas.

- Dobrze - odrzekł Starzec już spokojnie. - Powiedz swojemu dowódcy, że musi poczekać, aż stąd wyjdziemy. Posiadam informacje wagi państwowej. Idź już! A ty synu pomóż mi z Mary.

- Tak jest! Tylko proszę się pośpieszyć - zawołał jeszcze oficer i zniknął w tunelu.

Wziąłem Mary na rękę i zanieśliem do tunelu. Wyglądała na nieprzytomną. Położyłem ją.

- Będziemy musieli ją ciągnąć - wysapał Starzec. - Może jeszcze być w szoku przez jakiś czas. Położę ci ją na plecach, spróbuj czołgać się razem z nią.

Nie zwróciłem na niego uwagi. Potrząsałem ramieniem Mary.

- Mary! - krzychałem. - Mary, słyszysz mnie? Otworzyła oczy.

- Tak, Sam?

- Kochanie, musimy się stąd wydostać, szybko. Pójdiesz sama?

- Tak, spróbuję - odpowiedziała i zamknęła oczy. Potrząsałem nią znowu.

- Mary!

- Tak kochanie? Co się stało? Czuję się taka zmęczona.

- Słuchaj Mary, musimy stąd wyjść. Jeśli tego nie zrobimy dopadną nas pasożyty, rozumiesz?

- Tak, kochanie.

Tym razem nie zamknęła oczu, ale jej spojrzenie było wciąż nieprzytomne. Popchnąłem ją w kierunku wyjścia i ruszyłem za nią. Czołgała się bardzo powoli i czasem zatrzymywała się. Doszliśmy do miejsca, gdzie martwe ciało Elfa zatarasowało przejście, prześlizgnąłem się obok niej i odsunąłem je. Ruszyliśmy dalej.

Droga powrotna dłużyła się i czułem się jak w koszmarnym śnie. Wreszcie z potwornym wysiłkiem udało się nam dotrzeć do wjazdu. Oficer pomógł nam wyciągnąć Mary. Potem podsadziłem Starca i wyszedłem sam. Wokół było już zupełnie ciemno. Wracaliśmy koło ruin domu, na którym wylądował statek. Potem,

nie zatrzymując się zeszliśmy w dół do drogi. Naszego wozu już tam nie było. Szybko wsadzili nas do czołgu. W samą porę, bo bitwa toczyła się już prawie obok nas. Ruszyliśmy szybko do wody, a po chwili znaleźliśmy się na pokładzie „Fultona”.

Godzinę później zeszliśmy na ląd w Mobile. Na okręcie Starzec i ja dostaliśmy kawę i kanapki, kobiety zabrały Mary do swojej kajuty i zajęły się nią. Kiedy schodziliśmy na ląd, Mary przyłączyła się do nas. Wyglądała już normalnie.

- Jak się czujesz kochanie? - zapytałem.

- Dobrze. A dlaczego pytasz? - zdziwiła się.

Z Mobile zabrali nas małym samolotem dowództwa pod eskortą. Przypuszczałem, że lecieliśmy do biura Sekcji, albo do samego Waszyngtonu. Nie pytałem jednak. Starzec nie wyglądał na chętnego do rozmowy, a ja byłem wystarczająco zadowolony, że trzymam za rękę przytomną już Mary.

Pilot wysadził nas na stoku górskim, w jakimś hangarze. Wykonał przy tym jakiś karkołomny manewr z ogromną szybkością. Ale wylądował bezpiecznie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

Starzec nie zwrócił uwagi na moje uwagi i wysiadł. Mary i ja podążyliśmy za nim. Hangar był niewielki. Miał miejsce do lądowania i parking na kilkanaście maszyn. Oprócz naszej stały tam jeszcze dwie. Podeszło do nas dwóch wartowników, którzy kazali nam pójść w głąb hangaru i tam wejść w drzwi wykute w litej skale. Weszliśmy tam. Znaleźliśmy się w hallu. Głos z nadajnika w ścianie kazał się nam rozebrać. Nie lubię, kiedy kaza mi rozstawać się z nadajnikiem i pistoletem.

Weszliśmy dalej, tam powitał nas młodzieniec ubrany tylko w przepaskę ze stopniem wojskowym. Przekazał nas dziewczynie, która miała jeszcze węższą przepaskę niż on, ale z wyższym stopniem. Obydwoje zwrócili szczególną uwagę na Mary, oczywiście każde na swój sposób.

- Otrzymał pan meldunek - powiedziała pani kapitan. - Doktor Steelton czeka.

- Dziękuję - odpowiedział Starzec. - Lepiej późno niż wcale. Gdzie?

- Chwileczkę - poprosiła. Podeszła do Mary i przeczesła palcem jej włosy. - Musimy być pewni.

Nawet jeśli zorientowała się, że większość włosów Mary jest sztuczna nie dała tego po sobie poznać.

- W porządku - zdecydowała - chodźmy.

- Dobrze - zgodził się Starzec i odwrócił się do mnie. - Ty synu zostaniesz



tutaj.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Bo niewiele brakowało, a zepsułbyś wszystko ostatnim razem - wyjaśnił krótko i twardo. - I nie dyskutuj.

Kantyna oficerska jest na dole, pierwszy korytarz na lewo. Może pan tam zaczekać - zwróciła się do mnie pani kapitan.

Poszedłem więc do kantyny. Po drodze minąłem drzwi przyozdobione ogromną trupa czaszką i informacją: „Uwaga! Za tymi drzwiami znajdują się żywe pasożyty!” Pod spodem był dopisek: „Wstęp tylko dla przeszkolonych pracowników, użyć procedury A”. Ominąłem je szerokim łukiem.

Mesa była zwykłym klubem. Siedziało tam chyba ze czterech mężczyzn i dwie kobiety. Nikt nie wydał mi się szczególnie interesujący, więc znalazłem sobie spokojne miejsce. Właśnie zastanawiałem się kim trzeba być, żeby dostać tu drinka, kiedy podszedł do mnie jakiś wysoki ekstrawertyk z insygniami pułkownika zawieszonymi na łańcuszku. Oprócz tego miał przyczepiony na szyi medal św. Krzysztofa i numer identyfikacyjny.

- Nowy? - zapytał. Potwierdziłem.

- Cywilny specjalista?

- Nic nie wiem o żadnych specjalistach, jestem agentem.

- Jak się pan nazywa? Przepraszam, że jestem natrętny.

Jestem tu oficerem od spraw bezpieczeństwa - usprawiedliwił się. - Moje nazwisko Kelly.

Przedstawiłem się. Kiwnął głową.

- Widziałem jak wchodziliście do statku. Co pan powie na drinka?

- Dziękuję, chętnie.

- Jak przekonałem się - wyznał po chwili Kelly - oficer od bezpieczeństwa jest tu potrzebny jak koniowi wrotki. Ja przecież nie mogę tu nic zrobić. To nie jest niebezpieczeństwo spowodowane przez ludzi, to stwory z kosmosu.

Powiedziałem mu, że ci wszyscy z „góry” nie za bardzo w to wierzą.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Synu, oni tak naprawdę w nic nie wierzą. I nie są tacy, jakimi się ich przedstawia.

Wspomniałem, że spotkałem marszałka Rextona i wydawał mi się niegłupim facetem.

- Zna go pan? - zapytał zdziwiony.

- Właściwie to nie. Zetknąłem się z nim służbowo. Ostatnio widziałem go dzisiaj rano.

- No tak - powiedział - ja go nie poznałem osobiście. Widzę, że jest pan bardziej ustosunkowany niż ja.

Próbowałem mu wyjaśnić, że to był tylko przypadek, ale i tak od tej pory traktował mnie z większym szacunkiem. Opowiedział mi też o doświadczeniach przeprowadzanych w laboratorium.

- Dowiedzieliśmy się o tych stworzeniach mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, ale nadal nikt nie wie, jak zabić pasożyta, nie robiąc krzywdy żywicielowi. Oczywiście - mówił podniecony - moglibyśmy zwabić ich do zamkniętego pomieszczenia, stosować narkozę i w ten sposób ratować żywicieli. Ale to jest jak w tym, starym powiedzeniu o łapaniu ptaków. To nie będzie trudne, jeżeli będziesz miał tyle sprytu, by nasypać mu soli na ogon. Jestem tylko gliną, synem gliny... Poprzączepiali mi jakieś etykiety, bez znaczenia... Ale rozmawiałem tu z naukowcami i wiem, czego potrzebujemy. To jest wojna biologiczna i tylko bronią biologiczną możemy zwyciężyć. Potrzebujemy jakiejś zarazy, która zabijałaby pasożyty, a nie żywicieli. Wiemy o setkach chorób, które mogą wykończyć pasożyty: ospa, syfilis, zapalenie mózgu, wirus Obermayera, tyfus, żółta febra... I co z tego - każda z nich zabija także człowieka.

Nie moglibyśmy użyć tego, na co wszyscy są uodpornieni? - zapytałem. - Na przykład: tyfus, albo ospa. Są przecież szczepionki.

Nie da rady. Jeśli żywiciel będzie uodporniony, zarazki nie ruszą pasożyta. Teraz, kiedy pasożyty mają tę zewnętrzną osłonę całym ich środowiskiem jest żywiciel. Potrzebne, jest coś, co zabije tego potwora, a u człowieka spowoduje najwyżej podwyższoną temperaturę.

Chciałem jeszcze coś zasugerować, ale w drzwiach zobaczyłem Starca. Przeprosiłem i podszedłem do niego.

- Pewnie próbował coś od ciebie wyciągnąć? - zapytał Starzec.

- Nie próbował.

- To ty tak myślisz. Wiesz kim jest Kelly?

- A powinienem?

- Chyba tak. A może nie. On nigdy nie pozwala się fotografować. To BJ.Kelly, największy specjalista od kryminologii.

- Ten Kelly! Ale przecież on nie jest wojskowym.

- Pewnie w rezerwie. Ale teraz możesz się już domyślić, jak ważne jest to laboratorium. Chodźmy.

- Gdzie jest Mary? - zapytałem.

- Nie możesz się z nią teraz zobaczyć. Dochodzi do siebie.

- Czy... coś się stało?

- Obiecuję ci, że nic jej nie będzie. Steelton jest najlepszy w tej dziedzinie.

Musieli dotrzeć głęboko, a ona bardzo się broniła. To zawsze źle wpływa na osobę badaną.

Zastanowiłem się.

- Czy wiesz już to, co chciałeś wiedzieć?

- I tak i nie. Wiemy dużo, ale to jeszcze nie wszystko.

- Czego właściwie szukasz?

Szliśmy powoli jednym z niekończących się podziemnych korytarzy. Starzec zaprowadził mnie do małego biura. Usiedliśmy wygodnie. Starzec włączył nadajnik na biurku.

- Prywatna konferencja. Proszę mi nie przeszkadzać - powiedział.

- Tak jest, sir - usłyszałem głos - nie będziemy nagrywać. Na pulpicie włączyło się zielone światelko. Wiedziałem, że wreszcie się czegoś dowiem.

- Nie dowierzam im - zaczął Starzec. A już Kelly na pewno nie powstrzyma się od podsłuchiwania. Teraz synu, powiem ci to, co pewnie chcesz wiedzieć już od jakiegoś czasu.

Wierzę, że potrafisz to zrozumieć. Ożeniłeś się z dziewczyną, ale nie wiesz o niej wszystkiego. Nawet ona wielu rzeczy jeszcze nie wie. A może raczej nie pamięta.

Milczałem. Starzec patrzył na mnie, a w jego oczach dostrzegłem troskę.

Postaram się powiedzieć tyle, żebyś zrozumiał. Inaczej mógłbyś pytać o to Mary, a to nie byłoby dla niej najlepsze. Nie chciałbym, żebyś nieświadomie ją skrzywdził, mówiąc o czymś, co może ją boleć. Chociaż wątpię, żeby cokolwiek pamiętała. Steelton jest świetnym specjalistą. Jednak prosiłbym, żebyś z nią o tym nie rozmawiał.

Odetchnąłem głęboko, byłem naprawdę zdenerwowany.

Więc opowiem ci trochę, a potem jeśli będziesz chciał coś jeszcze wyjaśnić, pytaj. Ale musisz mi obiecać, że nie powiesz o tym wszystkim Mary.

- Dobrze, obiecuję.

Była kiedyś pewna grupa ludzi, można ich nazwać sektą. Popadli w niełaszkę i okryli się hańbą...

- Wiem, Whitemanici - wtrąciłem się.

- Skąd wiesz? - zdziwił się. - Od Mary? Nie, ona nie mogła wiedzieć.

- Nie od Mary. Sam do tego doszedłem. Popatrzył na mnie z uznaniem.

- Możliwe, że cię nie doceniłem synu. Więc Mary była jedną z nich. Jako dziecko żyła na Antarktyce...

- Chwileczkę - zawołałem - przecież oni opuścili Antarktykę w... - Nerwowo próbowałem sobie przypomnieć. - W 1974.

- Tak.

- Przecież w takim razie Mary miałyby teraz przynajmniej czterdzieści lat. To niemożliwe.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- No, nie ale przecież to zupełnie niemożliwe.

- Teoretycznie nie, ale tak jest. Posłuchaj. Chronologicznie Mary ma rzeczywiście prawie czterdzieści lat. Biologicznie ma około dwudziestu, a właściwie nawet mniej, bo nie pamięta nic sprzed 1990.

- Nie rozumiem. Mogę pojąć to, że nie pamięta. Wiem, że nigdy nie chce pamiętać. - Ale cała reszta?

- Jest właśnie tak jak powiedziałem. Pamiętasz to pomieszczenie z akwariami, tam zaczęła sobie przypominać. Ona przez dziesięć lat, a może więcej pływała w takim zbiorniku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Minęło trochę czasu, zanim doszedłem do siebie. Chyba z wiekiem wcale nie staję się twardszy. A może miało z tym coś wspólnego to, że byłem zakochany. Kiedy pomyślałem o mojej drogiej Mary unoszącej się w sztucznym łonie, ani żywej, ani martwej jak zasuszony motyl, byłem przerażony. To było zbyt wiele, jak dla mnie.

Jakby z oddali usłyszałem głos starca.

- Spokojnie synu. Nic jej się tam nie stało.

- Mów dalej - poprosiłem.

Historia Mary była prosta. Wciąż jednak pozostało wiele luk i niewytłumaczonych zdarzeń. Znaleziono ją na bagnach w pobliżu Kaiserville, na północnym biegunie Wenus. Mała dziewczynka, która nie wiedziała nic o sobie, знаła tylko swoje imię: Allucgere. Nikt nie zwrócił uwagi na brzmienie tego imienia, tym bardziej, że w (pozornym) wieku nie mogła się nikomu skojarzyć z pogromem Whitemanitów. Statek z zaopatrzeniem wysłany w 1980 do Nowego Syjonu, ich kolonii, nie odnalazł nikogo, kto by przeżył. Od tego dziecka dzieliło ich dziesięć lat i ponad dwieście kilometrów dżungli.

W tamtych czasach ziemskie dziecko, nie wiadomo dlaczego znajdujące się na Wenus, do tego odnalezione w tak dziwnych okolicznościach, było niewiarygodną sensacją. A jednak nie znalazł się nikt, kto wtedy chciałby to wyjaśnić. Kaiserville nie ma najlepszej reputacji. Wtedy mieszkali tam tylko górnicy, dziwki i przedstawiciele korporacji. Zresztą może gdybym przez cały dzień przerzucał łopatą radioaktywny pył, też bym się już niczemu nie dziwił.

Mary rosła, bawiąc się kartami do pokera i mówiąc do każdej kobiety „mamo”. Wołano na nią Lucky. Starzec nie wyjaśnił mi, w jaki sposób Mary dostała się na Ziemię. Pragnąłem dowiedzieć się, gdzie była Mary w czasie, kiedy dżungla pochłonęła Nowy Syjon.

Jedyne źródło informacji znajdowało się w umyśle Mary. A jej podświadomość była szczelnie zablokowana przez przerażenie i rozpacz.

Około roku 1980, kiedy pojawiły się pierwsze raporty o latających talerzach widzianych nad Syberią, kolonię Nowy Syjon odkryli przybysze z Tytana. Jeśli sobie uświadomić, że było to dokładnie rok temu, licząc czas tak jak na Saturnie, to wszystko zaczyna do siebie pasować. Pasożyty nie szukały na Wenus Ziemi. Najpierw zajęli się podbojem planety, a teraz zdobywali Ziemię. Mogli mieć

szczególne informacje, gdzie należy szukać istot ludzkich. Wiemy, że od dawna porywali Ziemiaków. W ten sposób mogli się dowiedzieć o kolonii Whitemanitów. Nadal jednak nie można było znaleźć klucza do wspomnień Mary.

Było pewne, że widziała opanowanie kolonii. Musiała też widzieć, jak jej rodzice zostali zamienieni w zombi. Przypuszczalnie ona sama nie była żywicielem, albo została uwolniona przez pasożyty jako istota słaba i nieprzydatna do niczego. W każdym razie, przez jakiś czas, który dla małej dziewczynki musiał być nieskończonością, snuła się z kąta w kąt niechciana, niekochana, żywiąc się odpadkami. Pasożyty przybyły na Wenus, aby już tam zostać. Zresztą głównie ich ofiarami byli jej rdzenni mieszkańcy. Możliwe, że do kolonii trafili przypadkiem. Było jasne, że Mary widziała jak umieszczają jej rodziców w tym przedziwnym akwarium, a przynajmniej wiedziała co się z nimi stało. Nie było pewności do czego mieli posłużyć im ci ludzie. Może chcieli ich wykorzystać podczas inwazji na Ziemię? Po pewnym czasie i ją umieszczono w akwarium. Nie wiem czy wewnątrz statku, czy może w bazie na Wenus. Ale bardziej prawdopodobne jest to ostatnie. Przecież później, kiedy się obudziła znalazła się na Wenus. Możliwe więc, że była tam cały czas. Wciąż istniało wiele pytań bez odpowiedzi. Czy mieszkańcy planety nosili na sobie takie same pasożyty co koloniści? Wydaje się to bardzo prawdopodobne, istoty na Wenus także oddychają tlenem. Wiele wyjaśniłoby się gdybyśmy znali sytuację jaka panowała na Wenus, kiedy uwolniono Mary z inkubatora. Inwazja została zakończona, albo pasożyty przegrały. Prawdopodobnie Mary została wtedy żywicielem, ale przeżyła swojego władcę.

Tylko dlaczego zaczęły one umierać? Dlaczego inwazja poniosła klęskę? Tych odpowiedzi doktor Steelton i Starzec szukali w umyśle Mary.

- To już wszystko? - zapytałem.

- Czy ci to nie wystarcza? - odrzekł Starzec.

- Teraz mam więcej pytań niż przedtem.

- Informacji jest o wiele więcej. Ale przecież nie jesteś ekspertem od spraw Wenus i psychologii, więc do niczego się nie przydadzą. Powiedziałem ci wystarczająco dużo, żebyś zrozumiał dlaczego przeprowadzamy eksperymenty na Mary i żebyś nie zadawał jej niepotrzebnie pytań. Bądź dla niej dobry chłopcze, ona i tak przeszła już zbyt dużo.

Zignorowałem tę uwagę. Prawdopodobnie jest to moja żona. I nikt nie będzie mi mówił jak mam ją traktować.

- Jednego nie rozumiem - powiedziałem po namyśle. - Jak udało ci się skojarzyć Mary z latającymi talerzami? Przypuszczam, że na pierwszą wyprawę do Iowa nie wzięłaś jej przypadkowo. Skąd wiedziałaś? I nie chcę słuchać żadnych wykrętów.

Starzec popatrzył na mnie zdumiony.

- Czy miałeś kiedyś przeczucie?

- No pewnie.

- Co to jest przeczucie?

- No... kiedy wierzysz w coś bez żadnego uzasadnienia. Czujesz po prostu, że jest tak, jak myślisz.

- Ja mam na to inną definicję. Nazywam przeczuciem rezultat automatycznego kojarzenia informacji, które posiadasz w podświadomości i o tym nie wiesz.

- Nie brzmi to zbyt przekonująco. Przecież nie miałeś żadnych informacji. I nie mów mi, że twój umysł potrafi kojarzyć dane, które będziesz znał za tydzień. Nie uwierzę w to.

- To prawda, ale ja miałem dane.

- Skąd?

- Pamiętasz jaki jest ostatni etap egzaminów dla kandydatów na agentów?

- Osobista rozmowa z tobą.

- Nie, jeszcze później.

- Analiza osobowości pod wpływem hipnozy! - No tak, ale przecież nie mogłem tego pamiętać. - Więc to nie było żadne przeczucie, miałeś te informacje od dawna.

- To nie było tak. Miałem bardzo mało danych. Mechanizmy obronne Mary są bardzo silne. I właściwie zapomniałem o tym. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek informacje dotyczące przeszłości Mary do czegoś się przydadzą. Kiedy to wszystko się stało po prostu, czułem że właśnie Mary powinna wykonać tę robotę. A ja później jeszcze raz przesłuchałem zapis jej analizy hipnotycznej i wtedy nie miałem już wątpliwości, że Mary wie o całej sprawie więcej. Próbowaliśmy ale nic nie udało się z niej wyciągnąć.

- Musiałeś być absolutnie pewien, że coś wie, bo nieźle jej dołożyłeś - zastanowiłem się.

- Przykro mi, ale musiałem.

- W porządku. - Nagle przyszło mi coś do głowy. - Poczekaj, czy to oznacza,

że mój zapis też posiadasz? Co tam jest?

- To chyba nie jest dobre pytanie.

- Nie wykręcaj się!

- Nie powiedziałbym ci nawet jeśli mógłbym. Nigdy jednak nie słuchałem twojego zapisu, synu.

- Jak to?

- Zrobił to mój następca, kiedy zapytałem go o treść, powiedział mi, że nie ma tam nic, co powinienem wiedzieć. Dlatego też nigdy go nie przesłuchałem.

- Ach tak... Dziękuję.

Spojrzał na mnie ciepło, a ja poczułem się z nim bardzo dobrze. Zawsze potrafiliśmy skutecznie wprawić się wzajemnie w zakłopotanie - teraz byłem spokojny.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Pasożyty wyginęły na Wenus, zarażone jedną z panujących tam chorób. Tego byliśmy pewni, a przynajmniej nam tak się wydawało i nie mieliśmy szansy na szybkie uzyskanie nowych informacji. Rozmawiałem właśnie ze Starcem, kiedy nadeszła wiadomość o zbombardowaniu statku w przełęczy Christiana. Obawiali się, że zostanie przejęty przez wroga. Starzec miał nadzieję, że uda mu się obudzić i wypytać znajdujących się tam w uśpieniu ludzi, niestety ta szansa została utracona. Nie było wyjścia, jedynym rozwiązaniem mogły okazać się informacje, które posiadała Mary. W sumie wiedzieliśmy tylko, że na Wenus panuje choroba, która zabija pasożyty, a od której nie umierają ludzie. Naszym zadaniem było dowiedzieć się, co to za choroba. Mogliśmy zbadać wszystkie i w ten sposób dojść do rozwiązania zagadki. Ale to jak szukanie igły w stogu siana. Nie mieliśmy na to czasu. Lista chorób występujących na planecie, nawet nie śmiertelnych, choć dotkliwych jest bardzo długa. Dla zarazków z Wenus ludzie są dość nietypową pożywką i wydaje się, że niezbyt przez nie lubianą. Oczywiście, jeżeli zarazki mają zmysł smaku, w co wątpię, nawet pomimo radykalnych teorii McIlvaine'a.

Wszystko komplikował fakt, że choroby występujące na Wenus nawet te, które później występowały na Ziemi nie zostały wystarczająco zbadane. Jestem pewien, że można by to naprawić przeprowadzając eksperymenty i badania w ciągu najbliższych stu lat.

Tymczasem zaczęło się robić coraz chłodniej. Było jasne, że wkrótce chodzenie nago będzie niemożliwe. Należało jeszcze raz wrócić do punktu wyjścia, gdzie być może istniała nadzieja rozwiązania problemu. Był to umysł Mary. Nie podobało mi się to, ale przecież nie mogłem ich zatrzymać. Mary chyba nie wiedziała, dlaczego wciąż każą jej się poddawać hipnozie, a jeżeli się domyślała, to nic nie dawała po sobie poznać. Zachowywała się pogodnie, chociaż widać było zmęczenie na jej twarzy. To musiało ją wykańczać. Martwiłem się o nią. W końcu poszedłem do Starca i powiedziałem, że musi z tym skończyć.

- Wiesz lepiej niż ja synu, że to jest konieczne.

- Wiem, do cholery! Ale jeżeli do tej pory nie wyciągnąłeś tego z niej, może ona po prostu nic nie wie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile czasu potrzeba, żeby odkryć wszystkie wspomnienia, nawet jeśli ograniczy się tylko do pewnego wycinka czasu? To

powinno trwać tyle, ile trwał ten okres. To, czego szukamy, jeśli w ogóle tam jest, może być ledwo uchwytny.

- Jeśli w ogóle tam jest! - powtórzyłem. - Tego nie możesz wiedzieć.

Posłuchaj jeżeli w rezultacie tych wszystkich badań Mary poroni, osobiście skrećę ci kark!

- Ale jeżeli nam się uda - odparł łagodnie - sam będziesz prosił Boga, by tak się stało. - Chyba, że chcesz żeby twoje dziecko stało się jeszcze jednym żywicielem?

To był argument.

- Dlaczego więc nie wysłałeś mnie do Rosji. Ja nie mogę na to patrzeć. Mary mizernieje z dnia na dzień.

- Po pierwsze potrzebuję ciebie tutaj, a po drugie, przecież musisz się nią zajmować, zamiast histeryzować jak głupi szczeniak. Ona się nie poddaje. Po trzecie, nie jest to już konieczne.

- A co się stało? Wysłałeś kogoś? Wiesz już coś? Wstał i zamierzał wyjść.

- Gdybyś wreszcie nauczył się oglądać wiadomości, wiedziałbyś co się dzieje.

- Powiedz mi! - prosiłem, ale nie posłuchał mnie. Skierował się do drzwi i wyszedł.

Postanowiłem szybko nadrobić braki w oglądaniu wiadomości. Mój mało skomplikowany mózg nigdy nie mógł znieść ich chaosu. Okazało się, że przegapiłem informację o zarazie w Azji, drugie co do ważności doniesienie w tym stuleciu. „Czarna śmierć”, po raz pierwszy od XVII wieku, rozprzestrzeniła się w takim tempie na cały kontynent.

Nie mogłem tego zrozumieć. Komuniści to szaleńcy, nikt w to nie wątpi, ale ich metody zapewniające ochronę zdrowia społeczeństwa są całkiem skuteczne. Sam to widziałem. Są na pewno tak samo dobre jak nasze, a nawet w niektórych przypadkach lepsze. Badania przeprowadza się tam obowiązkowo i systematycznie. Żeby taka zaraza mogła się rozprzestrzeniać, kraj musi być pełen szczurów, pcheł i wszy. A przecież komuniści w rozpędzie oczyścili z tego świństwa nawet Chiny. Do tego stopnia, że zaraza morowa czy tyfus stały się tam raczej endemiczne niż epidemiczne. Zaraza jednak rozprzestrzeniła się wszędzie, w Rosji, Chinach, Syberii. Sytuacja okazała się na tyle poważna, że system rządów się załamał i poproszono o pomoc ONZ. Co się mogło stać?

Pomyślałem chwilę i nagle wszystko okazało się jasne. Odszukałem Starca.

- Szefie, pasożyty opanowały Azję? - zapytałem z przerażeniem.

- Tak.

- Wiedziałaś? Na Boga, musimy się pospieszyć, bo jeżeli tego nie zrobimy cała dolina Missisipi już wkrótce będzie w takim samym stanie co Azja. Przecież wystarczy jeden szczur, jeden mały szczur... - Przypomniałem sobie swoje życie pośród pasożytów. One wogóle nie dbały o higienę, nie obchodził ich też stan do jakiego doprowadzili się żywicieli. Przecież ja wtedy ani razu się nie kąpałem. Mam wątpliwości, czy którykolwiek człowiek opanowany przez pasożyta na obszarze od granicy kanadyjskiej po Nowy Orlean bierze kąpiel. Władcy odrzucili już maskaradę.

- Może tak będzie lepiej - powiedział Starzec smutno. - Może to jest jedyne wyjście?

- Równie dobrym rozwiązaniem w takiej sytuacji byłoby zbombardowanie połowy świata... To będzie bardziej higieniczny sposób.

- Może. Wiesz przecież, że tego nie zrobimy. Dopóki jest jakaś szansa wytępienia tych potworów musimy walczyć.

Spróbowałem sobie poukładać to wszystko. Wciąż byliśmy w trakcie nieustannego wyścigu z czasem. Ale przecież pasożyty nie są tak głupie, żeby wykorzystywać swoje ofiary w nieskończoność, szczególnie przy takim traktowaniu. Po jakimś czasie człowiek żyjący w takich warunkach nie nadaje się do niczego. Potrzebuje natychmiastowej pomocy, albo umiera. Może dlatego wciąż przenoszą się z jednej planety na drugą, niszcząc przy tym wszystko czego się dotkną. Kiedy umierają żywicieli, po prostu szukają następnych.

To była tylko teoria. Tylko jedno było pewne: w każdej chwili w czerwonej strefie może się wydarzyć to samo, co w Azji. Postanowiłem zrobić to, o czym myślałem już od jakiegoś czasu. Będę towarzyszył Mary podczas tych koszmarnych seansów hipnotycznych. Jeżeli rzeczywiście w jej podświadomości tkwi informacja o tym, co zabiło pasożyty na Wenus, to może ja podczas badań dostrzegę coś, co inni pominęli. Miałem zamiar zrobić to, bez względu na sprzeciwy kogokolwiek, nawet jeśli będzie to Starzec. Miałem już dość traktowania mnie po trosze jak królewskiego małżonka, a po trosze jak niechciane dziecko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mieszkałem teraz z Mary w niewielkiej kwaterze. Nadawało się to najwyżej dla jednej osoby i nie wpływało najlepiej na nasze samopoczucie. Ale cóż laboratorium nie przewidywało chyba wśród swoich pracowników małżeństw.

Następnego ranka obudziłem się wcześniej niż Mary i jak codzień sprawdziłem jej plecy. Po chwili jednak otworzyła oczy i uśmiechnęła się sennie.

- Możesz spać, masz jeszcze trzydzieści minut - powiedziałem.

Ale Mary przeciągnęła się i postanowiła wstać.

- Mary czy wiesz jaki jest czas wylęgania się zarasków tyfusu? - zapytałem.

- A powinnam? Była wyraźnie zdziwiona tym pytaniem, ale nie przywiązywała do niego żadnej wagi. - Wiesz że masz jedno oko ciemniejsze niż drugie?

Potrząsnąłem jej ramieniem.

- Skoncentruj się. Wczoraj wieczorem byłem w bibliotece laboratorium i robiłem obliczenia. Według nich pasożyty opanowały Rosję o trzy miesiące wcześniej.

- Tak, oczywiście.

- Wiesz o tym? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo mnie nie pytałeś. Nikt mnie nie pytał.

- Na miłość boską - zawołałem - spóźnimy się na śniadanie.

- Masz dzisiaj badanie o tej samej porze? - zapytałem, kiedy wyszliśmy z łóżka.

- Tak.

- Mary, dlaczego nie mówisz im tego o co cię pytają? Wyglądała na zdziwioną.

- Ale ja nie wiem o co oni mnie pytają.

- Tak właśnie myślałem. Głęboki trans z nakazem „zapomnij”?

- Tak przypuszczam - zastanowiła się.

- Więc dzisiaj będzie inaczej. Idę z tobą.

- Dobrze kochanie.

Wszyscy jak zwykle czekali w biurze doktora: Starzec, sam Steelton, niejaki pułkownik Gisby, który był tu szefem sztabu, jakiś podpułkownik i cała masa pracowników technicznych i pomocników. Wygląda na to, że w wojsku potrzeba

przynajmniej ośmiu osób, żeby jakiś oficer mógł dmuchnąć w chusteczkę.

Starzec wyraźnie zdziwił się, kiedy mnie zobaczył, ale nic nie powiedział.

Sierżant, który pilnował drzwi próbował mnie zatrzymać.

- Dzień dobry pani Nivens - przywitał Mary. - Pana nie ma na liście - dodał po chwili.

- Właśnie zapisuję się na tę listę - odparłem i wepchnąłem się do środka.

Pułkownik był wściekły. Spojrzał na mnie groźnie.

- Co tu się dzieje? - zapytał Starca.

Starzec nie odpowiedział mi, ale także nie wyglądał na zadowolonego.

Wszyscy patrzyli na mnie chłodno, oprócz jednej dziewczyny - sierżanta, która nie mogła się powstrzymać i zachichotała.

- Chwileczkę panie pułkowniku... - odezwał się Starzec. Podszedł do mnie.

- Synu, przecież mi obiecałeś... - powiedział tak cicho, że tylko ja to usłyszałem.

- To było nieuczciwe żądać ode mnie takiej obietnicy. Odwołuję wszystko.

- Ale ty nie możesz nam pomóc. Nie znasz się na tym. Wyjdź stąd, chociażby ze względu na Mary.

Do tej pory nie przyszło mi do głowy, że przecież on także nie ma tu nic do roboty.

- Myślę, że ty także jesteś tu zbędny. Nie wydaje mi się, żebyś się na tym znał. Więc wyjdź.

Obydwoje spojrzeliśmy na Mary. Widać było, że gotowa jest zdać się na moją decyzję.

- Zastanów się synu - wyszeptał powoli - to może być niebezpieczne.

- Wydaje mi się, że dokonujecie eksperymentów na mojej żonie. I od tej pory ja będę dyktował warunki. Albo żadnych eksperymentów nie będzie.

- Czy pan oszalał, młody człowieku? - odezwał się pułkownik.

- A pan właściwie co tutaj robi? - Spojrzałem na jego insygnia wojskowe. - Czy oprócz tego ma pan jeszcze jakieś kwalifikacje? A może jest pan psychologiem?

- Wyraźnie się zmieszał, chociaż próbował tego nie okazać.

- Wydaje mi się, że pan zapomniał, iż znajdujemy się w obiekcie wojskowym.

- A pan zdaje się zapomina, że ani ja, ani moja żona nie jesteśmy personelem wojskowym - dodałem - wychodzimy Mary.

- Tak, Sam.

- Zostawię informację gdzie można nas znaleźć - poinformowałem Starca.

Ruszyłem do drzwi, Mary udała się za mną.

- Poczekaj chwilę - zawołał Starzec. - Czy możesz zrobić coś dla mnie?

Zatrzymałem się, on tymczasem zwrócił się do pułkownika.

- Czy może pan ze mną wyjść na chwilę, mam panu coś do powiedzenia.

Gisby jeszcze raz przeszył mnie wzrokiem, a potem wyszedł ze Starcem.

Czekaliśmy. Mary usiadła, ja stałem gotów do wyjścia. Młodszy oficerowie mieli twarze pokerzystów, za to podpułkownik nie mógł opanować zakłopotania.

Dziewczyna wyglądała jakby za chwilę miała wybuchnąć śmiechem. Jedynym człowiekiem, który wyglądał na absolutnie opanowanego był Steelton. Wyglądał jakby go to wogóle nie obchodziło. Spokojnie zajął się jakimiś papierami.

Po piętnastu minutach wszedł sierżant.

- Doktorze Steelton, pan pułkownik mówi żeby zaczynać.

- Bardzo dobrze sierżancie - Powiedział Steelton, potem spojrzał na mnie. - Chodźmy do gabinetu.

- Nie tak szybko - odparłem. - A cała reszta? Co z nimi? Na przykład ten? - wskazałem na podpułkownika.

- To jest doktor Hazelhurst. Był dwa lata na Wenus.

- W porządku, zostaje. - Spojrzałem na dziewczynę. - A jaka jest twoja rola tutaj, siostrze?

- Ja? Jestem opiekunką.

- Teraz ja opiekuję się moją żoną. Doktorze, chciałbym, żeby pan powiedział, kto jest panu niezbędny.

- Oczywiście, sir.

Okazało się, że tak naprawdę potrzebny jest mu tylko doktor Hazelhurst. Miałem wrażenie, że jest zadowolony, iż pozbył się widowni. Weszliśmy do środka: Mary, ja i dwóch specjalistów.

W gabinecie znajdowała się leżanka, a dookoła stały krzesła. Pod sufitem zawieszono kamerę. Prawdopodobnie były też mikrofony, ale ukryte. Mary usiadła na leżance. Doktor Steelton przygotował strzykawkę.

- Postaramy się zacząć tam, gdzie wczoraj skończyliśmy, pani Nivens - powiedział do Mary łagodnie.

- Chwileczkę - odezwałem się. - Czy poprzednie zostały zarejestrowane?

- Oczywiście.

- Więc najpierw je obejrzymy. Chcę zorientować się w danych.

- Jeśli pan sobie życzy. Sugerowałbym, żeby pani poczekała w biurze, pani Nivens. Chociaż nie, to może potrwać. Po prostu przyślę po panią później.

Doktor wyraźnie nie zrozumiał moich intencji. Postanowiłem mu wszystko wyjaśnić.

- Chciałbym, żeby pan zrozumiał, moja żona zostaje. Ona także chce to zobaczyć.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Pan nie zdaje sobie sprawy jakie mogą być tego konsekwencje. To może poważnie zaburzyć równowagę psychiczną pana żony.

- To bardzo ryzykowna terapia, młody człowieku - odezwał się Hazelhurst.

- To nie jest żadna terapia i pan doskonale o tym wie - zaprotestowałem. -

Gdyby to miały być działania lecznicze na pewno nie stosowałibyscie narkotyków. Są inne techniki.

Steelson zrobił zatroskaną minę.

- Nie ma na to czasu. Musieliśmy zastosować tak brutalną metodę, bo zależy nam na wynikach. Wydaje mi się, że nie mogę pozwolić, by pani obejrzała te materiały.

- Też tak sędzę - poparł go Hazelhurst.

- A czy do cholery, pytam was o zgodę? - Nie wytrzymałem. - Nie macie tu nic do powiedzenia. Ten materiał jest tylko i wyłącznie własnością mojej żony. Chcę mi się rzygać na widok ludzi, którzy usiłują bawić się we wszechmogącego stwórcę. Nienawidzę tego w pasożytach i nie mogę znieść tego w ludziach. To ona zdecyduje, czy może je zobaczyć i ona ma prawo zdecydować, czy zobaczy je ktokolwiek, nawet ja. A teraz proszę ją zapytać!

- Pani Nivens, czy chce pani zobaczyć zapis poprzednich sesji? - zapytał Steelson.

- Tak, doktorze - odpowiedziała Mary - bardzo chciałabym to zobaczyć.

Wydawał się być zdziwiony.

- No... jak pani sobie życzy. Czy chce pani je obejrzeć sama? - W tym momencie popatrzył wymownie na mnie.

- Obejrzę je razem z moim mężem. Oczywiście pan i doktor Hazelhurst możecie zostać, jeśli sobie panowie tego życzą - powiedziała spokojnie Mary.

Zostali. Przyniesiono stertę taśm, każda z nich była opatrzona datą i godziną.

Obejrzenie wszystkich zabrałoby nam wiele godzin, więc odrzuciłem te, które dotyczyły życia Mary po 1980 roku, nie miały nic wspólnego ze sprawą. Jeśli Mary będzie chciała, może je obejrzeć kiedy indziej.

Zaczęliśmy od jej dzieciństwa. Każda taśma zaczynała się tą samą sceną, Mary płakała. Jest to najczęstsza reakcja ludzi, których zmusza się do bolesnych wspomnień. Potem następowała rekonstrukcja wydarzeń. Najbardziej zdziwił mnie obraz twarzy Mary z okresu, kiedy przebywała w zbiorniku. Obraz był powiększony tak bardzo, że mogliśmy każdą reakcję i najdrobniejszą emocję wyczytać z jej twarzy.

Najpierw była to twarz małej dziewczynki. Rysy zupełnie jej się nie zmieniły, ale to było dziecko. Pomyślałem, że bardzo pragnąłbym, żeby tak wyglądała nasza córka.

Potem oblicze Mary zmieniło się, oddając sytuację o której mówiono. Przypomniało to trochę monolog doskonałego aktora, który potrafi się wcielić w nieskończoną ilość postaci.

Mary patrzyła na to bardzo spokojnie, wsunęła tylko dłoń w moją rękę. Kiedy doszliśmy do momentu inwazji pasożytów i tragedii jej rodziny, ścisnęła moje palce tak mocno, że miałem ochotę krzyknąć.

Przejrzeliśmy szpule z napisem: „Okres uśpienia”.

Zaskoczyło mnie, że materiału na ten temat było tak dużo. Wydawało mi się, że Mary nie powinna wiele pamiętać. Okazało się, że było inaczej. Jednak nie zobaczyliśmy tam nic, co mogłoby nam pomóc. Przeszliśmy więc do materiałów związanych z okresem od uwolnienia Mary z akwarium do odnalezienia jej na bagnach.

Jedno było pewne, Mary została żywicielem, kiedy tylko powróciła do świadomości. Znałem doskonale ten wyraz twarzy emanujący martwością i pustką. Widziałem setki takich twarzy, oglądając sprawozdania filmowe z czerwonej strefy. Zresztą zatarte wspomnienia Mary, z tamtego okresu, potwierdzały to.

Nagle znów była wolna. Patrzyliśmy na twarz małej, przestraszonej dziewczynki. Jej wspomnienia snuły się niewyraźnie, brzmiały trochę jak deliryczny bełkot.

- Niech skonam. Pete, tu jest jakaś dziewczynka! - pojawił się nagle wyraźny głos.

- Czy ona żyje? - Ktoś odpowiedział

- Nie wiem - odezwał się ten pierwszy.



Potem przenieśliśmy się do Kaiserville. Tam Mary dochodziła do zdrowia. Miała wiele wspomnień z tego okresu. Po chwili taśma skończyła się.

- Chciałbym - powiedział doktor - jeżeli pani wyrazi zgodę, abyśmy obejrżeli teraz drugi film z tego samego okresu. One trochę się od siebie różnią, a przecież ten okres jest kluczem do całej sprawy.

- Dlaczego doktorze? - zapytała Mary.

- No... oczywiście nie musi pani tego oglądać, jeśli pani nie chce. Ale to jest właśnie ten okres, który badamy. Chcemy zrekonstruować za pomocą pani pamięci, to co stało się na Wenus, co spowodowało, że pasożyty zaczęły umierać. Jeśli uda nam się dowiedzieć, co zabiło pani pasożyta może będziemy mieli w rękę broń, której potrzebujemy. Pani przecież przeżyła.

- To wy tego nie wiecie? - Mary była zdumiona.

- No jeszcze nie, ale dowiemy się. Pamięć ludzka, to bardzo szczegółowy zapis, nawet jeśli jest to głęboko ukryte.

- Ależ ja mogę wam powiedzieć. To była dziewięciodniowa gorączka.

- Co? Hazelhurst mało co nie wypadł z krzesła.

- Oczywiście. Nie zobaczyliście tego na mojej twarzy? To najbardziej charakterystyczny objaw, ta maska... Widziałam to wiele razy. Tam w Kaiserville opiekowałam się chorymi, ponieważ sama byłam uodporniona na tę chorobę.

- Co pan na to, doktorze? - zapytał Steelson. - Czy widział pan kiedy przypadek tej choroby?

- Czy widziałem? - wykrzyknął Hazelhurst. - Nie, nie widziałem. Podczas drugiej ekspedycji, w której brałem udział, mieliśmy już szczepionkę. Ale znam jej kliniczne objawy.

- Nie rozpoznał pan ich z tego zapisu?

- Więc... - Hazelhurst ostrożnie dobierał słowa - to co widzieliśmy mogłoby być objawami dziewięciodniowej gorączki, ale to niczego nie dowodzi.

- Jak to nie dowodzi? - gwałtownie odezwała się Mary. - Przecież powiedziałam, że to była dziewięciodniowa gorączka.

- Jednak musimy się upewnić - odparł Steelson przepraszająco.

- Jak pan chce to zrobić? Nie ma przecież żadnych wątpliwości. Powiedziano mi, że byłam na to chora, kiedy Pete i Frisco mnie znaleźli. Później opiekowałam się cierpiącymi na tę chorobę i nigdy się nie zaraziłam. Pamiętam ich twarze... Wiedzieli, że są skazani na śmierć, to były martwe maski. Ja także miałam taką twarz,

widzieliście to. Nikt, kto chociaż raz to zobaczy, nigdy tego nie zapomni. Nie można też pomylić tych objawów z niczym innym. Czego więcej chcecie? Ognistych liter na niebie? - Nigdy przedtem nie widziałem Mary tak bliskiej utraty panowania nad sobą.

- Pani dowody są przekonujące - odezwał się łagodnie Steelton. - Ale proszę mi wyjaśnić, jak to się stało, że dotychczas wszystko wskazywało, iż nie pamięta pani nic z tamtego okresu. Potwierdzały to przede wszystkim badania. A teraz nagle okazuje się, że te wspomnienia istnieją, a do tego jest pani ich świadoma.

Mary przez chwilę wyglądała na zmieszaną.

- Nie wiem jak to się stało, ale przypominam sobie teraz. Pamiętam to dokładnie. Nie myślałam o tym przez wiele lat.

- Myślę, że rozumiem - Steelton zwrócił się do Hazel-hursta.

- Więc doktorze? Czy mamy te zarazki w laboratorium? Czy pracował pan nad tym kiedykolwiek?

Hazelhursta zatkało.

- Czy pracowałem nad tym? Oczywiście, że nie. Przecież to zupełnie bez sensu! Równie dobrze moglibyśmy użyć tyfusu albo polio. To jest niebezpieczne!

Wziąłem Mary delikatnie za ramię. - Chodźmy Mary, chyba już dość narobiliśmy im kłopotu.

Kiedy wychodziliśmy dostrzegłem, że Mary drży, a oczy ma pełne łez. Zabrałem ją do messy. Chyba potrzebowała czegoś mocniejszego. Później położyłem Mary do łóżka. Siedziałem przy niej aż zasnęła. Poszedłem szukać ojca.

- Jak leci? - przywitałem go w jego gabinecie. Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

- Słyszałem, że dokonałeś cudu, Elihu.

- Wolę, kiedy mówisz do mnie Sam - odezwałem się.

- Cieszę się, Sam. To było twoje zwycięstwo. Chociaż w efekcie chyba niewiele zyskaliśmy. Sytuacja jest równie beznadziejna jak przedtem.

Dziewięciodniowa gorączka, nic dziwnego, że wymarła cała kolonia. Zupełnie nie wiem, jak moglibyśmy to wykorzystać. Nie możemy przecież oczekiwać, że każdy będzie miał tak potężną wolę przeżycia jak Mary.

Wiedziałem, że ma rację. Gorączka zabijała dziewięćdziesiąt osiem procent tych, którzy nie byli zaszczepieni. Wprawdzie wśród tych, którzy zostali zaszczepieni procent śmiertelności wynosił zero, ale to nam nic nie dawało. Wciąż potrzebowaliśmy choroby, na którą zachoruje pasożyt, a nie żywiciel.

- I tak nie mamy wyjścia - stwierdziłem zrezygnowany. - Nie dalej jak za

sześć tygodni będziemy mieli w dolinie Missisipi albo tyfus, albo zarazę, albo jedno i drugie.

- Może pasożyty nauczyły się czegoś w Azji i zaczną poważnie traktować sprawę higieny - odrzekł Starzec.

- Nie Sam, musisz wymyśleć coś innego.

Po chwili dopiero dotarły do mnie jego słowa.

- Jak to ja? - zapytałem. - Ja jestem tylko pracownikiem.

- Byłeś. Teraz bierzesz na siebie całą odpowiedzialność. Czas, żeby ktoś mnie zmienił.

- O czym ty do diabła mówisz? Nie jestem za nic odpowiedzialny! - zawołałem. - I wcale nie mam zamiaru być. To ty jesteś szefem!

Potrząsnął głową.

- Szefem jest ten, kto naprawdę decyduje. Tytuł i honory przychodzą zazwyczaj później. Czy przypuszczałeś, że chcę żeby moim zastępcą został Oldfield.

Pomyślałem przez chwilę. To oczywista bzdura. Jego zastępca nadawał się tylko do wykonywania rozkazów. Nie wiem, czy w ogóle potrafi samodzielnie myśleć.

- Wiedziałem, że kiedyś sięgniesz po moje stanowisko - powiedział. - I teraz to się stało. Po prostu w pewnym momencie okazało się, że jesteś lepszy i jestem z tego zadowolony. Zmusiłeś mnie do przyjęcia twojego rozwiązania, a rezultaty dowiodły, że miałeś rację.

- To bzdury! Byłem uparty jak osioł i dlatego mi ustąpili. A tobie nie przyszło przez ten czas do głowy, że nie skonsultowałeś się z najbardziej fachowym specjalistą od Wenus, którego miałeś pod ręką. Mam na myśli Mary. Tym bardziej, że nie oczekiwałem żadnych rezultatów, to było po prostu szczęście.

Starzec potrząsnął głową.

- Ja nie wierzę w takie szczęście synu. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. To zazwyczaj przeciętni mówią o geniuszach, że mieli szczęście.

Pochyliłem się nad nim.

- Dobra, więc jestem geniuszem, ale i tak nie uda ci się mnie w to zrobić. Kiedy to wszystko się skończy wreszcie, Mary i ja wyjeżdżamy w góry. Mamy zamiar spokojnie wychować dzieci. Nie zamierzam spędzić życia, będąc szefem jakichś kopniętych agentów.

Uśmiechnął się łagodnie, tak jakby widział zupełnie inną przyszłość.

- Nie chcę twojej roboty - rozumiesz? - wykrzyknąłem.

- Dokładnie to samo powiedział diabeł Bogu, gdy ten wtrącał go w otchłań piekła. Nie martw się, chłopcze. Zatrzymam na razie swój tytuł i pomogę ci, jak będę mógł. A tak na marginesie, jakie są rozkazy, sir?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Najgorsze było to, że on wcale nie żartował. Próbowałem jeszcze kilka razy namówić go, żeby zmienił zadanie, ale pozostał nieugięty. Po południu zwołano konferencje na szczycie. Mnie także zaproszono, ale nie miałem zamiaru w tym uczestniczyć. Jednak zaraz po rozpoczęciu pojawiła się u mnie uprzejma pani sierżant i oświadczyła, że dowódca czeka na mnie i pyta, czy będę łaskawy w końcu przyjść.

Poszedłem - jednak starałem się nie wtrącać do dyskusji. Mój ojciec miał doskonały sposób na trzymanie w garści każdej konferencji. Po prostu wgapił się wyczekująco na tego, kto miał zabrać głos. To bardzo subtelny trik - nikt z zebranych nie orientował się, że jest manipulowany.

Ale ja doskonale znałem jego sztuczki. Wołałem już zabrać głos, niż znosić to świdrujące spojrzenie. Zwłaszcza, że ostatnio uwierzyłem w siebie i wysoko cenię moje własne opinie.

Na konferencji większość zebranych twierdziła, że wykorzystanie dziewięciodniowej gorączki jest absolutnie niemożliwe. Ta choroba zabijała nawet mieszkańców Wenus, a znani byli z odporności i siły. Dla człowieka oznaczała pewną śmierć. Ja ożeniłem się z przedstawicielką tych, którzy przeżyli, a pozostało ich niewiele.

- Słucham, panie Nivens? - odezwał się dowódca. Oczy Starca były cały czas we mnie wpatrzone.

- Wszyscy zebrani wyrażają się o dziewięciodniowej gorączce, jako o zupełnie beznadziejnym pomysle. Jednak ich wnioski oparte są tylko na przypuszczeniach. A przypuszczenia nie zawsze muszą być słuszne - powiedziałem.

- Co ma pan na myśli?

Nie miałem żadnego konkretnego planu, strzelałem na ślepo.

- Więc, na przykład - kontynuowałem - chciałem sprostować, że nazwa tej choroby niewiele mówi o czasie jej trwania.

Jeden z wyższych oficerów popatrzył na mnie zdziwiony.

- Używa się tej nazwy zwyczajowo, choroba naprawdę trwa średnio dziewięć dni - powiedział.

- Tak, ale skąd wiadomo, że dla pasożytów to także jest dziewięć dni?

Po reakcji na sali zorientowałem się, że znowu trafiłem w dziesiątkę.

Poprosili mnie, żebym wyjaśnił dlaczego myślę, że u pasożytów choroba

może rozwijać się w innym tempie niż u ludzi i w jakim stopniu może to być dla nas przydatne.

Poszedłem na całość.

- Co do pierwszego pytania - powiedziałem - w tym jednym, znanym nam przypadku, pasożyt rzeczywiście zginął w czasie krótszym niż dziewięć dni... dużo krótszym. Ci z panów, którzy widzieli zapisy badań mojej żony - a śmiem twierdzić, że zdecydowanie wielu spośród was je widziało - mają świadomość, że pasożyt opuścił ją, przypuszczalnie odpadł i umarł, długo przed kryzysem. Jeżeli eksperymenty to potwierdzą, wtedy pojawia się inny problem. Człowiek zarażony tą chorobą może pozbyć się glisty w ciągu... no powiedzmy, czterech dni. - Zostaje pięć dni, żeby go odszukać i wyleczyć.

Generał patrzył na mnie prawie z zachwytem.

- To dość odważna propozycja, panie Nivens. Jak pan proponuje leczyć uwolnionych żywicieli, albo chociaż jak ich schwytać? Przypuśćmy bowiem, że dzięki nam w czerwonej strefie rozprzestrzeni się ta potworna choroba. To będzie wymagało od nas błyskawicznego działania, inaczej zginie pięćdziesiąt milionów ludzi.

To był mocny cios. Zdecydowałem się być radykalny. Bo w końcu, ilu jeszcze fachowców można nazwać fachowcami, jeżeli zadają takie pytania.

- Pańskie drugie pytanie dotyczyło problemów taktyki, a to już pański problem, nie mój. Co do pierwszego, mamy tu specjalistę - wskazałem na Hazelhursta. - Mam nadzieję, że on się tym zajmie.

Hazelhurst gdyby mógł, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Wiedziałem, jak się czuje, no ale cóż... Mówił coś o braku doświadczeń, o konieczności przeprowadzenia badań i eksperymentów. Przyznał też, że pracowano kiedyś nad odtrutką, ale później wynaleziona szczepionka okazała się tak skuteczna, że zaprzestano badań. Nie wie, czy do dzisiaj doprowadzono je do końca, tym bardziej, że ostatnio każdy wybierający się na Wenus jest szczepiony. Zakończył nieporadnie, że prace nad egzotycznymi chorobami są ciągle w powijakach.

- Jeśli chodzi o tę odtrutkę, jak szybko może pan zebrać informacje na ten temat? - przerwał mu generał.

Hazelhurst stwierdził, że może zrobić to natychmiast. Musi zadzwonić jedynie do jednego człowieka z Sorbony.

- Więc proszę to zrobić - rozkazał dowódca. - Może pan odejść.

Następnego dnia, przed śniadaniem do naszych drzwi zadzwonił Hazelhurst. Byłem wściekły, ale starałem się tego nie okazywać.

- Przepraszam, że pana budzę - powiedział. - Miał pan rację z tą odtrutką.

- Co? - Niespecjalnie byłem jeszcze przytomny.

- Właśnie przysłali nam pierwszą partię z Paryża. Powinna tu być lada moment. Mam tylko nadzieję, że nie jest za stara.

- A jeśli jest?

- Mamy środki, żeby ją wyprodukować. I tak będziemy musieli to zrobić, jeżeli ten szalony plan zostanie zrealizowany.

- Jestem wdzięczny za informacje - podziękowałem. - Myślę, że generał także będzie zadowolony. - Odwróciłem się, żeby odejść, ale zatrzymał mnie.

- Panie Nivens...

- Tak?

- Będziemy mieli problem z roznosicielami...

- Rznosicielami? - Usilnie starałem się skoncentrować.

- Chodzi o roznosicieli wirusa. Nie możemy użyć myszy, szczurów, ani niczego takiego. Czy dowiedział się pan w jaki sposób choroba rozprzestrzeniła się na Wenus? Rznoszą je małe stworzenia, przypominające trochę nasze owady - to jedyna droga zakażenia.

- Chce pan powiedzieć, że gdyby był pan chory, to nie mógłby pan mnie tym zarazić, nawet gdyby pan chciał?

- Mógłbym, na przykład przez zastrzyk. Ale nie wyobrażam sobie miliona spadochroniarzy, którzy biegają po czerwonej strefie, prosząc ludzi opanowanych przez pasożyty, żeby ustawili się w kolejce, bo muszą im zrobić zastrzyk. - To mówiąc, rozłożył bezradnie ręce.

Coś zaczęło mi przychodzić do głowy. Milion ludzi... jeden zrzut...

- Dlaczego mnie pan o to pyta? - odezwałem się. - To chyba jest problem medyczny.

- Tak, rzeczywiście... Pomyślałem sobie... że pan ma gotowy plan. - Zamilkł.

- Dzięki. - Mój biedny umysł próbował rozwikłać kilka problemów na raz. Chyba mu to zaszkodziło. Nie mogłem ruszyć dalej. Ilu ludzi może być w czerwonej strefie?

- Zacznijmy od rzeczy oczywistych: przypuśćmy, że pan jest chory, a ja nie. Ja nie mogę się od pana zarazić? - Wiedziałem przecież, że nie uda się zrzucić personelu

medycznego w wystarczającej liczbie.

- To nie byłyby takie proste. Jeżeli wymaz z mojego gardła umieścić w pańskim, może się pan zarazić, ale nie musi. - Najpewniejsza jest transfuzja krwi.

- Bezpośredni kontakt? - Cały czas intensywnie myślałem. - Ilu ludzi może zakazić jeden człowiek? Dziesięciu? Trzydziestu?

- Ma pan chyba problem z głowy - powiedziałem.

- Nie rozumiem.

Co robią pasożyty, kiedy spotykają się z nowym wirusem, którego dotychczas nie znały, z zarażonym ciałem.

- Koniugacja!

- Inaczej, bezpośredni kontakt. - Wolałem jednak to określenie.

- Myśli pan, że w ten sposób choroba się przeniesie?

- Czy tak myślę? Jestem tego pewien. W tutejszym laboratorium robiliśmy wiele eksperymentów. Między innymi udowodniliśmy, że podczas bezpośredniego kontaktu następuje wymiana żywej materii. W takiej sytuacji nie mogą uniknąć wymiany zarazków. Możemy zarazić wszystkie, mając tylko jedno zarażone ciało. Że też o tym nie pomyślałem.

- Te słowa przypomniały mi, że ktoś będzie musiał zgodzić się zostać żywicielem...

- Niech pan nie przesadza z tą euforią - powiedziałem. - Proszę to najlepiej sprawdzić, ale sądzę, że to się uda.

- Na pewno, na pewno... - Był wyraźnie zadowolony. Już chciał odejść, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. - Panie Nivens, mam do pana wielką prośbę...

- O co chodzi? Niech pan mówi, nie mam czasu i robię się głodny. - Tym bardziej, że myślałem już o innych aspektach tego pomysłu.

- Więc, czy pozwoli mi pan ogłosić tę metodę przenoszenia zarazków jako moją? Oczywiście podziękuję panu oficjalnie, ale generał wymaga ode mnie tak wiele... A tak, mój raport byłby pełny. - Był tak przejęty, że chciało mi się śmiać.

- Niech pan ogłasza, co pan chce - odrzekłem. - To przecież pana działka.

- Dziękuję. Postaram się odwdziaczyć. - Odszedł w doskonałym nastroju. Ja także byłem z siebie dumny. Stałem jeszcze chwilę przed drzwiami i układałem w głowie szczegółowy plan wielkiego zrzutu, potem wszedłem do pokoju. Mary właśnie przebudziła się i uśmiechnęła się do mnie słodko. Pogłaskałem ją po włosach.

- Najdroższa, czy ty wiesz, że twój mąż jest geniuszem?



- Tak.
- Wiesz? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.
- Bo nigdy mnie nie pytałeś.

Hazelhurst rzeczywiście zaznaczył wkład mojej pracy w raporcie. Cały pomysł nazwał: systemem przenoszenia Nivensa. Na pierwszym zebraniu poproszono mnie o komentarz.

- Zgadza się z doktorem Hazelhurstem - zacząłem. - A jego przypuszczenia zostały potwierdzone laboratoryjnie. Jakkolwiek, wciąż pozostały do przedyskutowania problemy taktyczne całej operacji. Najważniejszym wydaje mi się plan tempa i czasu wykonania akcji... - Całą tę przemowę przygotowałem w najdrobniejszych szczegółach podczas śniadania. Dzięki Bogu, że Mary nie ma zwyczaju gadać jak najęta od samego rana. - Wiemy, że możemy zainfekować pasożyty w dość prosty sposób. Zarazki bowiem przenoszą się podczas kontaktu między pasożytami. Jednak jeżeli chcemy uratować sto procent mieszkańców czerwonej strefy, pasożyty muszą być zarażone w tym samym czasie i zaraz potem muszą wkroczyć do akcji oddziały pomocy z odtrutką. Wiemy też, że muszą wkroczyć wtedy, gdy pasożyty będą już niegroźne, a jednocześnie na tyle wcześnie, by zadziałała odtrutka. Ten problem można rozwiązać za pomocą analizy matematycznej. „Sam, drogi chłopcze - powiedziałem do siebie w myślach - jesteś wielkim błaznem, przecież nie rozwiązałbyś tego zadania nawet przez dwadzieścia najbliższych lat”. - Przekażę je sekcji analitycznej. Tym niemniej pozwolę sobie naszkicować wykres. Oznaczmy punkty docelowe przenoszenia zarazków - X, a ilość roznoszących odtrutkę - Y. Możemy otrzymać w takiej sytuacji nieskończoną ilość rozwiązań. Optymalne rozwiązanie jest zależne od czynników logicznych. Opierając moje szacunki na znajomości zwyczajów pasożytów, mogę stwierdzić, że...

W całkowitym skupieniu słuchali tych wywodów. W pewnym momencie zaznaczyłem na wykresie zbyt małą liczbę X.

- Myślę, panie Nivens, że ochotników do przenoszenia zarazków będziemy mieli pod dostatkiem - przerwał mi generał.

Potrząsnąłem głową.

Nie chcę, żeby pan przyjmował ochotników, generale, - Chyba pana rozumiem. Choroba musi mieć czas, żeby się rozwinąć, wtedy dla roznosicieli punkt krytyczny może być niebezpiecznie blisko. Ale myślę, że możemy rozwiązać ten problem. Na przykład: kapsułki w galaretowatej masie wszczepionej w ciało... coś w

tym rodzaju. Sądzę, że można to rozpracować. Też tak myślałem. Ale moje obiekcje wynikały z głębokiej awersji do faktu, że jakakolwiek istota miałaby być we władzy pasożyta.

Nie chcę, żeby pan używał ludzi, generale. Pasożyt dysponuje wiedzą żywiciela. Po prostu nie zgodzi się na kontakt. Każę ostrzec innych władców. - Nie byłem tego pewien, ale ostrożność nie zaszkodzi. - Dlatego sir, musimy użyć zwierząt: małp, psów, wszystkich, które dadzą radę unieść pasożyta. Nie będą mogły przekazać żadnych informacji. Powinny stanowić olbrzymią grupę, żeby pasożyty nie zdążyły zorientować się, że są chore.

Szybko przedstawiłem im ostateczny szkic całej akcji.

- Pierwszego zrzutu możemy dokonać, kiedy tylko będzie gotowa odtrutka. Przypuszczam, że w ciągu tygodnia na całym kontynencie nie pozostanie ani jednego żywego pasożyta.

Nie otrzymałem oklasków, chociaż czułem, że są zachwyceni. Generał pobiegł zadzwonić do marszałka Rextona, a potem przysłał po mnie swojego adiutanta z zaproszeniem na lunch. Przekazałem wiadomość, że przyjdę z przyjemnością, jeżeli zaproszenie dotyczy również mojej żony.

Ojciec czekał na mnie przed salą konferencyjną.

- No i jak poszło? - zapytałem. Nie chciałem okazać, jak bardzo jestem podniecony.

Pokiwał głową.

- Całkiem ich podbiłeś, Sam. Odkrywam, że masz zdolności polityczne.

Starłem się nie okazywać swojego zadowolenia. Podczas całego przemówienia nie zająknąłem się ani razu. Chyba naprawdę staję się nowym człowiekiem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Szatan, małpa którą uwolniono od pasożyta, okazała się dokładnie tak podła, jak o niej mówiono. Wprawdzie ojciec zgłosił się jako ochotnik do badań nad teorią Nivensa-Hazelhursta, ale zdecydowałem, że pierwszym będzie właśnie Szatan.

To nie uczucia rodzinne spowodowały, że nie zgodziłem się na propozycję ojca, nie brałem też pod uwagę neofreudowskich teorii. Po prostu kombinacja ojciec plus pasożyt mogła okazać się niebezpieczna. Nie chciałem, żeby stanął po ich stronie nawet w warunkach laboratoryjnych. Nie z tym komputerem, który miał w głowie zamiast mózgu! Pasożyt przecież mógłby wykorzystać jego wszystkie zdolności. Ludzie, którzy nigdy nie byli ofiarami władców, nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia pasożyt determinuje wolę żywiciela. Nie mogłem ryzykować walki z ojcem. Bałem się, że mnie przechytrzy.

A więc używaliśmy małp. Mieliśmy do dyspozycji nie tylko małpy z waszyngtońskiego zoo, ale także zwierzęta z kilku innych ogrodów zoologicznych i cyrków. Ciągłe jeszcze widok Szatana z tym przeraźliwie ludzkim cierpieniem na twarzy budzi przykre wspomnienia. Wiedziałem jednak, że wszystko co robimy, jest konieczne. Zaraziliśmy go dziewięciodniową gorączką w środę, trzynastego. Do piątku choroba się rozwinęła. Wtedy wsadzono do klatki z Szatanem drugiego szympansa z pasożytem. Władcy natychmiast dokonali bezpośredniej wymiany. Wówczas drugą małpę usunięto. W niedzielę pasożyt Szatana skurczył się i martwy odpadł od jego ciała.

Natychmiast wstrzyknęliśmy Szatanowi odtrutkę. W poniedziałek umarł drugi pasożyt. W środę Szatan czuł się już całkiem dobrze, był tylko trochę wychudzony. A druga małpa, Lord Faun-tleroy, dochodziła do siebie. W ramach zadośćuczynienia dałem Szatanowi banana, a on odgryzł mi kawałek wskazującego palca lewej ręki. Ta małpa naprawdę była podła.

Ten drobny incydent nie zdławił mojej euforii. Kiedy opatrzyli mi ranę, pobiegłem szukać Mary. Nie znalazłem jej i wylądowałem w messie, rozglądając się za kimś, z kim mógłbym uczcić zwycięstwo. Jednak messa była pusta. Oprócz mnie, wszyscy pracowali w laboratorium, przygotowując się do akcji. Z rozkazu Prezydenta wszystkie prace prowadzono w jednym laboratorium. Zebrano tutaj małpy do roznoszenia zarazków, sprowadzono ich około dwieście. Tutaj też produkowano odtrutkę. Konie, z których otrzymywano surowicę, trzymano w podziemiach, w sali

do piłki ręcznej. Do przeprowadzenia akcji potrzeba było około miliona ludzi. Nie było możliwości, żeby zakwaterować ich na miejscu. Zresztą oni i tak nie wiedzieli nic o akcji. Dopiero po ogłoszeniu alarmu każdy z nich miał zostać wyposażony w broń i jednorazowe strzykawki wypełnione odtrutką. Musieliśmy zrobić wszystko, by zachować przygotowania w sekrecie. Teraz, kiedy nasze teorie okazały się słuszne, jedyną przyczyną niepowodzenia mogło być wykrycie naszych planów przez pasożyty. Zbyt wiele dobrych pomysłów nie zrealizowano tylko dlatego, że jakiś idiota opowiedział o nich swojej żonie. Wypiłem pierwszego drinka, rozluźniłem się i poczułem zadowolenie. Byłem pewien, że tym razem żadnych przecieków nie będzie. Do dnia zrzutu nikt nie miał wstępu do jednostki, a całą komunikację wewnątrz, przez cały czas, kontrolował pułkownik Kelly, który nie był głupcem. Na przeciek na zewnątrz właściwie nie było szans. Generał, ojciec, pułkownik Gisby i ja odwiedziliśmy tydzień wcześniej Biały Dom i spotkaliśmy się z Prezydentem i marszałkiem Rextonem. Ojciec odegrał niezłe przedstawienie, a jego zaciekłość i wojowniczość przekonała obydwóch, że tylko utrzymanie akcji w sekrecie może dać szansę powodzenia. W końcu udało się utrzymać w nieświadomości ministra Martinezę. Jeżeli Prezydent i Rexton powstrzymają się od mówienia przez sen, będziemy mieli duże szansę na zwycięstwo.

Czerwona strefa wciąż się rozszerzała. Pomimo przegranej na Przełęczy Christiana, pasożyty ciągle szły do przodu. Ostatnio opanowały teren wybrzeża w okolicach bazy wojskowej Pensacola na Florydzie. Obawialiśmy się, że bestie mogą być zmęczone oporem i spróbują zbombardować miasta, które ciągle pozostają w rękach wolnych ludzi. Jeśliby się tak stało, ekrany radarów powinny zaalarmować nasz system obronny, ale i tak nie udałoby się powstrzymać ataku.

Pomimo to, postanowiłem się nie martwić. Jeszcze tylko tydzień...

Do kantyny wszedł porucznik Kelly, rozejrzał się, podszedł do mnie i usiadł obok.

- Co pan powie na drinka? - zapytałem. - Mam ochotę uczcić przyszłe zwycięstwo.

Popatrzył na swój zdecydowanie duży brzuch,

- Przypuszczam, że jeszcze jedno piwo nie zrujnuje mojej figury.

- Myślę, że może pan wypić nawet dwa. - Zamówiłem i opowiedziałem mu o sukcesie eksperymentu z małpami. Skinął głową.

- Tak, słyszałem. To brzmi niezłe.

- Nieźle? Co ty mówisz, człowieku?! Za tydzień ten cały koszmar się skończy.

- Tak?

- O co chodzi? - zapytałem zirytowany. - Będzie pan mógł włożyć swoje ciuchy i normalnie żyć. A może wątpi pan w powodzenie akcji?

- Nie, nie wątpię.

- Więc, nic nie rozumiem.

Kelly spojrzał na mnie bardzo poważnie.

- Panie Nivens - odezwał się. - Czy pan myśli, że facetowi z takim brzuchem jak mój podoba się to bieganie nago?

- Przypuszczam, że nie. Chociaż ja się już do tego przyzwyczailem.

Oszczędzam czas i jest mi wygodnie. Może nawet zmartwiłbym się, gdyby to miało się zmienić.

- Niech pan się nie martwi, to na pewno się nie zmieni.

- Nie rozumiem pana. Najpierw mówi pan, że wierzy w powodzenie całej akcji, a teraz, że wiecznie będziemy chodzić nago.

- To się nie wyklucza.

- Przepraszam, ale może nie wszystko rozumiem - odrzekłem.

Kelly zamówił sobie jeszcze jedno piwo.

- Panie Nivens, nigdy nie przypuszczałem, że dożyję dnia, kiedy jednostki wojskowe zamienią się w obozy naturystów. Puskę Pandory można tylko otworzyć. Gdybyśmy nawet nie wiem co zrobili...

- Chyba rozumiem. - Nagle zacząłem uświadamiać sobie o czym mówił. - Nic nie będzie już takie jak przedtem. Chociaż myślę, że pan przesadza. Na drugi dzień po zwycięstwie Prezydent odwoła rozkaz chodzenia nago i stare prawa moralności publicznej zaczną znów obowiązywać.

- Mam nadzieję, że nie.

- Co? Niech się pan zdecyduje.

- Myślę, że decyzja nie należy do mnie, panie Nivens. Dopóki istnieje podejrzenie, że żyje chociaż jeden pasożyt, każdy człowiek musi być gotowy odsłonić plecy na wezwanie, inaczej będzie ryzykował życiem. I nie tylko w tym tygodniu, czy za miesiąc, ale nawet za dwadzieścia lat. Nie, niech mi pan pozwoli skończyć... - nalegał widząc, że chcę mu przerwać. - Nie wątpię w powodzenie pańskiego planu, ale chciałem tylko zauważyć, że był pan zbyt pochłonięty szczegółami, by dostrzec, że dotyczy on tylko pewnego obszaru. Jest rozwiązaniem lokalnym i tylko na pewien

czas. Czy ma pan zamiar na przykład przeczesać dżunglę amazońską? Drzewo po drzewie? To tylko pytanie retoryczne. Ale ta planeta ma prawie sto pięćdziesiąt milionów kilometrów kwadratowych lądu. Nie możemy jej przeszukać i do końca oczyścić z pasożytów. Cholera, człowieku, przecież przez tyle lat nie udało nam się nawet zlikwidować szczurów! A niebezpieczeństwo jest nieporównywalne. „Tytany” korzystają z ludzkiej inteligencji!

- Chce pan przez to powiedzieć, że wszystkie nasze wysiłki są beznadziejne? - zapytałem.

- Beznadziejne? Niezupełnie to miałem na myśli. Niech pan się jeszcze napije. Próbuję uświadomić panu, że musimy nauczyć się żyć z tą potwornością, tak jak nauczyliśmy się żyć spokojnie pomimo groźby wojny atomowej.

Poczułem się zupełnie przybity. Pragnąłem jak najszybciej odnaleźć Mary.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Znowu znaleźliśmy się w tym samym pokoju konferencyjnym w Białym Domu. Oprócz mnie byli tam: ojciec, Mary, Rexton, Martinez, generał z laboratorium, doktor Hazalhurst i pułkownik Gisby. Wszyscy z niepokojem wpatrywaliśmy się w ogromną mapę na ścianie. Ponad cztery doby temu rozpoczęła się akcja rozprzestrzeniania dziewięciodniowej gorączki, a dolina Missisipi wciąż błyszczała czerwonymi punktami.

Czułem niepokój, chociaż zrzut okazał się niekwestionowanym zwycięstwem. Straciliśmy tylko trzy maszyny. Według szacunków, każdy pasożyt znajdujący się w zasięgu zrzutu, powinien był zarazić się trzy dni temu. Operację obliczono na kontakt z osiemdziesięcioma procentami potworów żyjących w czerwonej strefie, już w ciągu pierwszych dwudziestu godzin akcji. Braliśmy pod uwagę przede wszystkim największe miasta. Wkrótce pasożyty powinny padać jak muchy, oczywiście jeżeli wszystko poszło dobrze.

Patrząc na mapę, zastanawiałem się, czy te czerwone światełka oznaczają już miliony chorych pasożytów, czy dwieście martwych małp. Różne myśli chodziły mi po głowie. A jeżeli ktoś nieopacznie przestawił przecinek, robiąc obliczenia, albo się wygadał? A może w całym planie jest jakiś tak drobny a istotny błąd, że nie byliśmy w stanie go dostrzec.

Nagle jedno ze światełek zamigotało na zielono. Dokładnie na środku mapy. Wszyscy poderwali się z miejsc. Z nadajnika rozległ się głos.

- Tu stacja Dixie w Little Rock. - To był bardzo zmęczony głos. - Bardzo pilnie potrzebujemy pomocy. Ktokolwiek nas słyszy, proszę przekazać wiadomość: w Little Rock w Arkansas panuje straszliwa epidemia. Proszę zawiadomić Czerwony Krzyż. Jesteśmy w rękach... - Przerwano połączenie. Odetchnąłem z ulgą. Mary pocałowała mnie. Powoli zaczynałem się odprężać. Moja radość była ogromna. Zobaczyłem, że zielone światło pojawiło się nie tylko w Little Rock, ale także na zachodzie w Oklahomie. Potem zapaliły się następne dwa, jedno w Nebrasce i drugie na granicy z Kanadą. Nagle znowu włączył się nadajnik. Jeszcze jedno doniesienie o epidemii.

- Trochę jak w noc wyborów, co? - odezwał się Martinez.

- Rzeczywiście - zgodził się Prezydent. - Tylko, że wtedy nie łączyliśmy się z Nowym Meksykiem - to mówiąc, wskazał mapę, w Chihuahua zapłonęły zielone

światełka.

- Masz rację, George. Będzie trochę spraw do uporządkowania, kiedy to wszystko się skończy.

Prezydent nie odpowiedział - był zamyślony. Spostrzegł, że mu się przyglądam i uśmiechnął się. Chyba wszyscy tak, jak ja poczuli się odprężeni. Prezydent rozejrzał się po sali.

- Czy ktoś ma ochotę na kolację, bo ja pierwszy raz od bardzo wielu dni jestem strasznie głodny.

Następnego popołudnia mapa była już bardziej zielona niż czerwona. Rextonowi udało się załatwić dwa komputery podłączone do centrum dowodzenia w Nowym Pentagonie.

Mieliśmy teraz dokładny wgląd w sytuację. Dane na monitorach zmieniały się. Bez przerwy pokazywano obliczany na bieżąco czas drugiego zrzutu z odtrutką - siedemnasta czterdzieści trzy.

Rexton wstał.

- Ustaląm czas drugiego zrzutu na siedemnastą czterdzieści pięć - zdecydował.

- Pozwoli pan Prezydencie, że państwa przeproszę?

- Oczywiście.

- A wy dwaj Don Kichoci, jeżeli nadal jesteście zdecydowani iść, to czas na nas - Rexton zwrócił się do mnie i do ojca.

Wstałem.

- Mary poczekaj na mnie.

Wcześniej po wielu dyskusjach ustaliliśmy, że Mary jednak nie weźmie w tym udziału.

- Proponuję - odezwał się Prezydent - żeby pani Nivens została tutaj. Myślę, że może czuć się tutaj jak w domu. - Mówiąc to, uśmiechnął się uprzejmie.

- Dziękuję, sir - odpowiedziała. Pułkownik Gisby miał bardzo dziwną minę.

Dwie godziny zbliżaliśmy się do celu. Drzwi samolotu otworzyły się. Ojciec i ja byliśmy ostatni w kolejce. Ręce mi się spociły, ogarnął mnie strach, nigdy nie lubiłem skakać.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

W przydzielonym mi obszarze sprawdzałem wszystkie budynki z pistoletem gotowym do strzału w jednej ręce i strzykawką z odtrutką w drugiej. Znajdowałem się w jakiejś starej dzielnicy slamsów - Jefferson. Te domy miały chyba z pięćdziesiąt lat. Zrobiłem już ponad dwadzieścia zastrzyków, zostało mi jeszcze trzydzieści i wtedy wreszcie będę mógł wrócić do Mary. Byłem już zupełnie wykończony i miałem tego dość.

Doskonale wiedziałem, dlaczego tu przyjechałem - nie przez ciekawość. Chciałem zobaczyć, jak umierają. Chciałem patrzeć, jak będą ginęły i zobaczyć je martwe. Wciąż miałem w sobie tę straszliwą nienawiść i wciąż była silniejsza niż wszystko inne. Ale teraz, kiedy ich śmierć stała się faktem, chciałem po prostu wrócić do domu i zapomnieć.

Nasze zadanie nie było trudne. Męczyły nas nieustanne ataki mdłości. Na szczęście dotychczas nie spostrzegłem ani jednego żywego pasożyta, martwych leżało wszędzie pełno. Zastrzeliłem przemykającego chyłkiem psa, bo wydawało mi się, że ma coś na plecach. Nie byłem pewien, ale wolałem nie ryzykować.

Najtrudniejszy do zniesienia był ten zapach. Wszędzie unosił się smród niemytych i chorych ludzkich ciał.

Szedłem wyludnioną ulicą. Wszyscy chorowali, więc nikt nie wychodził z domów. Nagle zza rogu wyłonił się mężczyzna. Podszedł do mnie, zataczając się i spojrzał mi w oczy. Były puste i nieobecne.

- Hej! - krzyknąłem do niego. - Jesteś chory, mam coś, czego potrzebujesz. Chyba nie zrozumiał moich intencji, bo próbował mnie uderzyć. Obezwładniłem go jednym ciosem. Upadł twarzą do ziemi. Na plecach miał ślad po pasożycie. Znalazłem jakieś czyste miejsce w okolicach nerek i zrobiłem zastrzyk.

W następnym domu na pierwszym piętrze znalazłem siedmioro ludzi. Większość z nich była w tak złym stanie, że nie próbowałem im nic tłumaczyć, po prostu robiłem zastrzyki. Szybko wbiegłem na następne piętro. Było tak samo.

Na samej górze znalazłem trzy puste mieszkania. Przy jednych drzwiach musiałem odstrzelić zamek, żeby dostać się do środka. W czwartym znalazłem ludzi - w kuchni na podłodze leżała kobieta z raną głowy. Na jej ramionach ciągle znajdował się pasożyt, tym razem już martwy. Zostawiłem ją i poszedłem do innych pomieszczeń.

W łazience w wannie leżał mężczyzna. Głowę miał opuszczoną na piersi. Kiedy podszedłem, zobaczyłem, że ma otwarte żyły. Pochyliłem się nad nim. Pomyślałem, że nie żyje, ale otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Spóźniłeś się - wyszeptał z trudem. - Zabiłem swoją żonę.

„A może przyszedłem za wcześnie...” - pomyślałem. Widziałem, że stracił dużo krwi, a jego twarz stała się całkiem szara. Chyba nie było już dla niego szansy. Patrząc na niego, zastanawiałem się, czy zmarnować zastrzyk.

- Moja mała córeczka... - odezwał się resztą sił.

- Twoja córka? - krzyknąłem. - Gdzie ona jest?

Jego oczy błysnęły na chwilę, ale nie zdołał już nic powiedzieć. Jego głowa opadła bezwładnie. Potrząsnąłem nim, a potem dotknąłem jego szyi, jednak nie mogłem wyczuć pulsu.

Dziewczynkę znalazłem w drugim pokoju. Miała może osiem lat. Kiedy mnie zobaczyła, wstała, wyciągnęła do mnie ramiona.

- Tatusiu! - zawołała.

- Już dobrze, spokojnie - starałem się mówić jak najłagodniej. - Tatuś zaopiekuje się tobą.

Zrobiłem jej zastrzyk w nogę, nie przypuszczam, żeby to w ogóle zauważyła. Odwróciłem się, żeby wyjść.

- Chcę pić. Daj mi szklankę wody - poprosiła cicho. - Musiałem więc jeszcze raz wejść do kuchni. Kiedy podawałem jej wodę, mój nadajnik dał o sobie znać.

- Synu, słyszysz mnie? - to był Starzec.

- Tak. Co się stało?

- Jestem w małym parku niedaleko ciebie. Mam kłopoty. - Możesz tu przyjść?

- Idę! - zawołałem.

Nie mogłem jednak zostawić mojej małej przyjaciółki w domu, w którym leżeli jej martwi rodzice.

Wziąłem ją pod pachę i zbiegłem ze schodów. Kiedy byłem na pierwszym piętrze, wpadłem do jakiegoś mieszkania i położyłem dziewczynkę na kanapie. Ludzie, którzy tam mieszkali, byli również chorzy i pewnie nie będą mogli właściwie się nią zająć. Tylko tyle mogłem zrobić dla małej.

- Pośpiesz się, synu! - Usłyszałem.

- Śpieszę się, jak mogę - rzuciłem.

Wybiegłem na ulicę. Teren ojca przylegał do mojego od północnej strony,

widziałem tam taki mały skwer. Przyśpieszyłem.

- Tutaj synu. W samochodzie.

Zawróciłem i zobaczyłem duży wóz, to był cadillac, jakiego często używa Sekcja. Ktoś siedział w środku, ale było za ciemno, bym mógł rozpoznać, czy to Starzec. Zbliżyłem się ostrożnie, wtedy usłyszałem jego głos.

- Nareszcie! Już myślałem, że nigdy nie przyjdiesz. Nachyliłem się, by wejść do środka.

Kiedy obudziłem się zobaczyłem, że ręce i nogi mam związane. Siedziałem w wozie, Starzec był obok mnie, za kierownicą. Zorientowałem się, że jesteśmy w powietrzu i natychmiast odzyskałem świadomość.

Starzec spojrzał na mnie.

- Czujesz się lepiej, synu? - Uśmiechnął się. - Wtedy zobaczyłem pasożyta na jego ramionach.

- Chyba tak - odpowiedziałem.

- Przepraszam, że cię uderzyłem - odezwał się. - Ale to był jedyny sposób.

- Rozumiem.

- Musisz na razie pozostać związany, myślę, że wiesz dlaczego. Później coś z tym zrobimy. - Uśmiechnął się złośliwie.

To było nieprawdopodobne, ale w każdym słowie, które wypowiadał przez niego pasożyt, czuło się jego potworną, nieludzką osobowość.

- Dokąd lecimy? - zapytałem.

- Na południe - odrzekł. Kombinował coś przy tablicy kontrolnej. Poczekał chwilę, ustawię kurs i zaraz ci wytłumaczę, jakie mamy zadanie - bez przerwy coś ustawiał.

- To jest dobre tylko do poziomu pięćdziesięciu tysięcy. Potem i tak będę musiał zająć się tym osobiście - dodał.

Wtedy już byłem zupełnie pewien, że to jeden z wozów Sekcji.

- Skąd masz ten wóz? - zapytałem.

- To wóz oddziału Sekcji z Jefferson City. Zobaczyłem go zupełnie przypadkiem. Nie sądzisz, że to szczęśliwy zbieg okoliczności?

Miałem inny pogląd na ten temat. Ale nie chciałem się sprzeczać. Przez cały czas myślałem o swoich szansach uwolnienia się. Były nikłe, ale chyba nie beznadziejne. Swojego pistoletu nie miałem, a Starzec był uzbrojony.

Ale to jeszcze nie wszystko - odezwał się - Wyobraź sobie, że zawładnął mną

jedyny, zdrowy pasożyt, jaki pozostał w całym Jefferson City. Chyba jednak dopisało mi szczęście. Mamy szansę zwyciężyć. - Zachichotał.

- Nie powiesz mi dokąd lecimy? - zagadnąłem znowu. Nie udało mi się ze sznurami, więc pozostało mi tylko zawracanie mu głowy. Może popełni jakiś błąd.

- Oczywiście opuszczamy Stany Zjednoczone. Bardzo prawdopodobne, że mój władca pozostał jedynym zdrowym pasożytem w tym kraju. Nie mogę więc ryzykować jego życia. Myślę, że najlepszy będzie półwysep Yukatan. Tam właśnie lecimy. Zaszycemy się tam, zdobędziemy nowych ludzi i zaczniemy wszystko od nowa. A kiedy tu wrócimy, a wrócimy na pewno, nie popełnimy już tych samych błędów.

Czy nie mógłbyś mnie jednak uwolnić od tych sznurów, tato? - zapytałem. - Chyba mnie uciskają. Wiesz, że możesz mi ufać.

- Spokojnie synu, wszystko we właściwym czasie. Poczekaj, aż przejdziemy na całkiem zautomatyzowany lot.

Wóz nadal się wznosił.

- Chyba zapomniałeś, że ja też pracowałem dla pasożytów i to dość długo. Wiem, o co chodzi i daję ci moje słowo honoru, że...

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Nie rób ze mnie idioty, synu. Jeśli teraz cię uwolnię, to zabijesz mnie, albo ja będę musiał zabić ciebie. A potrzebuję ciebie żywego. Obydwaj jesteście sprytni i na tyle inteligentni, że powinno nam się udać to, co zaplanowałem.

Cóż mogłem odpowiedzieć?

- A tak poza tym, skoro wiedziałeś, o co chodzi, dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś? Dlaczego ukryłeś to przede mną?

- Co? - zapytałem.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, co się wtedy czuje. Synu, ja nie miałem pojęcia, że można odczuwać taki spokój, zadowolenie. To moje najszcześniejsze chwile od kiedy... - Te słowa jakby zaskoczyły nawet jego samego. - ... od kiedy umarła twoja matka. Ale to nieważne. Sądzę, że powinieneś być mi powiedzieć.

- Może ja po prostu nie przeżywałem tego w ten sposób - odezwałem się ostro, zapominając o subtelnej grze, jaką prowadziłem. - Zresztą nie mówiłbyś tego wszystkiego ty stary głupcze, gdybyś nie miał na plecach tego ohydneho pasożyta, który mówi za ciebie i myśli twoim mózgiem.

- Spokojnie synu - powiedział łagodnie. I to przedziwne, ale jego głos mnie

naprawdę uspokoił. - Zaraz wszystko wyda ci się zupełnie inne. Uwierz mi, że zostaliśmy wybrani do wielkiej misji. To nasze przeznaczenie. Przez ciągłe wojny ludzkość jest podzielona, a my możemy dać im jedność.

Pomyślałem sobie, że prawdopodobnie istnieją ludzie na tyle głupi, żeby w to uwierzyć. Oddać się w niewolę za obietnicę bezpieczeństwa i spokoju. Ale nie powiedziałem tego głośno.

- No, już nie musisz czekać - odezwał się nagle Starzec.

Jeszcze tylko nastawię kierunek. - Przycisnął jakiś guzik, sprawdził odczyt i urządzenia kontrolne. - Następny przystanek to już Jukatan. A teraz do roboty.

Wstał z krzesła i ukląkł obok mnie. Nie było tu zbyt wiele wolnego miejsca.

- Na wszelki wypadek zabezpieczymy się. - I przeciągnął pas bezpieczeństwa wokół mojego brzucha.

Spróbowałem go kopnąć. Zrobił unik. Popatrzył na mnie spokojnie.

- Nieładnie... właściwie mógłbym być na ciebie zły za takie zachowanie, ale to nie ma znaczenia. Teraz bądź już grzeczny.

Podszedł do mnie z tyłu i sprawdził więzy. Z nosa leciała mu krew, ale nie był tego świadomy.

- W porządku. Teraz bądź cierpliwy, to nie potrwa długo. Wrócił na miejsce i usiadł. Pochylił się trochę do przodu.

Jego pasożyta miałem tuż przed oczami. Wydawało się, że Starzec śpi, ale wiedziałem, że tak nie jest.

Na środku brązowej pokrywy pasożyta pojawiła się smuga. Patrzyłem na nią, a ona tymczasem powiększała się. W końcu była na tyle szeroka, że mogłem zobaczyć jego obrzydliwe, mieniące się ciało. Utworzyły się wyraźne dwie połowy. Wiedziałem, że pasożyt dzieli się i żeby mógł dokonać się akt nowych narodzin mój ojciec poniesie śmierć.

Uświadomiłem sobie też, że zostało mi jakieś pięć minut wolności - właśnie rodził się mój nowy władca.

Gdybym w jakikolwiek sposób mógł się uwolnić, nawet łamiąc sobie kości, zrobiłbym to. Ale nie miałem szansy. Starzec nie zwracał na mnie uwagi. Wydawało mi się, że jest nieprzytomny. Prawdopodobnie pasożyt w trakcie podziału traci kontrolę nad żywicielem. W końcu byłem już wykończony i przekonany, że nie uda mi się uwolnić z więzów. Widziałem wypływającą z pasożyta srebrną strugę. To znak, że podział jest prawie skończony. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien

pomysł.

Ręce miałem związane z tyłu, a do tego byłem ciasno przypięty pasem do krzesła, mogłem jednak poruszać nogami. Zsunąłem się w dół i z całej siły uderzyłem w tablicę rozdzielczą. Udało mi się w ten sposób włączyć maksymalne przyspieszenie.

Nie wiem, ile mieliśmy paliwa, ale zbiorniki na pewno nie były puste. Rzuciło nas na siedzenia. Ojca mocniej, gdyż nie zabezpieczył się pasami przed oszłamiającym pędem. Jego pasożyt odkryty i bezradny, znalazł się między dwoma płaszczyznami, które go miażdżyły. Widziałem, jak ojciec się męczy. Wyglądał, jakby dostał nagle skurczu wszystkich mięśni. Nagle odchylił się do przodu i mogłem zobaczyć jego twarz. Była wykrzywiona przez potworny ból.

Wóz zaczął spadać. Siedziałem tam unieruchomiony i patrzyłem bezradnie. Gdyby nie bezwładnie leżące ciało ojca, dosięgnąłbym tablicy rozdzielczej i może mógłbym coś zrobić. Próbowałem, ale bez skutku. Przypuszczam, że tablica została zmiażdżona. Wskazówka wysokościomierza przechylała się powoli. Spadliśmy już na wysokość jedenastu tysięcy stóp. Po chwili - dziewięć, siedem, sześć. Były to ostatnie chwile życia. Na wysokości tysiąca pięciuset stóp radar z wysokościomierzem rozpadł się na połowę. Pas wrzynał mi się już w żołądek. Pomyślałem, że za chwilę przetnie mnie na połowę. Nagle uderzyliśmy o ziemię.

Powoli zacząłem dochodzić do siebie, uświadomiłem sobie, że wszystko się kołysze. Udało mi się otworzyć oczy i rozejrzałem się wokół. Nad głową miałem podłogę wozu. Niespecjalnie jeszcze wiedziałem, gdzie jestem i co się stało. Po chwili przypomniałem sobie, jak lecieliśmy w dół i sam upadek.

Zrozumiałem, że nie uderzyliśmy w ziemię, tylko w taflę wody. Ale było mi wszystko jedno. Nagle poczułem strach, kiedy pomyślałem o ojcu.

Nade mną zwisał zerwany pas bezpieczeństwa. Nadal miałem związane ręce, a do tego wydawało mi się, że złamałem sobie ramię. Czułem ból przy każdym oddechu. Przestałem jednak zajmować się swoimi obrażeniami. Rozejrzałem się, by znaleźć ojca. Nie siedział już na krześle. Z wysiłkiem pokonując ból, odwróciłem głowę. Leżał tuż obok mnie. Jego ciało było zimne i zakrwawione. Byłem prawie pewien, że nie żyje. Spróbowałem przesunąć się w jego kierunku, pokonywałem tę odległość chyba z pół godziny. W końcu leżałem z nim twarzą w twarz, dotykając policzkiem jego policzka. Nie dawał żadnych znaków życia.

- Tato - wyszeptałem - tato.

Widziałem, że jego powieki drgnęły, ale nie otworzył oczu.

- Synu, dziękuję ci.

- Tato, obudź się! - Chciałem krzyknąć z rozpacz.

- Twoja matka - odezwał się znowu, ale cicho i niepewnie, jakby każde słowo sprawiało mu ból - byłaby z ciebie bardzo dumna. - Jego głos ucichł i słyszałem tylko ciężki oddech.

- Tato. - Z całych sił starałem się nie płakać. - Nie umieraj. Nie dam sobie rady bez ciebie.

Jeszcze raz popatrzył na mnie.

- Dasz radę... Musisz. - Jego oczy zamknęły się powoli. Teraz już nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Położyłem twarz na jego policzku, a moje łzy zmieszały się z krwią.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Właśnie wyruszamy na Tytana.

Każdy z członków wyprawy pisze taki raport, na wypadek, gdyby coś się stało i mielibyśmy nie wrócić. Będą w nich zebrane wszystkie informacje na temat pasożytów, jakie uda nam się zdobyć. Bo teraz wiem, że Kelly miał rację. Nigdy już nie będzie tak jak przedtem. Pomimo całkowitego sukcesu zaplanowanej przeze mnie akcji, nikt nigdy nie będzie pewien, czy na Ziemi nie pozostał jakiś pasożyt. Nie dalej jak tydzień temu na Alasce zastrzelono jednego razem z jego żywicielem - niedźwiedziem polarnym!

Wciąż będziemy musieli czuwać nad bezpieczeństwem ludzkości. Jeśli my nie wrócimy, na ziemię znowu przybędą latające talerze. Wiemy bowiem, że pasożyty żyją według kalendarza, w którym rok trwa dwadzieścia dziewięć lat ziemskich. Bardzo możliwe, że pasożyty są aktywne tylko w początkowej fazie „roku”. Miejmy nadzieję, że tak jest. Może dzięki temu nasza wyprawa okaże się sukcesem. Ale nie liczymy tylko na to. Wszyscy wyruszamy tam jako żołnierze. I mamy zamiar pokazać tym potworom jak wielki błąd popełniły, próbując dokonać inwazji na najbardziej twardą, podłą, zaciętą, bezlitosną i inteligentną formę życia w tym obszarze przestrzeni kosmicznej. Przekonają się, że jesteśmy istotami, które można zabić, ale nie pokonać.

Mam nadzieję, że w jakiś sposób uda nam się uratować te małe człekopodobne Elfy. Nie mogliśmy ocalić żadnego z tych, które przyleciały na Ziemię w latających talerzach z pasożytami. Ale sądzę, że z nimi możemy dojść do porozumienia. One prawdopodobnie są naturalnymi mieszkańcami Tytana.

Musimy za wszelką cenę wypracować sobie opinię bezwzględnych istot, przynajmniej w walce o własną wolność. Powinniśmy być gotowi do natychmiastowej walki, w każdej sytuacji. Bo jeżeli nie, podzielimy los dinozaurów.

Kto wie, jak podstępne istoty czają się we wszechświecie? Przecież pasożyty mogą być w porównaniu z nimi przyjaźnie nastawionymi stworzeniami. Jeśli ich inwazja była początkiem, to lepiej żebyśmy wyciągnęli wnioski i zawsze byli gotowi. Dotychczas żyliśmy w przekonaniu, że wszechświat jest pusty, i czuliśmy się panami stworzenia, istotami wybranymi. Nawet myśleliśmy o podboju przestrzeni kosmicznej. Teraz wiadomo, że jeśli chcemy przeżyć, będziemy musieli przyzwyczaić się do konieczności walki.



Każdy z członków wyprawy był ofiarą pasożyta. Tylko tacy ludzie naprawdę rozumieją, jak bardzo są one niebezpieczne, jak głęboko można je nienawidzić. Przypuszcza się, że wyprawa potrwa dwanaście lat więc ja i Mary będziemy mieli trochę czasu dla siebie. Większość mężczyzn zabiera swoje żony. Kiedy powiedziałem Mary, że wybieramy się na Saturna nie była zaskoczona.

- Tak kochanie - odpowiedziała na moją propozycję wyjazdu.

Przypuszczam, że będziemy mieli czas na przynajmniej dwoje dzieci. Bardzo chciałbym tego, tak samo jak chce tego mój ojciec. Ostatniej nocy w Pikes Peak pożegnałem się z nim. Zostawiliśmy pod jego opieką naszą małą córeczkę. Było nam trudno rozstawać się z nią, ale oboje czuliśmy, że tak będzie lepiej.

- Do zobaczenia, synu - pożegnał mnie ojciec. Wiem, że wrócisz. Ja tymczasem z każdym dniem będę stawał się twardszy i podlejszy.

- Mam nadzieję - zażartowałem.

- Wiem, że tak będzie - powiedział stanowczo. - Jesteś równie silny jak ja, a to oznacza, że nie poddasz się tak łatwo. Wierzę w ciebie i takich jak ty synu!

Być może moje sprawozdanie nie jest najlepszym materiałem naukowym. Prawdopodobnie trzeba będzie je poprawić i skrócić, ale chciałem zapisać w nim wszystko, co wydawało mi się ważne. I myślę nawet, że to co czułem jest istotniejsze od informacji technicznych, dotyczących naszego działania.

Kończę ten raport na stacji kosmicznej Beta, skąd wyruszymy. Nasz statek otrzymał nazwę: „Mściciel”.

Właśnie za chwilę opuścimy Ziemię. Czuję radość. Wolni ludzie wyruszają, żeby zabić władców marionetek. Przyniosą im śmierć i zniszczenie.

KONIEC